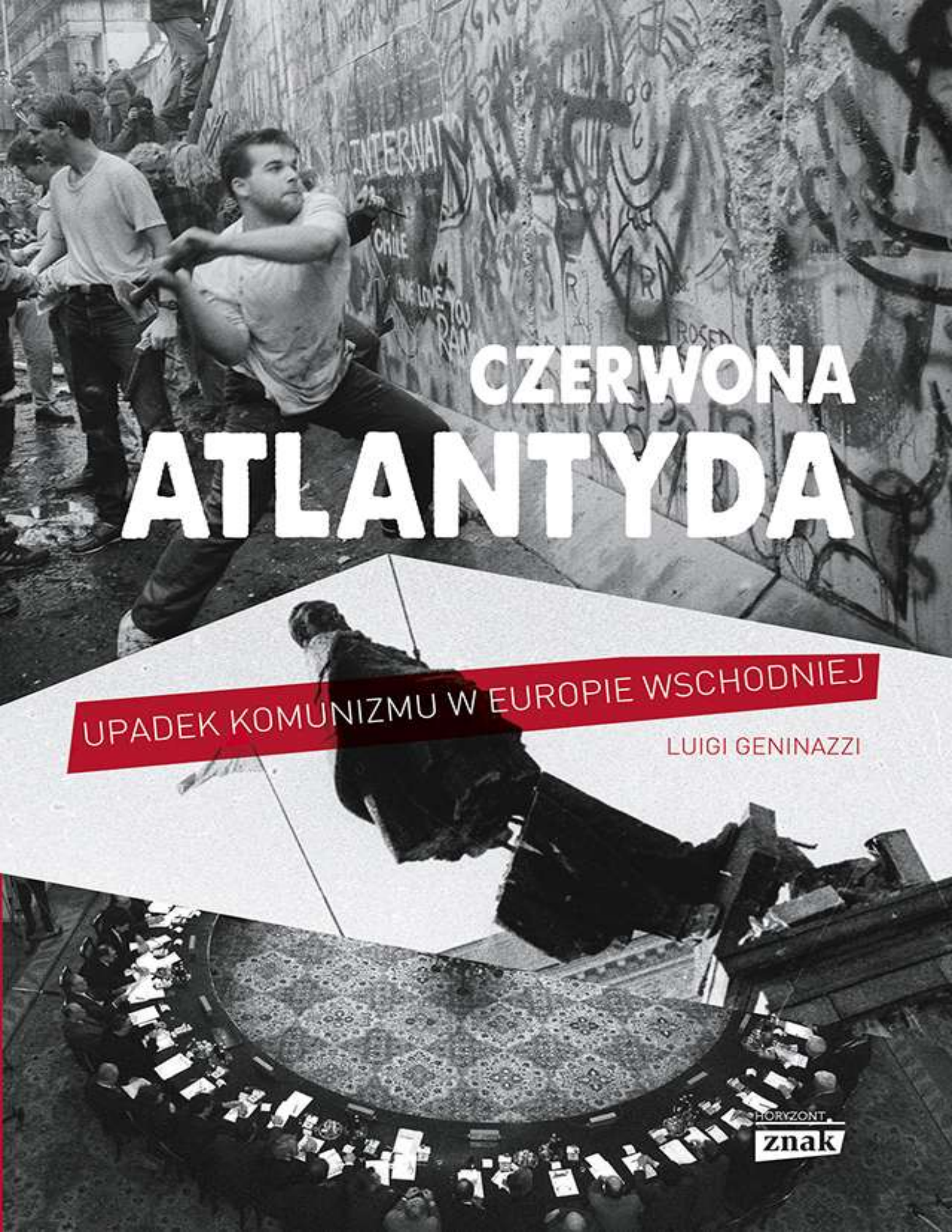
CZERWONA
ATLANTYDA
UPADEK KOMUNIZMU W EUROPIE WSCHODNIEJ
LUIGI GENINAZZI
HORYZONT
znak

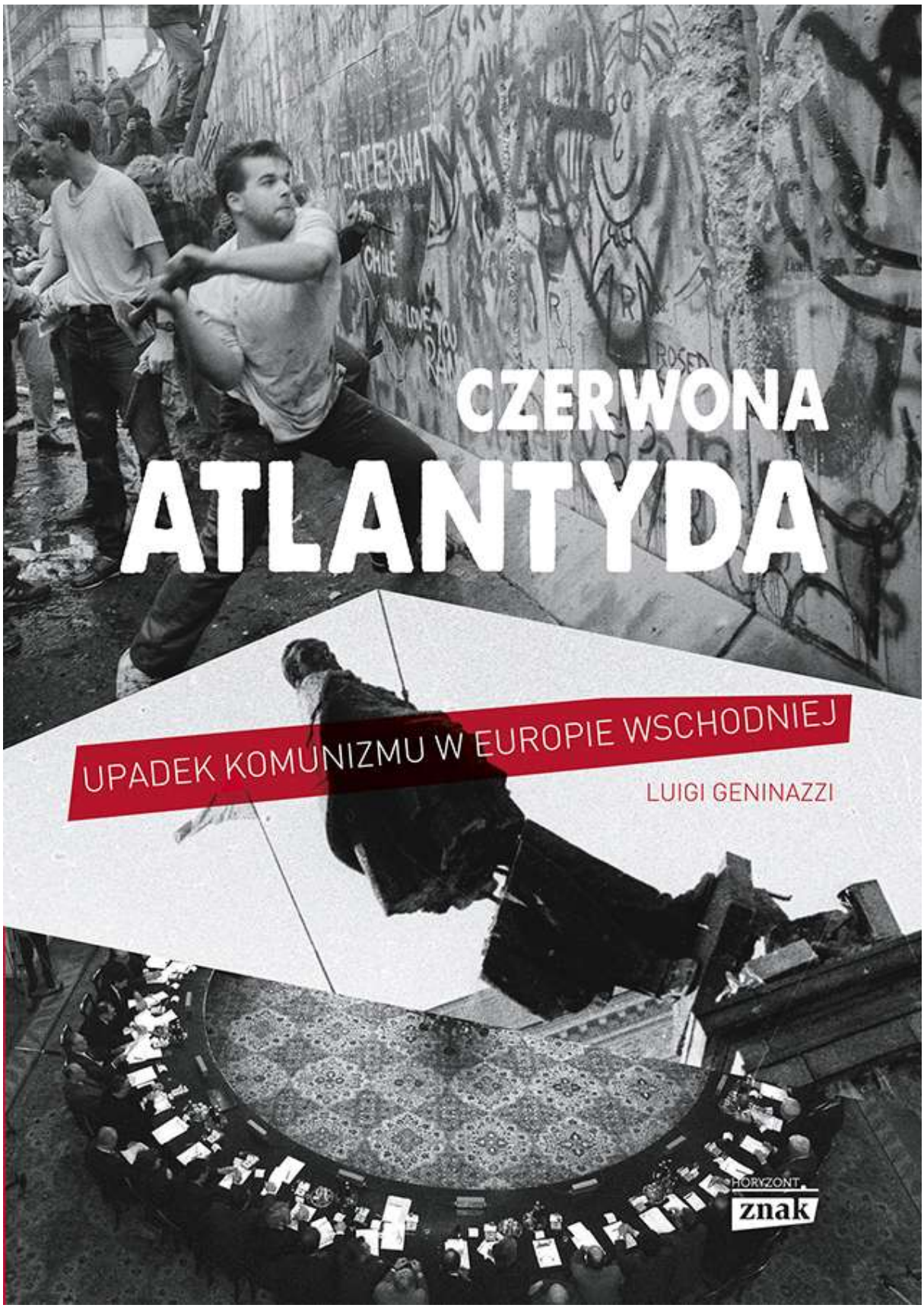
CZERWONA
ATLANTYDA
UPADEK KOMUNIZMU W EUROPIE WSCHODNIEJ
LUIGI GENINAZZI
HORYZONT
znak

LUIGI GENINAZZI

CZERWONA ATLANTYDA

UPADEK KOMUNIZMU W EUROPIE WSCHODNIEJ

PRZEKŁAD
AGNIESZKA GOŁĘBIOWSKA

HORYZONT znak

KRAKÓW 2014

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Przedmowa Lecha Wałęsy
Wstęp
Miami, 1 grudnia 1988 roku
CZĘŚĆ PIERWSZA. LATA OSIEMDZIESIĄTE. HISTORIA NABIERA ROZPĘDU
- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI
- Rozdział VII
- Rozdział VIII

CZĘŚĆ DRUGA 1989. ROK, W KTÓRYM HISTORIA POGNAŁA NAPRZÓD
- Rozdział I
- Rozdział II
- Rozdział III
- Rozdział IV
- Rozdział V
- Rozdział VI

Projekt okładki
Aleksander Czyż

Fotografie na okładce
Mur Berliński (fot. Jean-Claude Coutausse)
Demontaż pomnika Dzierżyńskiego (fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER)
Rozpoczęcie obrad Okrągłego Stołu (fot. Grzegorz Rogiński/REPORTER)

Opieka redakcyjna
Krzysztof Chaba

Konsultacja merytoryczna
Jakub Janik

Adiustacja
Małgorzata Iwanek / Editio

Korekta
Judyta Rosin / Editio

Wybór ilustracji
Luigi Geninazzi

Copyright © SIW Znak Sp. z o.o., 2014

ISBN 978-83-240-3033-0

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com

Przedmowa Lecha Wałęsy

Na pytanie: „Kto doprowadził do upadku komunizmu w Europie Wschodniej?”, odpowiadam zwykle, że w ponad 50% jest to zasługą Jana Pawła II, w 30% Solidarności, a w pozostałej części – Reagana, Kohla i Gorbaczowa. Przyznam jednak, że podziękowania należą się również wielu dziennikarzom za ich znaczącą pracę w przekazywaniu informacji, bez nich bowiem nie udałoby się nam zwalczyć hegemonii kłamstwa, której musieliśmy się podporządkować.

Jedną z myśli przewodnich reżimu komunistycznego był zakaz zgromadzeń, który miał na celu ograniczanie istoty naszej egzystencji, ciągłe poniżanie nas i okłamywanie. W przeciwieństwie do tego, zagraniczni dziennikarze otwarcie mówili o sytuacji, przedstawiali fakty, dokładnie nam się przyglądali, dzięki czemu odkrywali naszą siłę i nasze możliwości. Spośród nich szczególnie pozostał mi w pamięci Luigi Geninazzi, włoski korespondent, który z wielką uwagą i zaangażowaniem śledził naszą działalność od samego początku. Propagandę komunistyczną pokonały bezpośrednie świadectwa tych, którzy na miejscu obserwowali wydarzenia i opisywali je. Nie było to w końcu takie trudne, tym bardziej że władza przedstawiała wszystko w fałszywym świetle.

Solidarność zrodziła się z przekonania, że jeśli nie możesz sam udźwignąć ciężaru, powinieneś znaleźć kogoś, kto ci w tym pomoże. W tamtych czasach komunizm był zbyt wielkim ciężarem – nikt nie był w stanie go z siebie zrzucić. W latach pięćdziesiątych niektórzy podejmowali próby zbrojne, ale – bez szans na wygraną – stracili w tej walce życie. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych próbowaliśmy w Polsce protestować na ulicach, ale siłą nas uciszali.

Próbowaliśmy różnych rozwiązań, prosiliśmy o pomoc polityków i intelektualistów zachodnich, ale nikt z nich nie wierzył w upadek imperium radzieckiego. A potem pojawił się nasz Papież, Papież Polak, i odkryliśmy, że istnieje coś silniejszego od czołgów i pocisków atomowych. Jan Paweł II rozbudził nasze siły duchowe, wiarę, która była w naszym narodzie i przekonał nas, abyśmy się nie lękali. W 1979 roku

wrócił do Polski i po raz pierwszy poczuliśmy się zjednoczeni, zrozumieliśmy, że było nas bardzo wielu. Często się zastanawiałem, jak to możliwe, że przy każdym kolejno organizowanym przeze mnie strajku w Stoczni Gdańskiej było wokół mnie nie więcej niż dziesięć osób, a potem, nagle, w 1980 roku, ich liczba urosła do dziesięciu milionów. Ja robiłem ciągle te same rzeczy i mówiłem to samo. Ale ludzie się zmienili, stali się bardziej świadomi, dojrzali, bardziej zdeterminowani. Zaskoczyło to przede wszystkim komunistów: nagle nie wiedzieli, jak sobie z tym poradzić i w pewnym momencie przystali na to, aby podjąć z nami dyskusję, a ostatecznie zostali zmuszeni do oddania nam władzy.

Nasza bezkrwawa i godna walka doprowadziła do upadku dyktatury, która zdawała się nie do pokonania; obaliliśmy mury i bariery w imię wolności i braterstwa między narodami. Rewolucja Solidarności w Polsce, a za nią ruchy wyzwoleńcze w innych krajach Europy Wschodniej, zamknęły epokę naznaczoną przemocą, nienawiścią i podziałami. Moje pokolenie zrealizowało to, o czym mojemu ojcu i moim przodkom się nie marzyło: Europa bez granic w świecie coraz większej globalizacji. Z ruin komunizmu powstał nowy kapitalizm, wszechobecny i agresywny.

Są pytania, na które jeszcze nie mamy odpowiedzi: czy może istnieć gospodarka wolnorynkowa, która nie opiera się na egoizmie i niesprawiedliwości społecznej? Jaki sens ma słowo „demokracja” w świecie, w którym pojedyncze kraje stopniowo tracą znaczenie i suwerenność? A przede wszystkim, na jakich podstawach możemy budować nową gospodarkę i nową demokrację? Osobom takim jak ja, działaczom z przeszłości, trudno jest znaleźć natychmiastowe rozwiązania dla problemów przyszłości. Uważam jednak, że zasada jedności, dzięki której udało się nam zniszczyć stary system komunistyczny, oparty na ucisku i niesprawiedliwości, jest niezbędna przy budowaniu nowego, wolnego i sprawiedliwego świata. Coraz szersze otwarcie i brak granic domagają się „globalnej Solidarności”. Dla nas, rozpoczynających walkę w 1980 roku, Solidarność opierała się na 21 postulatach, do których odnosiliśmy się w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej. Dziś wszystko jest bardziej skomplikowane i jest wiele punktów do przedyskutowania.

Przytoczę tylko jeden przykład: w świecie ogólnej globalizacji narzuca się unifikację gospodarek różnych państw. Nie ma wątpliwości, że – wcześniej czy później – Ukraina wejdzie w skład Unii Europejskiej, a wtedy polskie, ale również włoskie rolnictwo na tym ucierpi, a może

nawet z tego powodu zaniknie. Jedynie zasada solidarności między narodami będzie w stanie temu zaradzić. Chcę powiedzieć, że problemy, które nas czekają, nie mogą być oddane w ręce tej samej co zawsze komisji ekspertów, lecz powinny być poddane opinii publicznej w wielu krajach i potrzebują odniesień ideowych oraz moralnych. Tego nauczyła nas Solidarność.

Wstęp

Była kiedyś Europa Wschodnia, ponura rzeczywistość opanowana przez niedostatek i restrykcje, która z trudem funkcjonowała za zasłoną bałamutnego triumfalizmu czerwonej dyktatury. W zbiorowej wyobraźni przestała ona istnieć – tak nagle, jak legendarna Atlantyda – nocą 9 listopada 1989 roku, kiedy runął mur berliński. W potocznym rozumieniu żelazna kurtyna zapadła się niczym masa papierowa, a obalenie totalitarnych reżimów po drugiej stronie Europy nastąpiło z dnia na dzień. Można odnieść wrażenie, że komunizm umarł nagle na zawał i wszyscy, z najbliższymi krewnymi na czele, z wyraźną ulgą i kiepsko udawaną żałobą odprawili mu pogrzeb.

Ale tak naprawdę mur nie runął. Określenie to, mimo że weszło już do obiegowego języka, ma wydźwięk, który nie odpowiada rzeczywistości. Mur nie runął, mur został zburzony. Nie w ciągu jednej nocy, ale na przestrzeni wielu lat; nie zawalił się, lecz został zrównany z ziemią przez ludzi odważnych i nieugiętych, którzy pozbawieni broni sprzeciwili się nieliberalnej i represyjnej władzy. Upadek komunizmu w Europie był wydarzeniem dramatycznym i zawiłym, dojrzewającym w cierpieniu i wyrzeczeniach milionów ludzi, możliwym dzięki niezłomnej determinacji mężczyzn i kobiet, którzy toczyli walkę – wbrew pozorom – wolni od nienawiści, broniąc swojego prawa do wolności i prawdy. Ta książka ma być hołdem dla ludzi zarówno znanych z nazwiska, jak i dla wielu anonimowych bohaterów tej rewolucji, trafnie określonej „najbardziej udaną bezkrwawą rewolucją w dziejach”.

Zaginiona Czerwona Atlantyda, którą już niemal wyparliśmy z pamięci, nie była wyludnioną krainą. Była obszarem dotkniętym materialnym zubożeniem, gdzie pod uciskiem dyktatury krył się bezcenny skarb, schowany w osobach wielkich ludzi, erudytów obdarzonych ponadprzeciętnym intelektem, ludzi zwyczajnych, instynktownie odcinających się od reżimowego fałszu, chrześcijan przekonanych, że ich wiara potrafi przenosić góry, laików o nieposzlakowanej moralności, poszukujących dobra i prawdy. Nie wspomnę o ich zdolności do

ironicznego dystansu wobec represji, nawet tych najbardziej podłych i bestialskich, których dopuszczały się elity rządzące. U boku walczących, obserwując z bliska ich tylko pozornie desperackie działania, odczuwałem podniecenie człowieka stojącego na pierwszej linii frontu, na niebezpiecznej przełęczy między totalitaryzmem a wolnością. Muszę przyznać, że jest we mnie trochę tęsknoty za latami osiemdziesiątymi, gdyż większą ich część spędziłem w Europie Wschodniej. Było to doświadczenie fascynujące w wymiarze ludzkim i zawodowym. Wzbudziło ono we mnie pasję życia, potwierdzając często powtarzaną wśród dziennikarzy maksymę, że „korespondent to najpiękniejszy zawód, jaki można uprawiać".

Jeśli wolno mi sparafrazować Johna Reeda, najsłynniejszego korespondenta XX wieku – wybitnego dziennikarza relacjonującego wydarzenia rewolucji bolszewickiej w 1917 roku – było to „dziesięć lat, które wstrząsnęły światem". Wtedy na ulicę też wyszli proletariaccy aktywiści, a w narodach narastało wrzenie. Jednak w odróżnieniu od epopei przedstawionej przez amerykańskiego dziennikarza, który pozostawał w ścisłych relacjach z Leninem i Trockim, teraz klasa pracująca nie zorganizowała szturmu na Pałac Zimowy z bronią w ręku. Przeciwnie, zrezygnowała z przemocy i biernie czekała, aż samozwańczy „rząd robotniczo-chłopski" podejmie za nią negocjacje i zawalczy o jej podstawowe prawa. Pierwszym fragmentem muru, który osunął się w basenie Morza Bałtyckiego, było powstanie w 1980 roku polskiej Solidarności, czyli wolnego związku zawodowego. W historyczny dyskurs wdziera się tu coś, co możemy określić „czynnikiem W": Wałęsa – założyciel, i Wojtyła – duchowy patron nowo powstałego ruchu robotniczego, którego dążenia wolnościowe wkrótce miały stać się przykładem dla innych narodów zsowietyzowanej Europy. Kiedy byliśmy na miejscu, szybko dotarło do nas, że to rewolucja, mimo że inna od tych, które widzieliśmy do tej pory. Jeżeli ktoś manifestował swój sprzeciw wobec ustroju, nie działał pod wpływem żadnej ideologii: liberalizmu czy nawet nacjonalizmu, a już w najmniejszym stopniu socjalizmu, nawet takiego z ludzką twarzą. Mieliśmy do czynienia z ruchem o charakterze etycznym (cytując Józefa Tischnera, filozofa Solidarności). Oznaczało to, że walka o wolność i sprawiedliwość społeczną bez względu na efekty była wartością samą w sobie, albowiem opierała się na międzyludzkiej solidarności. Właśnie to pozwoliło ludziom iść z podniesionym czołem na

spotkanie z ograniczoną mentalnie i często bezwzględną władzą, nie żywiąc wobec niej nienawiści, nie ulegając pragnieniu zemsty i nie uciekając się do krwawej przemocy.

Relacjonowanie tamtych wydarzeń było i trudne, i ekscytujące. Na niewiele zdawały się skąpe doniesienia agencyjne, jeszcze mniej przydatna była propagandowa telewizja rządowa. Nie było Internetu. Trzeba było po prostu być na miejscu. Wystarczało mieć oczy i patrzeć oraz uszy i słuchać, nie powstrzymując się przy tym od podziwu i fascynacji. W gruncie rzeczy od korespondenta najbardziej oczekuje się (poza znajomością zasad gramatyki i składni) umiejętności zdumienia. Jeśli mu jej brak, narracja traci siłę przekonywania albo staje się czystą sztuką retoryczną. „Tylko zdumienie może coś pojąć”[1], mawiał Grzegorz z Nyssy. Frazę tę wielokrotnie słyszałem z ust ojca Luigiego Giussaniego. W tamtym okresie doszedłem do wniosku, że to motto najtrafniej oddaje istotę zawodu reportera.

Mojemu zdumieniu kilkakrotnie towarzyszyły znaki zapytania, konfuzja i wątpliwości. Droga do wolności nie była triumfalnym marszem, lecz mozolnym pokonywaniem przeszkód i wybojów, szaleńczą tułaczką, to iluzoryczną gonitwą, to dramatycznym odwrotem, procesem całkowicie pozbawionym linearności, przebiegającym w przypadkowym porządku rzeczy, mającym swój własny rytm w każdym z krajów komunistycznej Europy Wschodniej. Opisuję to w pierwszym rozdziale książki. Niewykluczone, że czytelnik odbierze moją relację jako chaotyczne krążenie: od Stoczni Gdańskiej do Café Slavia w Pradze, od spotkań z Janem Pawłem II w Watykanie po rozmowę z luterańskim pastorem pacyfistą w Berlinie Wschodnim. Łączy je jednak wspólny mianownik, a ujawni się on w przełomowym 1989 roku. Jemu poświęcona jest druga część tekstu. Na przestrzeni kilku miesięcy jakieś niewiarygodne przyspieszenie wymiotło ludzi z betonu i twardogłowych dyktatorów. Polska, Węgry, Niemcy Wschodnie, Bułgaria, Czechosłowacja i Rumunia. Z osobliwym efektem domina, jeden po drugim przewracały się kolejne klocki sowieckiego imperium. Ta zapierająca dech sekwencja przerasta wyobraźnię nawet najbardziej błyskotliwego autora gatunku *political fiction*. Europa Środkowo-Wschodnia w końcu wydostała się z mroków, w które zapędziło ją półwiecze zimnej wojny. Europa Środkowa, o której Milan Kundera powiedział, że została porwana i wyssana z krwi przez

wschodnie mocarstwo, odzyska siły życiowe, na nowo odnajdując swoje miejsce w historii.

Rewolucja 1989 roku była rewolucją pokojową, w której – jak ktoś powiedział – „nie wybito ani jednej szyby". Wyjątek stanowiła krwawa rewolta w Rumunii (choć w rzeczywistości był to zamach stanu zorganizowany pod pozorami narodowego zrywu). Niektórzy teoretycy, jak historyk François Furet, widzą w niej dopełnienie rewolucji francuskiej sprzed dwóch stuleci[2], inni, na przykład historyk i działacz Solidarności Bronisław Geremek, „całkowite przeciwieństwo 1789 roku, rewolucję uderzającą w ideę jakobinizmu i jej brutalne metody przejawiające się w terrorze"[3]. Angielski historyk i dziennikarz Timothy Garton Ash, wybitny znawca Europy Wschodniej, której poświęcił wiele swoich esejów, wymyślił pojęcie *refolution*[4], ilustrujące powiązanie rewolucji z reformizmem, które charakteryzowało ruchy polityczne 1989 roku. Z kolei historyk Krzysztof Pomian[5] zdecydowanie odrzuca mówienie o rewolucji, bowiem w jego przekonaniu wydarzenia rozegrały się na zasadach „zmian negocjowanych", co jest potwierdzeniem tezy mówiącej, że kiedy władza totalitarna jest gotowa na dialog, nie staje się przez to nawet odrobinę bardziej demokratyczna, kopie sobie po prostu swój własny grób. Ale autorem prawdopodobnie najtrafniejszego określenia jest dysydent, który został prezydentem Czechosłowacji, Václav Havel, bo mimo że był niewierzący, nie wahał się użyć słowa „cud". Należy zauważyć, że – poza tym powierzchownym dyskursem – ciągle brakuje istotnych rozpraw historycznych traktujących o schyłku komunizmu w Europie. W konfrontacji z dużą ilością piśmiennictwa dotyczącego reżimów totalitarnych pierwszej połowy ubiegłego wieku, opracowań monograficznych na ten temat jest niewiele. Widząc tę lukę, pomyślałem, że może należy i warto opowiedzieć, czym był i jak się rozwijał ów wyjątkowy oddolny ruch, który w okresie nie trwającym nawet ćwierć wieku przewrócił piramidę absolutnej władzy dyktatorów, zmieniając oblicze Europy i całego świata.

Głębsza analiza wydarzeń z 1989 roku jest dobrą okazją do nawiązania do aktualnej sytuacji na świecie, gdzie mamy do czynienia z protestami wybuchającymi w społeczeństwach, które nie uznają już partii i instytucji w ich tradycyjnej formie. To samo pokrewieństwo nasuwało się podczas tak zwanej arabskiej wiosny w 2011 roku, będącej zbiorowym aktem wyzwoleńczym, zrywającym łańcuchy ze „zniewolonych umysłów"

(korzystam z określenia wielkiego polskiego literata i noblisty, Czesława Miłosza), doprowadzającym do upadku totalitarnych reżimów w Tunezji i w Egipcie. Niestety, jak mogłem bezpośrednio zaobserwować, młodzi ludzie na placu at-Tahrir nie potrafili skorzystać z lekcji płynącej z wydarzeń w Europie Wschodniej, łudzili się, że rewolucja rozpętana w przestrzeni wirtualnej może wykształcić przywódców wśród blogerów i trwać dzięki portalom społecznościowym. Internet jest nieocenionym narzędziem komunikacji, ale nie wystarcza do wykreowania politycznych liderów. „Nawodniliśmy pustynię, ale nie potrafiliśmy sprawić, by coś na niej wyrosło". To smutne spostrzeżenie usłyszałem kilka miesięcy później z ust tych, którzy przyczynili się do obalenia rządów Mubaraka, ale nie zdołali doprowadzić do uformowania liberalnego i demokratycznego rządu. Najwyraźniej postmodernistyczny mit, w świetle którego Internet jest synonimem demokracji, zdaje się być wciąż żywy, również na naszym podwórku. Jeżeli dziś ktoś deklaruje się jako apolityczny, powinien przeczytać traktujący o tym esej Václava Havla *Siła bezsilnych*, jeden z tych tekstów, które stały się impulsem do aksamitnej rewolucji w Czechosłowacji: „Rzeczywista, głęboka i trwała zmiana stosunków na lepsze (...) nie może być wynikiem przeforsowania – nawet gdyby się to udało – tej czy owej, opartej na tradycyjnych wyobrażeniach i koniec końców tylko ogólnikowej (tzn. strukturalnej, systemowej), koncepcji politycznej. Bardziej niż kiedy indziej i niż gdzie indziej za punkt wyjścia trzeba przyjąć człowieka, ludzką egzystencję, podstawową rekonstrukcję pozycji człowieka w świecie, jego stosunku do siebie samego, do innych ludzi, do wszechświata"[6]. Jedyne odpowiednio skuteczne narzędzie przeciwko władzy czeski polityk widział w „ja", które wybrało życie w prawdzie. Nie wystarczy oburzać się na zaistniałe okoliczności, należy spojrzeć w głąb zjawisk i odnaleźć „polityczne zaskoczenie", jak kardynał Jean-Marie Lustiger w 2005 roku (wówczas metropolita Paryża), który powiedział: „Doświadczenie Solidarności w pełni odsłoniło rzeczywistość, którą marksizm-leninizm ignorował lub interpretował wedle swoich zasad. (...) Solidarność jest odpowiedzią na marksizm-leninizm, w pewnym sensie obnaża go, aby następnie obalić. Lecz to obalenie nie jest możliwe bez wyniesienia na światło dzienne rzeczywistości doświadczenia ludzkiego ignorowanego przez ideologię marksizmu". Lustiger w konkluzji dodał, że „dziś, w epoce globalizacji, istnieje podobne zagrożenie niedostrzegania prawdziwej kondycji i godności ludzkiej, na którym żerują nowo powstałe

ideologie”[7]. Dotarcie do własnej godności jest podstawowym warunkiem bezkrwawej rewolucji. Nie tylko w działaniach, lecz także w słowach. Werbalny ekstremizm, zniewaga i agresja rodzą nienawiść i ducha zemsty. „Solidarność, ta zrodzona z kart i ducha Ewangelii, nie potrzebuje wroga lub przeciwnika, aby się umacniać i rozwijać. Ona się zwraca do wszystkich, a nie przeciwko komukolwiek” – pisał ksiądz Józef Tischner w *Etyce solidarności*[8], która jest podstawowym podręcznikiem dla każdego, kto zamierza wszcząć bezkrwawą rewolucję. Świadome siły własnej moralności „ja” nie boi się dialogu. Kto ma w sercu godność i prawdę, jest w stanie wynegocjować wszystko, nawet z największym wrogiem. Tak oto w 1989 roku nadszedł kres komunizmu. Drogą, która może być właściwą wskazówką i dla naszej niedoskonałej demokracji.

1 A dokładnie: „Jedynie zdumienie i zachwyt pozwalają pojąć człowiekowi coś z Boga” (przyp. tłum.).

2 F. Furet, *L’Europe et la démocratie*, 1789–1989, tekst wygłoszony z okazji otwarcia nowej siedziby Archivio storico della Camera dei Deputati, Rzym, 19 grudnia 1992.

3 B. Geremek, *Transizione polacca, rivoluzione francese, transizione spagnola in „Rassegna italiana di argomenti polacchi”*, LITHOS, Rzym 2009, s. 484–494.

4 T.G. Ash, *Refolution: The Springtime of two Nations*, „The New York Review of Books”, 15 czerwca 1989, Vol. 36, Nr 10, s. 3–10.

5 Wywiad z Krzysztofem Pomianem zamieszczony w: Andrea e Paolo Morawski, *Polonia mon amour*, Ediesse, Rzym 2006, s. 284–285.

6 V. Havel, *Siła bezsilnych i inne eseje*, wybór A.S. Jagodziński, Agora, Warszawa 2011, s. 115.

7 J.M. Lustiger, *Doświadczenie Solidarności a myśl chrześcijańska*, w: *Od Solidarności do wolności*, Konferencja międzynarodowa, Warszawa–Gdańsk, 29–31 sierpnia 2005, red. N. Smolar, tłum. zespół, Warszawa–Gdańsk 2005, s. 50–54.

8 J. Tischner, *Etyka solidarności oraz Homo sovieticus*, Znak, Kraków 2005, s. 13.

Mojemu wnukowi Jacopowi, by mógł docenić wartość i pokochać to, czego nie dane mu było przeżyć

Miami, 1 grudnia 1988 roku

Wczesnym rankiem budzą mnie promienie słońca, które – przebijając się przez zasłony – zalewają pokój bardzo intensywnym światłem, zapowiadającym upalny dzień w tropikach. Nigdy się nie nauczyłem radzić sobie z *jet lagiem*. Przyleciałem do Miami poprzedniego dnia wieczorem, samolotem startującym z Frankfurtu, i mimo że – jak zawsze – postanowiłem nie ulegać senności, wyjść na kolację i położyć się możliwie najpóźniej, to ledwie przekroczyłem próg pokoju, padłem na łóżko, idealnie synchronizując się z moim zegarkiem, który wskazywał drugą w nocy. Jestem w drodze na Haiti, gdzie mam robić reportaż. Na wyspę wracam trzy lata po obaleniu Baby Doca, dyktatora o dziecięcych rysach twarzy, zmuszonego do ucieczki w lutym 1986 roku, po fali zaciekłych i nerwowych protestów narodu. Nie znajduję w sobie dużej motywacji. Wiem, co znowu zobaczę: nędzę, przemoc i niegasnące buntownicze zapędy na najuboższej wyspie zachodniej półkuli.

Leniwie spoglądam na telewizor. BBC podaje wiadomość, która zrywa mnie na równe nogi: w Warszawie odbyła się transmitowana na żywo telewizyjna debata między przywódcą Solidarności Lechem Wałęsą a Alfredem Miodowiczem, przewodniczącym OPZZ, reżimowych związków zawodowych. Najsłynniejszy robotnik świata pojawił się w polskiej telewizji po długim okresie ostracyzmu i stanął twarzą w twarz z bezbarwnym urzędnikiem. W komunistycznej rzeczywistości było to wydarzenie bez precedensu. Wszyscy Polacy zasiedli przed telewizorami, bo chcieli być świadkami pojedynku. Jego zwycięzcą okazał się wielki gdański opozycjonista, walczący o swobody związkowe i obywatelskie, z zamiarem doprowadzenia do skutku reform gospodarczych, bezskutecznie wdrażanych przez rządy komunistyczne. Jednak prawdziwą sensacją jest nie triumf Wałęsy, lecz fakt, że dopuszczono go do publicznej wypowiedzi. To była pierwsza szczelina w murze postawionym przez komunistyczną dyktaturę dla odizolowania Solidarności, której działalności zabroniono po grudniu 1981 roku. To może słaby, ale za to jednoznaczny sygnał, że powoli rozpoczynał się dialog, od tak dawna postulowany przez opozycję

i konsekwentnie odrzucany przez władze. W Polsce zrywa się wiatr zmian. Czuję się zarazem podekscytowany i sfrustrowany. Któż by w takiej chwili chciał lecieć na Haiti? Patrzę przez okno na długi piaszczysty pas ciągnący się wzdłuż oceanu, w którym odbija się błękit nieba, na plaże powoli wypełniające się wczasowiczami, na stopniowo korkujący się elegancki Biscayne Boulevard, który przylega do zatoki. Czuję się trochę niedorzecznie, bo tęsknię za ołowianym polskim niebem i szarzyzną, która zimą trwa tam przez cały dzień. Przyszło mi do głowy, żeby skontaktować się z redakcją i poprosić o zgodę na powrót, ale pewnie pomyśleliby, że mi odbiło. Lepiej dam sobie spokój, pojadę na to Haiti, z głową odwróconą w stronę całkiem innego zakątka na świecie. Było jednak coś, co musiałem bezwzględnie zrobić. Poprosiłem hotelową centralę o połączenie z Warszawą. „W stanie Minnesota czy w stanie Indiana?” – pyta telefonistka, jakby świat składał się tylko ze Stanów Zjednoczonych. Ani w jednym, ani w drugim. Uświadamiam jej, że Warszawa to stolica Polski, a Polska leży w Europie. Nie mija pół godziny i dzwoni telefon. „Halo, Monika, to ja, Luigi”. Moja polska tłumaczka przez chwilę jest zdezorientowana. „Źle cię słyszę, skąd dzwonisz?”. „Z Florydy, jestem w Miami”. „Szczęściarz z ciebie! W Warszawie mamy minus dziesięć, a ty tam na słonecznej plaży... Już cię widzę otoczonego wianuszkiem piękności w bikini...”. Roześmiałem się. „Jestem tu tylko przejazdem, a co do piękności, to dobrze wiesz, że nie umywają się do dziewczyn w Polsce”. Monika śmieje się z zadowoleniem. Mówię jej, że musi znaleźć mi w Warszawie mieszkanie do wynajęcia, tak szybko, jak to możliwe. To był warunek rządu przy przyznawaniu akredytacji korespondentom, która z kolei była furtką do otrzymania wizy wjazdowej do kraju. Bezzwłocznie muszę spełnić ten biurokratyczny wymóg. Mam dość długich kolejek, wykańczającego czekania i trudności, które z ewidentnie politycznych powodów robią urzędnicy polskiej ambasady w Rzymie, ilekroć staram się o pozwolenie na pobyt. „W styczniu przyjeżdżam do Polski. Załatw mi wszystkie dokumenty do wniosku o akredytację”, mówię tłumaczce tonem nieznoszącym sprzeciwu. „Rok 1989 zapowiada się niezwykle interesująco i nie zamierzam niczego przegapić”.

Nie zdarzało mi się to często, ale tamta decyzja, podjęta tysiące kilometrów od Europy Wschodniej, była najbardziej dalekowzroczną w moim życiu. Historia odzyskiwała bieg, dokładnie jak przed blisko dziesięciu laty, w roku 1980 na polskim Wybrzeżu, gdzie wszystko się

zaczęło. To długa i trzymająca w napięciu opowieść, jakiej nie wymyśliłaby nawet najbardziej wybujała wyobraźnia pisarska. I tę historię warto opowiedzieć.

CZĘŚĆ PIERWSZA

LATA OSIEMDZIESIĄTE. HISTORIA NABIERA ROZPĘDU

Rozdział I
Gdańsk 1980. Niebieskie kombinezony kontra czerwony reżim

Stary tupolew szarpie i rzęzi, sunąc między napuchniętymi od deszczu chmurami, które gęstnieją nad Bałtykiem. Po chwili gwałtownym manewrem celuje w płytę niewielkiego lotniska w Gdańsku. Czuję ucisk w żołądku, nie tylko z powodu turbulencji. Mam wrażenie, że znalazłem się w oku cyklonu, w punkcie, w którym lotem błyskawicy może się rozpętać brzemienna w skutki tragedia. Po ponad czterdziestu latach, Gdańsk – miasto, w którym rozpoczęła się druga wojna światowa, wraca na pierwsze strony gazet na świecie, wywołując poruszenie w zachodnich ośrodkach władzy i rosnący niepokój w gabinetach komunistycznych prominentów w Warszawie i innych wschodnioeuropejskich stolicach. Łatwo sobie wyobrazić, jakie rozmiary osiąga panika wśród dygnitarzy na Kremlu. W stosunkowo niewielkiej odległości od polsko-radzieckiej granicy wybuchają protesty. Stocznię Gdańską, oczko w głowie socjalistycznego kraju, okupują robotnicy i ogłaszają strajk bez kompromisów. Stawiają się władzy w bezpośrednim starciu. Tę próbę sił z niepokojem śledzą wszyscy Polacy, rozdarci między nadzieją na jakąkolwiek zmianę a obawą, że wszystko skończy się rozlewem krwi, jak dziesięć lat wcześniej, kiedy milicja ostrzelała stoczniowców, powodując śmierć kilkudziesięciu osób. Wokół Gdańska natychmiast ustawia się „kordon sanitarny”, który ma nie dopuścić do rozprzestrzeniania się wirusa buntu. Nigdzie nie można się dodzwonić. Dotrzeć na miejsce też pewnie będzie niezmiernie trudno. Turyści pragnący zwiedzić dawne hanzeatyckie miasto są przezornie kierowani w bezpieczniejsze miejsca. W warszawskim biurze LOT-u pytam o samoloty do Gdańska, napotykam nieufne spojrzenia i wykrętne odpowiedzi. Wyrwać bilet udaje mi się dopiero kiedy mówię, że muszę koniecznie dostać się na Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie. „Tylko proszę uważać”, ostrzega mnie półgłosem pracownica linii. „Ale dlaczego?”, pytam z udawaną naiwnością. „Są pewne problemy z komunikacją miejską”.

To okazuje się prawdą. W Gdańsku taksówkarz wita mnie frazą „nie ma benzyny”, ale kilka dolarów sprawia, że w cudowny sposób paliwo pojawia się w baku. Na ulicach ruch jest ograniczony, zakłady pracy pozamykane, a przed sklepami spożywczymi tworzą się długie kolejki. Na twarzach ludzi dostrzegam pewne napięcie, ale też jakąś niesamowitą dumę z powodu dziejących się wydarzeń. Przed dworcem kolejowym, którego neogotycki gmach na pierwszy rzut oka można pomylić z kościołem, widzę oblężony kiosk z gazetami. W przeciwieństwie do tego, co (nie) piszą źródła (dez)informacji w pozostałej części kraju, tu, w Gdańsku, informacje o strajku – choć ostrożne i lakoniczne – podaje „Głos Wybrzeża”. Sytuacja w mieście jest dość spokojna i, o dziwo, nie widać chwiejących się pijaczków z butelką wódki w ręku, którzy zazwyczaj są nieodłącznym elementem smętnego pejzażu Polski. Władze województwa gdańskiego wprowadziły zakaz sprzedaży napojów alkoholowych, aby zapobiec incydentom i prowokacjom. To pewnie dlatego miasto jawi mi się jako swoista „wolna republika bałtycka”, strefa swobodnego przepływu w rozległym imperium czerwonej dyktatury.

Ucisk, który czułem w klatce piersiowej, nagle znika. Z dworca udaję się spacerem do Stoczni Gdańskiej, pokonując bez żadnych problemów kilkaset metrów. Cała strefa stoczniowa jest obstawiona przez milicję, która patroluje bramy i przeszukuje samochody. Piesi nie podlegają żadnej kontroli. Byłoby to zresztą niemożliwe. Do późnych godzin nocnych ciągle wchodzą tu i wychodzą jacyś ludzie. Przed bramą numer 2, która do historii przeszła jako jeden z symboli polskiego przewrotu, gromadzi się olbrzymi tłum. Na wiszącej nad wejściem tablicy z napisem „Stocznia im. Lenina” nazwisko założyciela Związku Radzieckiego zdobi krzyż, nakreślony ręką jakiegoś burzyciela. Zniknęły czerwone flagi. Na szczycie bramy widnieją teraz biało-czerwone barwy narodowe i biało-żółte watykańskie. Z ukwieconego ogrodzenia wyrastają portret Jana Pawła II i wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Wydaje mi się, że jestem świadkiem nie tyle demonstracji, ile niesamowitego widowiska. Przez głośniki nadawane są komunikaty komitetu strajkowego. Tłum przyjmuje je aplauzem, zagrzewa robotników, przyłącza się do nich tworząc potężny chór. Słowo „strajk” przechodzi z ust do ust. Wymawia się je tak, jak po angielsku. Wkrótce świat miał nauczyć się pisać je również po polsku.

Wszystko zaczęło się rankiem 14 sierpnia, kiedy robotnicy z pierwszej zmiany pod zegarem zamocowanym nad wejściem do stoczni zauważyli

niewielki plakat postulujący przywrócenie do pracy suwnicowej Anny Walentynowicz, lat pięćdziesiąt, z których trzydzieści spędziła w stoczni, a następnie została zwolniona z powodów politycznych. Ktoś dopytuje o szczegóły, zebrani zastanawiają się, co robić.

> Podszedłem do nich mówiąc: idziemy na K–3 W–4 stoi[9]. Mówiłem tak na wyrost, bo jeszcze o niczym nie wiedziałem. Chciałem ich tylko pociągnąć za sobą. Wreszcie zdecydowali się. „No to idziemy”. Gdy jednak zatrzymywali maszyny robili to bardzo opieszale, w końcu jednak chęć wyjścia na plac przeważyła. Doszliśmy do K–3 widzimy, że zgromadziła się tam już grupka ludzi. To nas bardzo podbudowało (...). Podeszliśmy pod barmę [i.e. bramę] gdzie uczciliśmy minutą ciszy poległych w 1970 roku a potem odśpiewaliśmy hymn narodowy (...). Następnie skierowaliśmy się w stronę koparki. Weszliśmy na koparkę, którą zaraz otoczył tłum ludzi. Wygłosiliśmy przemówienie: Musimy wybrać komitet strajkowy. Potrzebni są nam zaufani ludzie, którzy mają autorytet w brygadach. Niech się zgłaszają. Wtedy zjawił się dyrektor ze swoją świtą, ponieważ stał nisko, poprosiliśmy go na koparkę i pomogliśmy mu się wdrapać. Gdy dyrektor zaczął przemawiać zjawił się nagle Leszek Wałęsa. Dyrektor nie widział go, ponieważ wszedł na koparkę od tyłu. Leszek podszedł do dyrektora i groźnym głosem zapytał: poznaje mnie pan? 10 lat pracowałem na Stoczni i czuję się nadal stoczniowcem, ponieważ mam mandat zaufania załogi. Już 4 lata jestem bez pracy. A potem powiedział: zakładamy strajk okupacyjny i na te słowo ze wszystkich [stron] rozległo się hurra. Potem zażyczyliśmy sobie aby samochodem dyrektora przywieźć do Stoczni p. Walentynowicz. Dyrektor protestował, ale postanowiliśmy [i.e. postawiliśmy] na swoim i po chwili samochód dyrektorski pojechał po p. Annę. My zaś przeszliśmy do radiowęzła. Tak rozpoczął się strajk[10].

Siły połączyło szesnaście tysięcy robotników. Przystąpili do okupacji największych polskich stoczni. „Chciałbym porozmawiać z waszym przywódcą”, mówię do dwóch robotników, którzy pilnują wejścia. Na kawałku papieru nabazgrali mi zgodę i zaprowadzili do stołówki przekształconej w główną kwaterę komitetu strajkowego. Ujrzałem niewysokiego człowieka z sumiastymi wąsami i żywym spojrzeniem, wyrażającym brawurę i zapał. „Jak on się nazywa?”. Lech Wałęsa. Kilka razy poprosiłem o powtórzenie. Musiało minąć trochę czasu, zanim nauczyłem się prawidłowo wymawiać to nazwisko. W prasie bardzo często pisano je z błędem, a w radiu i telewizji nagminnie przekręcano.

Z Wałęsą Polacy w naturalny sposób się utożsamiali. Był synem Polski rolniczej, która po drugiej wojnie pod przymusem została przekształcona w robotniczą. Urodził się w małej wsi w 1943 roku. Z dzieciństwa pamiętał mroki stalinizmu i gomułkowską odwilż. W 1967 roku zatrudnił się na stanowisku elektryka w gdańskiej Stoczni im. Lenina i tam dał się poznać jako charyzmatyczny buntownik. Wziął udział w strajku w 1970 roku i od tej pory jego życie to seria aresztowań, zatrzymań i przesłuchań. Jako

działacz opozycji nawiązał kontakt z członkami KOR-u, Komitetu Obrony Robotników, założonego w 1976 roku między innymi przez grupę dezerterów z PZPR-u, niedługo po strajkach robotników w Ursusie i Radomiu. W tym samym roku Wałęsa został wyrzucony ze stoczni z powodów politycznych. To nie był człowiek od drobnych akcji. Marzył o rzeczach wielkich, o utworzeniu potężnej organizacji zrzeszającej wszystkich robotników. Będąc bezrobotnym, by utrzymać wielodzietną rodzinę, brał prace dorywcze i korzystał z pomocy przyjaciół. W 1978 roku, współdziałając z robotnikami i gronem intelektualistów, założył Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża. Była to jego *idée fixe*: powołać do życia niezależną organizację związkową. Strajk w sierpniu 1980 roku go nie zaskoczył. Przeciwnie, od dawna wyczekiwał takiej okazji. Był zdesperowany. Kilka dni wcześniej po raz kolejny wylądował w celi. Jego żona, Danuta, w ciąży z szóstym dzieckiem (córką), zaczynała już rodzić, ale milicjanci nie chcieli negocjować. Kiedy Wałęsa wrócił do domu po czterdziestoośmiogodzinnym zatrzymaniu, córka już była na świecie. Co przeżywał rankiem 14 sierpnia, sam mi powiedział: „Czułem, że jestem na zakręcie i nie zawaham się przed niczym. Chciałem to zrobić dla moich dzieci, najbardziej dla Anny, która dopiero się urodziła. Kiedy przyszedłem pod bramę stoczni, już był tłum, a strażnicy skrupulatnie sprawdzali przepustki robotników. Wcisnąłem się w boczną uliczkę i przeskoczyłem przez ogrodzenie. Był to najlepszy skok w moim życiu”. Wałęsa umiał rozmawiać z robotnikami, bo był jednym z nich. Koledzy z pracy darzyli go bezgranicznym zaufaniem. Dlatego wybrali go na przewodniczącego komitetu strajkowego, który niezwłocznie przedstawił swoje żądania dyrekcji: przywrócenie do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy, członków wolnego związku zawodowego, postawienie pomnika robotnikom, którzy oddali życie w grudniu 1970 roku, i podwyższenie płac o dwa tysiące złotych miesięcznie.

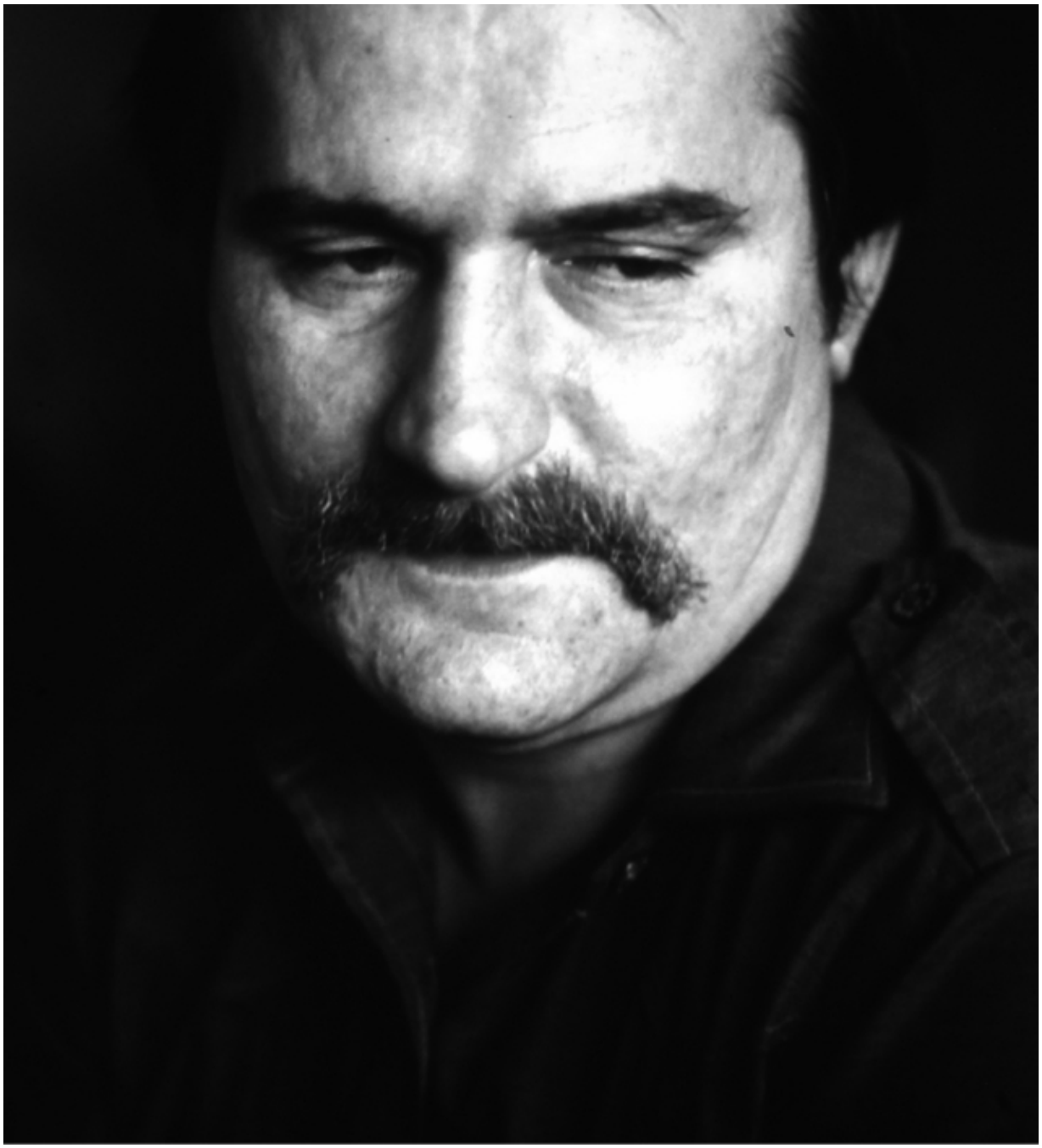

Lech Wałęsa, przywódca NSZZ Solidarność

Od końca wiosny w zakładach przemysłowych wielu polskich miast organizowano spontaniczne protesty z żądaniami zwiększenia wynagrodzeń. Iskra strajkowa zapłonęła 1 lipca, po tym jak rząd wydał decyzję o podniesieniu detalicznych cen mięsa o 40–80%, w zależności od towaru. W swej hipokryzji reżim nie objął podwyżką mięsa z zakładów państwowych, gdzie nadal obowiązywały ulgi. Faktycznie mięso było

niedostępne, choć dwa lata wcześniej utworzono tak zwane mięsne sklepy komercyjne. Był to perfidny sposób władz na powrót do cen rynkowych. Decyzja dotyczyła też stołówek zakładowych, gdzie ceny również miały zostać zrównane z cenami w sklepach komercyjnych. Jako jedni z pierwszych zareagowali pracownicy podwarszawskiej fabryki traktorów Ursus. Protest wybuchł w czasie przerwy obiadowej i pod wpływem chwili robotnicy ogłosili strajk. W ciągu kilku następnych dni ich śladem poszło wiele innych fabryk w Warszawie, Radomiu, Poznaniu i Lublinie. Władze w popłochu reagowały sprzecznymi decyzjami: w jednych zakładach podwyżki cen wstrzymano, po czym wprowadzono mniejsze, w innych natychmiast zezwolono na wyrównanie płac, wywołując reakcję łańcuchową. Bunt rozprzestrzeniał się w całym kraju jak plama oleju na wodzie. Ostentacyjnie ignorowany przez radio i telewizję, znajdował uwagę prasy lokalnej, choć na jej łamach nie mówiono o strajkach, lecz eufemistycznie – o „przerwach w pracy".

Strajki robotników w komunistycznej Polsce nie były oczywiście niczym nowym. W czerwcu 1956 roku w Poznaniu robotnicy wyszli na ulicę, wołając: „My głodujemy – my chcemy chleba!". Władza wykonała antystalinowski zwrot. Na czele państwa stanął Władysław Gomułka i złożył narodowi obietnicę reform. Jednak w 1970 roku wydał rozkaz strzelania do pracowników Stoczni Gdańskiej, którzy wystąpili przeciwko podwyżkom cen. Zginęło wówczas ponad czterdzieści osób. Gomułka będący w podeszłym już wieku został odsunięty od władzy, a jego miejsce zajął Edward Gierek – komunista o reputacji technokraty, posługujący się nośnym sloganem „Budujemy drugą Polskę". Zamiast wezwań do poświęceń i absolutystycznych zakusów konserwatywnego Gomułki, pojawiło się entuzjastyczne hasło „Aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej", a wraz z nim otwarcie na Zachód i radosna ekonomia postępującego zadłużenia w bankach państw kapitalistycznych, które umożliwiało sfinansowanie szeroko zakrojonych inwestycji w przemysł. Rosły zarobki, a w konsekwencji i potrzeby. Tworzono nowe, gigantyczne zakłady produkcyjne. To wszystko jednak nie ograniczało niedostatku, a wręcz przeciwnie: nasilała się bieda, marnotrawstwo i chaos biurokratyczny, tak typowe dla socjalistycznej gospodarki planowej. Sztucznie pompowana industrializacja – wskutek nieudolności kadry administracyjnej w kierowaniu skomplikowaną machiną produkcyjną i niskiej produktywności młodej, wywodzącej się ze wsi klasy pracującej –

zawaliła się pod własnym ciężarem. W rezultacie doszło do deficytu produkcji zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym. Skutki były katastrofalne: na rynku wewnętrznym tylko pogłębił się i tak już chroniczny brak dóbr konsumpcyjnych, na rynku zewnętrznym zaś doszło do zahamowania eksportu, ponieważ polskie wyroby nie były konkurencyjne. Technokratyczne marzenie Gierka, który miał ambicję wprowadzenia polskiej gospodarki na wyżyny, zatonęło w oceanie długów (dwadzieścia miliardów dolarów), inflacja sięgnęła 10%, a produkt krajowy brutto spadł o 2%. Po złożeniu obietnicy łatwego wzbogacenia, komunistyczny rząd musiał więc podnieść ceny i obniżyć i tak już niską stopę życiową Polaków.

Lech Wałęsa z autorem w listopadzie 1980 r. w Gdańsku

Na katastrofę gospodarczą nałożył się moralny upadek ustroju, bo w oczach obywateli stracił on wszelką wiarygodność. Życie codzienne było coraz bardziej przygnębiające, pogłębiały się różnice społeczne i panoszyła

się korupcja. Jako styl bycia zatriumfowało zakłamanie sprzęgnięte ze skostniałą ideologią komunistyczną. Co mogło posłużyć za panaceum? „Trzeba otwarcie powiedzieć całą prawdę o tragicznej sytuacji, w której znalazł się nasz kraj. Tylko pod tym warunkiem może odbyć się dialog między władzą i społeczeństwem" – głosił komunikat opublikowany wiosną 1980 roku przez grupę intelektualistów, wśród których znaleźli się wybrani członkowie partii komunistycznej oraz przedstawiciele organizacji „Doświadczenie i Przyszłość".

Tak więc rozległy się pierwsze sygnały alarmowe, a w powietrzu zawisła groźba wybuchu strajku. Pod koniec lipca protesty trwały już w ponad stu zakładach produkcyjnych. Elity rządzące robiły wszystko, by sprostać żądaniom strajkujących i 11 sierpnia sekretarz KC do spraw propagandy, Jerzy Łukaszewicz, bez zająknienia zapowiedział, że wielka fala manifestacji niebawem opadnie (krótkowzroczność typowa dla urzędnika). Trzy dni później miał wybuchnąć jeden z największych strajków w dziejach najnowszej historii Polski. Tym razem podniosły się stoczniowe „wyższe sfery" – ludzie, którzy mogli liczyć na pensje dwu-, a nawet trzykrotnie wyższe od średniej krajowej. Sprawy zdawały się toczyć ciągle według tego samego scenariusza: dyrekcja Stoczni im. Lenina przyznała podwyżkę wynagrodzeń o tysiąc pięćset złotych i zobowiązała się do ponownego zatrudnienia osób wyrzuconych z pracy z powodów politycznych. Lech Wałęsa ogłosił koniec strajku. Był 16 sierpnia, sobota wieczorem. Wielu robotników, zadowolonych z takiego obrotu sprawy, opuściło teren stoczni. Ale znaleźli się też malkontenci. Padały mocne słowa, Wałęsę oskarżano o zdradę. „A czy ktoś pomyślał o nas?". Ten pełen wyrzutów głos dobiegał z pobliskiej Stoczni Remontowej. Zaprotestował też przedstawiciel kierowców komunikacji miejskiej, mówiąc, że jego grupa zawodowa nie dostała złamanego grosza. Robotnicy wołali: „Solidarność!". Po raz pierwszy zabrzmiało słowo, które miało zmienić bieg historii w Polsce i na całym świecie. Lech Wałęsa musiał ponownie rozważyć sprawę, i w końcu oznajmił: „Strajk trwa dalej", wywołując tymi słowami burzliwą owację. Pracownicy różnych zakładów w regionie zawiązali sojusz. Chleb, który dostali strajkujący w Stoczni Gdańskiej, podzielono między robotników z innych fabryk. Ten symboliczny gest odwoływał się do wspólnej im wszystkim chrześcijańskiej wiary. Dzień później, 17 sierpnia, Wałęsa przyniósł wielki drewniany krzyż, który postawił przed stoczniową bramą. Jeżeli walka miała być ich drogą

krzyżową, to zakończy się zmartwychwstaniem. Rodziła się nowa świadomość, wyznaczająca radykalną zmianę kierunku robotniczych walk w Polsce. Na tym polegała fundamentalna różnica między Grudniem ’70 i Sierpniem ’80. Poprzednio z żądaniami zwracano się do władz, teraz protestujący zdawali się tylko na własne siły. Dziesięć lat wcześniej, powołany niedawno na I sekretarza PZPR, Edward Gierek spotkał się ze stoczniowcami i poprosił ich o wsparcie w budowaniu „drugiej Polski” (kiedy zapytał: „Pomożecie?”, odpowiedzieli: „Pomożemy”). „Jesteśmy inni, przede wszystkim dlatego, że będąc razem, przestaliśmy być bezsilni. Jesteśmy inni, bo przez ostatnie 30 lat nauczono nas, że obietnic się nie dotrzymuje. Jesteśmy inni, gdyż zrozumieliśmy, że mówiąc o uzdrawianiu gospodarki, myśli się o tym, jak nas oszukać”[11]. Najważniejszym rezultatem tej zmiany postaw była forma walki. W grudniu 1970 roku robotnicy wyszli z protestem na ulicę, spalili gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Brutalnie zaatakowała milicja, byli zabici i ranni. Od jednego z robotników, który był świadkiem tamtych wydarzeń, usłyszałem: „To była straszna tragedia, ale wynieśliśmy z niej lekcję. My się stąd nie ruszymy, to oni mają przyjść do nas. Nie mogą zabić nas wszystkich, prędzej czy później muszą zacząć z nami rozmawiać”. Utworzono Międzyzakładowy Komitet Strajkowy (MKS) i sformułowano listę żądań, które miały być przedstawione władzom.

Od poniedziałku 18 sierpnia wszystkie stocznie na Wybrzeżu, od Gdyni po Szczecin, były już okupowane przez strajkujących robotników. Do protestów dołączyły załogi innych zakładów z regionu. Tymczasem ferment ogarniał cały kraj. Pod koniec sierpnia istniało już kilka MKS-ów. Obok gdańskiego, reprezentującego ponad pięćset zakładów, powstały też m.in. w Szczecinie (dwieście podmiotów), we Wrocławiu i w Jastrzębiu, w którym zrzeszyły się kopalnie i huty ze Śląska, najbardziej uprzemysłowionego regionu w kraju. Wszyscy oglądali się na Stocznię Gdańską, kolebkę buntu i ognisko robotniczego ruchu oporu. U stóp niebosiężnych dźwigów chylących się nad wodami zatoki, wzdłuż niskich ceglanych budynków mieszczących rozmaite oddziały, tysiące ludzi trwały w oczekiwaniu. Czekały, aż zjawi się ktoś z rządu, ale nie okazywały zniecierpliwienia, przeżywając te dni z ogromnym spokojem wewnętrznym. Jedni grali w karty, inni pisali wiersze. Przyglądałem się im: mieli dumne i pełne powagi spojrzenia ludzi, którzy walczą o chleb i o wolność, nie ulegając przemocy czy porywom gniewu. Biła z nich determinacja

i godność. Szykowali prawdziwą rewolucję robotniczą przeciwko władzy zasadzającej się na robotniczo- -rewolucyjnej ideologii. Podobnie jak wielu moich kolegów po fachu z różnych zakątków świata, spędzałem na terenie stoczni całe dnie, rozmawiając z bohaterami spektaklu, który budził zdumienie nawet najstarszych cyników. Dla mnie był to chrzest bojowy, robiłem swój pierwszy reportaż i miałem wrażenie, że sięgnąłem nieba. Wypełniało mnie wzruszenie, a mój notatnik zapisany był informacjami przekraczającymi wszelkie wyobrażenia. Codziennie o piątej po południu odbywała się modlitwa. Na obszernym placu na terenie stoczni ustawiano krzesła dla wiernych. W niedzielę rano odprawiano mszę. Ołtarz postawiono na ciężarówce, dzięki czemu w nabożeństwie mogli uczestniczyć wszyscy, nie tylko zgromadzeni przed stocznią i w przylegających do niej szerokich alejach robotnicy, ale też ludność znajdująca się przy bramie wejściowej. Tysiące niebieskich kombinezonów na klęczkach, na tle dźwigów i wózków widłowych, pokazane na ekranach telewizorów na całym świecie były przejmującym świadectwem wiary narodu. Polski Sierpień był traumą czerwonych dyktatur Wschodu i lewicowych teoretyków Zachodu. We Włoszech na łamach komunistycznego „Il Manifesto” przyznano nawet, że „dla polskich robotników walka i modlitwa oznaczają to samo”. Za nimi stał cały naród, młodzież, rodziny z dziećmi, a nawet wielu członków partii. Przed bramą numer 2 tłum z każdą chwilą gęstniał. Wszyscy chcieli być na bieżąco, ale Komitet Strajkowy nie miał odpowiednich kanałów informacyjnych, poza Strajkowym Biuletynem Informacyjnym „Solidarność”, który ukazywał się od 23 sierpnia. Drukowała go Wolna Drukarnia Stoczni Gdańskiej w bardzo niskim nakładzie i w kiepskiej jakości. Każdego ranka rozgrywała się więc ta sama emocjonująca scena: ludzie gorączkowo szukali rozrzuconych ulotek, przekazywali je sobie z rąk do rąk i połykali wzrokiem. To jedyna informacja alternatywna wobec propagandowych mediów, które, choć w końcu zaczynały otwarcie mówić o „strajkach”, to określały je jako wywrotowe i antysocjalistyczne. Wydawało się, że Gdańsk i Warszawę – serce rewolucji i ośrodek władzy – dzieli przepaść. Rząd zadeklarował gotowość do pertraktacji z pojedynczymi zakładami, ale bez pośrednictwa MKS-u. Negocjacje trójstronne między oficjalnymi związkami zawodowymi, dyrekcją zakładów i komórką partyjną już w pierwszej fazie rozmów zakończyły się fiaskiem. Środowiska rządzące w końcu doszły do wniosku, że skoro negocjacje muszą się odbyć, trzeba przeprowadzić je

bezpośrednio ze strajkującymi. 23 sierpnia, o ósmej wieczorem, kiedy zaczynało się ściemniać, na ulicę prowadzącą do stoczni wjechał autokar, torując sobie drogę w tłumie. Ktoś zawołał: „Są! To oni!”. „Oni”, czyli komuniści, przywódcy partyjni[12]. Za szybami było widać ich ponure twarze. Przekroczyli magiczną granicę, by dostać się do serca „kontrrewolucji” (reżimowa prasa tak określała nadbałtyckie akcje strajkowe). To delegacja rządu z Warszawy. Na jej czele stał wicepremier Mieczysław Jagielski ubrany w szary, idealnie skrojony garnitur i partyjny krawat. Przywitał go Lech Wałęsa, który miał na sobie wymiętą marynarkę i paskudną koszulę w kratę. Dwa odległe i wzajemnie wrogie światy stanęły obok siebie. W dużej sali konferencyjnej na swoich rozmówców czekało sześciuset przedstawicieli MKS-u. Delegacja rządowa zajęła miejsce na podium, między krzyżem, który kilka dni wcześniej został powieszony na ścianie, i wielkim pomnikiem Lenina wykonanym z białego marmuru – dosadnym symbolem, który już sam w sobie podkreślał dramatyzm tego spotkania. Rozmowy trwały cztery godziny, a dzięki głośnikom wszyscy mogli śledzić ich przebieg. Jagielski często zdradzał zakłopotanie. Kiedy jeden z robotników zamachał mu przed nosem „Trybuną Ludu” – oficjalnym partyjnym medium – prosząc o wyjaśnienia kłamstw, które wypisuje na temat strajkujących, ten mruknął pod nosem, że jeszcze nie zdążył przeczytać. MKS zażądał, między innymi, odblokowania łączności telefonicznej między Gdańskiem a resztą kraju, ale władze tłumaczyły, że do awarii linii doszło w wyniku gwałtownych burz, co wywołało tylko ogólne rozbawienie.

Ale ze strony strajkujących padło też istotne stwierdzenie, że obowiązująca ustawa o związkach zawodowych musi zostać zmieniona. Niezależnie od wyniku, ważne było to, że władza zaczęła rozmawiać z uczestnikami strajku. Pierwsze efekty widać było już następnego dnia po spotkaniu. KC PZPR odwołał premiera Edwarda Babiucha i wielu członków rządu, w tym prezesa Radiokomitetu Macieja Szczepańskiego. Od tej pory Dziennik Telewizyjny był już trochę ciekawszy, bo choć nadal wybiórczo, to jednak zaczął podawać informacje o wydarzeniach w gdańskiej stoczni. Tymczasem strajkujący przedstawili władzy ostatecznie sformułowaną listę dwudziestu jeden postulatów. Na pierwszym miejscu widniała „Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców wolnych związków zawodowych, wynikająca z ratyfikowanej przez PRL

Konwencji nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczącej wolności związkowej”.

Przy MKS-ie powstała Komisja Ekspertów złożona z intelektualistów, którzy pragnęli nie tylko wspierać robotniczą walkę, ale też włączyć się w nią osobiście. Obie grupy wyznaczyły w ten sposób kres wzajemnej obojętności, charakterystycznej dla stosunków między inteligencją i klasą robotniczą w minionym okresie. W roku 1968, kiedy wybuchły protesty na uczelniach, robotnicy nawet nie kiwnęli palcem. Dwa lata później, w grudniu 1970 roku, po brutalnych represjach zastosowanych na uczestnikach rozruchów w Gdańsku, inteligencja milczała. Teraz wielu przedstawicieli środowisk naukowych bez wahania udało się ku stoczni, oddając się do dyspozycji strajkujących. Byli wśród nich: historyk o międzynarodowej renomie Bronisław Geremek, prawnik zajmujący się sprawami ekonomicznymi Andrzej Wielowieyski, polonista i historyk Bohdan Cywiński, twórca Uniwersytetu Latającego – tajnych kursów mających być alternatywą dla oficjalnej edukacji propagandowej. Na czele Komisji Ekspertów stanął Tadeusz Mazowiecki, publicysta i wiceprezes warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Poznałem go pewnego ranka podczas mszy na terenie stoczni. „Wy, dziennikarze zachodni, pewnie nigdy wcześniej nie widzieliście czegoś podobnego”. Wypowiedziane po niemiecku zdanie skierował do mnie mężczyzna około pięćdziesiątki, szczupły i z zakolami na czole, ze wzrokiem wbitym w klęczący przed ołtarzem polowym szpaler niebieskich kombinezonów. Przedstawił mi się jako kolega po fachu. Pracował w redakcji katolickiego miesięcznika „Więź” w Warszawie. Później zorientowałem się, że miałem do czynienia z wybitnym polskim intelektualistą i że to jego Wałęsa poprosił o pokierowanie Komisją Ekspertów przy MKS-ie. „Jak długo, wy, inteligenci, zamierzacie zostać z nami?”, zapytał go Wałęsa z właściwą sobie bezceremonialnością. Mazowiecki bez namysłu odparł: „Do samego końca!”. W kolejnych dniach miałem okazję widywać się i prowadzić długie rozmowy z nim i innymi doradcami przywódcy strajków. Nocowali w domu zakonnym pallotynów, usytuowanym nieopodal gdańskiego Dworca Głównego (ja też tam byłem zakwaterowany, bo będąc w Polsce ze zwykłą wizą turystyczną, wolałem omijać hotele). Dopisało mi szczęście. Podczas wielogodzinnych rozmów przy stole, gdzie wspólnie jedliśmy kolację, coś z tej Polski zaczynałem rozumieć. Niespodziewanie znalazłem się na spotkaniu, które przypominało tajny sobór duchownych

i intelektualistów. Przywodzili mi na myśl karbonariuszy, organizujących osobliwy ruch rewolucyjny. Ich zdumienie było jednak dużo większe niż moje. Jako myśliciele, katolicy czy związane z Kościołem osoby świeckie, sprawę narodową uważali za własną. Ale potrzebny był im ruch robotniczy, by wartości religijne i patriotyczne mogły stać się konkretnym doświadczeniem i całemu narodowi dać nadzieję na zmiany. Trzeba było także wielkiej osobowości o światowym autorytecie, jaką był papież Polak, który to doświadczenie i tę nadzieję umocnił. „Ja jestem z wami", mówił Jan Paweł II w swoim przesłaniu. Telegram ze stolicy apostolskiej podczas niedzielnej mszy 24 sierpnia odczytał prałat Henryk Jankowski, kapelan stoczniowców:

> Piszę tych kilka słów, aby zapewnić Waszą Eminencję, że w ciągu ostatnich trudnych dni jestem szczególnie blisko: modlitwą i sercem uczestniczę w tych doświadczeniach, przez jakie przechodzi – raz jeszcze – moja Ojczyzna i moi rodacy. Wiadomości na te tematy nie schodzą z pierwszych stron prasy i z programów telewizji i radia. Modlę się, aby Episkopat Polski ze swym Prymasem na czele, zapatrzony w Tę, która dana jest ku obronie naszego Narodu, mógł również i tym razem dopomóc temu Narodowi – w ciężkim zmaganiu się o chleb powszedni, o sprawiedliwość społeczną i zabezpieczenie jego nienaruszalnych praw do własnego życia i rozwoju. Proszę przyjąć tych kilka zdań podyktowanych potrzebą wewnętrzną. Jestem z Wami u stóp Jasnogórskiej Pani przez troskę, modlitwę i błogosławieństwo.

Strajkujących stoczniowców słowa te, będące dowodem solidarności papieża i jego głębokiego zaangażowania, bardzo poruszyły. Z dumą powtarzali: „Nie jesteśmy sami, jest nad nami wielka siła, która nas chroni". Przesłanie Jana Pawła II miało szczególną wymowę, zwłaszcza porównane z wypowiedziami Episkopatu Polski. 26 sierpnia, w homilii wygłoszonej w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński wezwał wiernych, by walczyli o swoje prawa odpowiedzialnie i roztropnie. Apel ten reżimowa władza natychmiast próbowała wykorzystać. Słowa prymasa zacytowano w Dzienniku Telewizyjnym, a następnego dnia wydrukowała je „Trybuna Ludu". W komunistycznej Polsce była to rzecz niespotykana. Tekst prewencyjnie oczyszczono z passusów, które mogłyby być odebrane jako krytyka polityki władz. W odpowiedzi Biuro Prasowe Konferencji Episkopatu wydało oficjalny komunikat, w którym Kościół precyzował swoje stanowisko i podkreślał niezbywalne prawa ludzi pracy. Tak czy inaczej, pozostało wrażenie, że hierarchowie kościelni obawiają się dramatycznego zwrotu (prymas w homilii ostrzegał przed „katastrofą Ojczyzny") i proszą naród o umiar i rozwagę, podczas gdy głowa Kościoła, papież Polak,

w jednoznaczny i namacalny sposób opowiada się po stronie walczących robotników. Wobec strajku Kościół i naród polski manifestowali głębokie porozumienie, jednak między Episkopatem Polski a Janem Pawłem II istniała pewna rozbieżność sądów. Rozbieżność, która w przebiegu całego dziesięciolecia coraz bardziej się zaostrzała.

Podbudowani słowami papieża robotnicy w żadnym razie nie zamierzali się wycofać. Pertraktacje z delegatami rządu przebiegały opornie. Jagielski wielokrotnie groził zerwaniem rozmów i powrotem do Warszawy, Komitet Strajkowy podnosił głos, więc Wałęsa, by nie dopuścić do zaognienia sytuacji, musiał uciec się do swoich zdolności retorycznych i negocjacyjnych. Każdego ranka, po zebraniu prezydium MKS-u, szedł pod bramę numer 2, by rozmawiać z zebranymi. Początkowo za podium wystarczała mu jedna skrzynka, dzięki której widać go było zza ogrodzenia. Ale każdego dnia ludzi przybywało i w końcu przywódca wspinał się na ciężarówkę zaparkowaną przed wejściem do stoczni. Leszek (zwracano się do niego zdrobniale) przemawiał długo, przekazywał bieżące informacje, wzywał do cierpliwości i zaciśnięcia zębów. „Rząd mówi, że sytuacja idzie w złym kierunku. To nieprawda, ja wam mówię, że sytuacja jest bardzo dobra! Damy radę!”. Wybuchła gromka owacja. Zebrani zaśpiewali *Sto lat*, a gdy dwaj barczyści koledzy triumfalnie nieśli Wałęsę na rękach, wszyscy do niego machali. Panowała atmosfera niesłychanej swobody, kontrastująca z posępnym klimatem wydarzeń na zewnątrz. Komunikat sowieckiej agencji prasowej TASS, która ogłosiła „kontrrewolucję podżeganą przez Zachód”, wystarczył, żeby świat zadrżał. Środki masowego przekazu wieszczyły zbrojną interwencję ZSRR. My, dziennikarze, ciągle o tym dyskutowaliśmy. To był najpopularniejszy temat naszych długich rozmów przy stolikach w hotelu Hevelius, koszmarnym wieżowcu, który wyrasta nieopodal stoczni, a w tamtym okresie gościł ekipę objazdową międzynarodowych mediów. W miejscowej restauracji karta dań była raczej skromna, ale za to każdy z nas miał swój plan awaryjny na wypadek najazdu sowieckich czołgów: jedni codziennie wstawali o świcie, żeby kontrolować sytuację, inni mieli w odwodzie mieszkanie-kryjówkę, byli też tacy, którzy planowali wciągnąć na siebie niebieski roboczy kombinezon i dać się zaaresztować. Niektórzy mówili, że widzieli czołgi z czerwoną gwiazdą. Nie w Gdańsku, ale w Krakowie, gdzie toczyły się z łoskotem przez ciasne uliczki Starego Miasta, by zająć rynek. Mieszkańcy na ich widok drętwieli z przerażenia. Nie była to ani halucynacja, ani

rzeczywistość, tylko plan filmu o życiu Karola Wojtyły, *Z dalekiego kraju*, w reżyserii Krzysztofa Zanussiego. Scena z udziałem wjeżdżających czołgów pokazuje wkroczenie Armii Czerwonej do Polski w 1945 roku. Tyle że owładnięte obsesją tajności władze nie ostrzegły mieszkańców i nim nieporozumienie zostało wyjaśnione, Kraków przeżył chwile grozy.

Lech Wałęsa przy wyjściu ze Stoczni Gdańskiej (przywódca związków wrócił do pracy po zdelegalizowaniu Solidarności w 1983 r.)

W nadbałtyckich stoczniach nic takiego nie miało miejsca. Dominowało tam spokojne trwanie robotników. Zapytałem Wałęsę, czy nie boi się radzieckiej interwencji. „Boję się tylko Boga”, odparł chłodno. Później, siedząc na małym i wytartym tapicerowanym tapczanie, na którym spędzał większość bezsennych nocy, tłumaczył toczące się wokół wydarzenia: „Polityka nie ma tu nic do rzeczy, chcemy tylko normalnie żyć, chcemy, żeby Polacy rozwiązywali swoje problemy dzięki wspólnemu działaniu z rodakami, a nie jeden przeciwko drugiemu. Nie rządzi nami pragnienie zemsty ani chęć przejęcia władzy. Chcemy tylko mieć związki zawodowe, które nas będą reprezentować. Z bożą pomocą damy radę”.

Nie był to wyraz ideologii, lecz postawa człowieka, który próbował wytrącić broń z ręki przeciwnika. Wśród zebranych przez Solidarność wierszy znajduje się poetycki apel do rządzących i partyjnej nomenklatury: „Przestańcie wmawiać nam głupotę / Anarchię i brak doświadczenia / Zamiast klajstrować gdzie popadnie / Od siebie zacznijcie zmieniać / Przestańcie ludzi oszukiwać / Zamykać oczy, chować głowy / Zamieniać godność i kulturę / W olbrzymi sklep monopolowy /Przestańcie dzielić nas i skłócać / Rozdzielać punkty, przywileje / Przemilczać niewygodne fakty / Fałszować historyczne dzieje[13]”.

Sprostanie temu wyzwaniu wymagało radykalnej zmiany świadomości. Dokładnych wyjaśnień udzielił mi Bohdan Cywiński, jeden z intelektualistów wchodzących w skład wspierającego strajk zespołu ekspertów: „Widzi pan – powiedział mi ten korpulentny humanista, który od razu wzbudził moją sympatię – ma tu miejsce niespotykana forma rewolucji. Nie ma w niej gniewu ani przemocy. Niezgoda na niesprawiedliwość zmusiła nas przede wszystkim do zmiany samych siebie, a jeśli spojrzeć na to głębiej, również do pokonania naszych lęków i egoizmu. Wyzwoliliśmy się wewnętrznie i dzięki temu potrafimy być solidarni, odpowiedzialni i publicznie odważni”.

Władze nie wiedziały, co robić, więc grały na zwłokę. Doszło do niespotykanej zmiany konfiguracji. Na początku robotniczego zrywu prasa i telewizja na Wybrzeżu nie wahały się przed głoszeniem opinii, że ten strajk jest niedopuszczalny i jak najszybciej należy go zakończyć. Ale kiedy rząd zgodził się na rozmowy, nie było już odwrotu. Rzecz jasna, żądania ekonomiczne nie stanowiły istoty problemu, tym bardziej, że robotnicy zgodzili się na odstąpienie od niektórych postulatów. Ale pomysł przekształcenia MKS-ów w wolne związki zawodowe dla zatwardziałych komunistów brzmiał jak karygodna prowokacja. „To tak, jak zgodzić się na ciągłą rewolucję”, syczał jeden z członków rządowej delegacji. Trudno zaprzeczyć, że byłby to koniec hegemonii partii w życiu publicznym, przełamanie dogmatu stanowiącego fundament socjalistycznego ustroju. „Zdajecie sobie sprawę, że chcecie zburzyć mur, którego dotąd nikt nawet nie naruszył?”, pytam grupkę robotników. „Ktoś wreszcie musi spróbować”, odpowiedzieli ze stoickim spokojem. Piątek 29 sierpnia był dniem najczarniejszego pesymizmu. Jagielski oświadczył, że kontynuowanie rozmów nie ma sensu. Wałęsa postawił więc ultimatum: „Albo uznacie nasze prawo do wolnych związków, albo w najbliższy

poniedziałek wybuchnie strajk generalny”. Rząd musiał dać za wygraną. Rankiem, w sobotę 30 sierpnia, blady jak kreda Jagielski oznajmił, że jest gotów podpisać porozumienie. W sali konferencyjnej zapanowało ogromne podniecenie. Członkowie prezydium MKS-u zaczęli dopracowywać szczegóły projektu porozumienia. Toczyły się ożywione dyskusje, niektórzy buntowali się przeciwko Protokołowi, w którym zapisano, że nowy związek zawodowy uznaje PZPR za ciało kierujące polityką państwa. Na Wałęsę spadło zadanie przekonania najzagorzalszych sceptyków, że klauzula ta (wprowadzona przez rząd, który potrzebował jakiejkolwiek gwarancji dla bezpieczeństwa socjalistycznego do przedstawienia moskiewskim decydentom) nie stoi na przeszkodzie wolności związkowych działań. Porozumienia zostały podpisane następnego dnia, w niedzielę 31 sierpnia. Wszyscy odczuli niesamowitą satysfakcję. Od wczesnych godzin rannych tłum oblegał bramę stoczni, wymachując flagami i rzucając kwiaty. Wyglądał jak potężna balustrada, przez osiemnaście dni strajku odgradzająca jego bohaterów od narodu. Ich twarze wyrażały silne emocje. Wiedzieli, że osiągnęli swój cel. Ściągnęli kombinezony robocze i włożyli odświętne ubrania. Pod szyldem „Stocznia Gdańska im. Lenina” zawisł transparent z przewrotną wersją słynnego hasła z *Manifestu komunistycznego* Karola Marksa: „Proletariusze wszystkich zakładów, łączcie się!”. Po mszy rozpoczęło się spotkanie z delegacją rządową. Tekst porozumień był gotowy, ale komitet strajkowy postawił jeszcze jeden warunek. Zażądano uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, łącznie z aresztowanymi w ostatnich dniach. Jagielski wpadł w popłoch, bo nie mógł dać takiej gwarancji bez przyzwolenia głowy państwa. „Dobra, niech pan wraca do Warszawy. My tu poczekamy”, odparł niewzruszony Wałęsa. Jagielski pokornie udał się do stolicy, gdzie uzyskał ostateczne placet partyjnych oficjeli i pięć godzin później ponownie zjawił się w Gdańsku, bijąc chyba rekord szybkości. Cały opór władz został złamany. W sali konferencyjnej jeden z członków MKS-u odczytał 21 postulatów. Na każdy z nich Jagielski odpowiadał: „Tak, podpisuję”. Kolej na Wałęsę, który z nieodłącznym wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej w klapie marynarki pozował do zdjęć fotografom i reporterom telewizyjnym. Podpis złożył ogromnym długopisem z widocznym portretem Jana Pawła II, wielkiego duchowego protektora suwerennych polskich związków zawodowych. Frenetyczne owacje nie miały końca, klaskał nawet Jagielski i inni członkowie delegacji.

Gdańsk, listopad 1980 r. Lech Wałęsa wyraźnie usatysfakcjonowany po zalegalizowaniu NSZZ Solidarność. Na zdjęciu z autorem

Porozumienie podpisane w Stoczni Gdańskiej było mniej więcej zbieżne z tym, które dzień wcześniej podpisano w stoczni w Szczecinie. W środę 3 września kolejne porozumienia były zawierane w Jastrzębiu przez przedstawicieli śląskich górników i hutników[14]. „Wszystko poszło jak trzeba. Bez żadnej siły i przemocy. Dogadaliśmy się jak Polak z Polakiem. Wygrał zdrowy rozsądek, wygrał dialog. A teraz wracamy do ciężkiej pracy", powiedział Wałęsa, ogłaszając koniec strajku. W podobnym tonie wypowiadał się Jagielski: „Nie ma tu ani zwycięzców, ani zwyciężonych". Dobrze, że obie strony oceniały wydarzenia w podobny sposób. Mur, który wydawał się nienaruszalny, pękł. Po raz pierwszy w kraju bloku sowieckiego doszło do narodzin niezależnego związku zawodowego, który miał bronić pracowników przed władzą odwiecznie mieniącą się jedynym przedstawicielem klasy robotniczej. Tego lata w Polsce wydarzył się cud.

9 Zachowano ortografię i interpunkcję oryginału (przyp. tłum.).

10 Relacja jednego z robotników opublikowana w „Strajkowym Biuletynie Informacyjnym" nr 11 z 30 sierpnia 1980.

11 Nawiązanie do wydarzeń z 1970 roku znajduje się w „Strajkowym Biuletynie Informacyjnym Solidarność" nr 6 z 27 sierpnia 1980.

12 Tego zaimka Polacy zwyczajowo używali wobec rządzących dla podkreślenia swojej odrębności. *Oni* to również tytuł zbioru wywiadów Teresy Torańskiej z decydentami, wydanego w drugim obiegu w Warszawie w 1985 roku, pokazującego, jak dalece mentalność komunistycznych przywódców odbiega od mentalności zwykłych ludzi.

13 Wiersz zatytułowany *Postulat 22* opublikowano w zbiorze *Przestańcie stale nas przepraszać... Wiersze*. Solidarność 1980, s. 12, zawierającym anonimowe utwory poetyckie kolportowane w czasie strajku w 1980 roku w Gdańsku i Gdyni (przyp. tłum.).

14 17 września wszystkie komitety uformowały ogólnonarodową federację, która przyjęła nazwę „Solidarność". Organizacja posługiwała się biało-czerwonym emblematem (polskie barwy narodowe). Dopiero 10 listopada 1980 roku, po długiej batalii z rządem, wolne związki zawodowe zostały zalegalizowane przez Sąd Najwyższy.

Rozdział II
Bieda i walka o godność. Życie codzienne w komunistycznej Polsce

„Pomarańcze! Pamiętałeś o pomarańczach?”. Ilekroć wybierałem się do Polski, mogłem zapomnieć o wszystkim, tylko nie o pomarańczach. Nawet jeśli wypadało mi to z głowy, była jeszcze moja żona, która na czas mnie zaopatrywała i wsuwała owoce do walizki. Kiedy musiałem wyjechać nagle, kupowałem je na lotnisku, podczas przesiadki w Wiedniu lub w Zurychu. Stamtąd do Warszawy lot trwał niewiele ponad godzinę, a przypominał podróż na inną planetę. Za żelazną kurtyną panował nie tylko inny ustrój polityczny, oparty na totalitarnym despotyzmie, ale również odmienny pejzaż geograficzny i ludzki, o lata świetlne oddalony od tego, do którego przywykliśmy, żyjąc na Zachodzie. W pamięci utkwił mi napis na murze berlińskim (po jego zachodniej stronie, gdzie graffiti i slogany ożywiały kolorami dzielącą Niemcy na dwie części szarą, betonową bryłę): „Last Coke to Vladivostok”, czyli ostatnia coca cola przed najdalej wysuniętym na Wschód miastem Związku Radzieckiego. Daje to wyobrażenie o głębokiej przepaści i o dramatycznym deficycie dóbr konsumpcyjnych dotykającym wszystkie państwa komunistyczne – tu, w Polsce, szczególnie dotkliwym. Pierwszy zwrot, jakiego nauczyłem się, gdy tylko postawiłem stopę w Warszawie, brzmiał „nie ma”. Powracał jak obsesyjny refren, powtarzany na każdym kroku i w każdej sytuacji: przez taksówkarza narzekającego, że nie ma benzyny, przez kelnera bezradnie rozkładającego ręce, bo restauracyjne menu składało się z nieistniejących dań. Drugie zdanie, które sobie przyswoiłem, brzmiało „jest kolejka”[15]. Dla Polaków stanie w kolejkach było najbardziej oczywistą rzeczą na świecie. Ustawiali się tam, gdzie była kolejka. Po prostu, spontanicznie, nie pytając nawet, za czym ona jest. Nie wiedzieli, czy na końcu znowu znajdą się przy pustej ladzie, czy też poszczęści im się i będą mogli przynieść coś do domu. Cokolwiek, bo w kraju, gdzie brakowało wszystkiego, nawet pozornie nieużyteczny drobiazg był lepszy niż nic. „Idę ustawić się w kolejce” – to nie dowcipna odzywka, jak sądziłem, kiedy pierwszy raz usłyszałem owo

zdanie z ust polskich przyjaciół, to codzienność mieszkańców krajów komunistycznych. Nietrudno było zrozumieć, że w Polsce „kolejka” nie jest słowem jak każde inne, lecz kategorią filozoficzną, imperatywem ludzi skazanych na trudy egzystencji, nawet gorzej, symbolem nieuniknionego społecznego poniżenia. Kiedyś mi to wyjaśnił radziecki dysydent Aleksandr Zinowjew, autor powieści *Denne wyżyny*, pisarz odznaczający się refleksyjną i ciętą ironią: „U nas kolejka nie jest przykrą koniecznością, ani też czymś, co się przytrafia od czasu do czasu, jak u was, na Zachodzie. Jest narzędziem władzy utrzymującym obywateli w stanie psychologicznej podległości i nieustannie obniżającym ich morale”.

Brak produktów spożywczych i artykułów pierwszej potrzeby był, w mniejszym lub większym nasileniu, typowy dla życia w Polsce pod rządami komunistów. Ale w okresie 1980–1981 osiągnął prawdziwy społeczny stan alarmowy. Reglamentacją, która do tej pory dotyczyła tylko mięsa (3,5 kg miesięcznie na osobę), objęto również cukier (1 kg na głowę), masło (250 g), olej, ryż, mąkę i mleko w proszku. Kupienie ilości gwarantowanych przez „kartki”, niewielkie fiszki służące za bony towarowe, wymagało stania w długich kolejkach. Nigdy nie można było mieć pewności, że zakończy się ono pomyślnie. Warzywa i owoce – nie licząc ziemniaków i jabłek – były nie do zdobycia. Najcenniejszym podarunkiem były pomarańcze, podobnie banany, inne upragnione owoce, pożądane tak bardzo, że stały się symbolem nieosiągalnego, fantasmagorycznego dobrobytu. Dzieci członków komunistycznej nomenklatury nazywano „bananową młodzieżą”. Na temat bananów w Polsce krążyła zabawna anegdota, związana z kulisami inscenizacji sztuki *Ostatnia taśma Krappa* Samuela Becketta[16]. Tę jednoaktówkę w renomowanym Teatrze Studio w 1985 roku wystawiał Antoni Libera, bliski przyjaciel irlandzkiego dramatopisarza. Jej bohater jest człowiekiem, który żyje wspomnieniami. Szperając w szufladzie, znajduje banana, po czym zjada go z apetytem. Podczas przedstawień, na widok aktora łapczywie pożerającego egzotyczny owoc, podekscytowana publiczność nie mogła się opanować i dawała upust emocjom, wygłaszając komentarze w rodzaju: „Skąd go, do diabła, wytrzas- nęli?”. Po pierwszych spektaklach zaczęło brakować nawet horrendalnie drogich bananów na słynnym bazarze prywaciarzy przy ulicy Polnej, w pobliżu gmachu Politechniki Warszawskiej. Ktoś wpadł na pomysł, żeby banana zastąpić jabłkiem, ale reżyser kategorycznie się sprzeciwił i w końcu kazał użyć pomalowanego

na żółto ogórka. Na widowni zapanowała konsternacja, ponieważ aktor nie był w stanie go obrać, a surowy aromat niegodnego substytutu widzów tylko rozbawił.

Miejska legenda opowiada o pewnym staruszku, który wybrał się na zakupy do warzywniaka: „Jest sałata?”. „Nie ma”, odpowiada sprzedawczyni. „A kalafior?”. „Też nie ma”. „Brokuły?”. „Nie ma!”, odpowiada coraz bardziej zniecierpliwiona kobieta. Ale klient się nie zniechęca: „To może marchewka, seler albo czosnek?”. W końcu niepocieszony wychodzi z pustą siatką. W sklepie ludzie kręcą głowami. Ekspedientka mówi: „To jakiś wariat! Nie wie, że w tym kraju takich warzyw nie ma od bardzo dawna?”. A jej koleżanka odpowiada: „Może i wariat, ale za to jaką ma dobrą pamięć!”. To jedna z wielu anegdot krążących po Polsce, kraju, w którym gorzkiej satyry na realny socjalizm jako jedynej było pod dostatkiem. Ale mnie nie jest do śmiechu. Kiedy chodzę po mieście, boli mnie serce. Widok jest dojmujący: na zakurzonych półkach sklepowych, oświetlonych żółtawym światłem jarzeniówek, które nieodparcie kojarzą mi się ze szpitalem, stoją tylko puszki z herbatą i butelki octu. Kolejki tworzą się już o piątej nad ranem. Ustawiają się nawet podczas długiej i mroźnej zimy. Ludzie czekają z przemarzniętymi nogami, w rękach trzymają puste siatki z surowego płótna, malujący się na ich twarzach smutek częściowo maskuje czapka uszanka lub gruby szalik. Najczęściej to emeryci, gospodynie domowe, matki, które w cierpliwym, wielogodzinnym oczekiwaniu, trwającym do wczesnego przedpołudnia, stoją z nadzieją, że uda im się wrócić do domu z litrem mleka dla dzieci lub z kartoflami na obiad. Smutny rytuał powtarza się przez cały dzień: gdy tylko ktoś daje znać, że w jakimś sklepie jest przyjęcie towaru, natychmiast zbiega się tłum. Od razu wyznacza się „kolejkowego”, który staje przy wejściu i pilnuje kolejności. Cierpliwość Polaków jest godna podziwu. Ustawiają się posłusznie i bez oporu, nie dochodzi do przepychanek, czasem tylko słychać jakiś pomruk niezadowolenia. Brakuje nie tylko produktów spożywczych, ale też innych podstawowych artykułów, jak mydło, środki czystości, zapałki, szklanki, gwoździe. Wszystko jest problemem. To niekończąca się asceza.

Komunizm nie tylko odmawiał ludziom prawa do wolności, uderzał również w ich godność. Nie było najdrobniejszego wyjątku, który wymykałby się tej regule. Rządziła ona wszystkimi przejawami życia w społeczeństwie. „U mnie w domu od ponad tygodnia nie ma ciepłej

wody. Dziś jest awaria ogrzewania. Nie działa też winda. Wchodzę po schodach i zbiera mi się na mdłości, bo na klatce cuchną śmieci, które ktoś zostawił przy drzwiach. Poszedłem na pocztę odebrać przesyłkę z zagranicy, ale zarekwirowała ją milicja, bo nie ja będę decydować, co mam czytać, co studiować. Potem byłem w aptece, bo moje dziecko zachorowało, ale nie było żadnych lekarstw. W samochodzie bak już prawie wysechł, ale na stacji była kilometrowa kolejka, więc dałem spokój. Żona na mnie pokrzykuje: »Powinieneś pojechać o piątej rano, jeszcze przed pracą, rozumiesz czy nie?«. Nie załatwiłem nic. Czuję się zmęczony, sfrustrowany i wypalony". Ta relacja dobrze ilustruje koszmar życia codziennego w PRL. Żale zgorzkniałego mieszkańca Warszawy wydrukował w rubryce listów do redakcji przychylny władzy tygodnik „Polityka", jako ewidentny dowód niezadowolenia ludności, którego dłużej nie można już było ukrywać.

Zapaść gospodarcza była tak dramatyczna, że oficjalne statystyki nie mogły już jej zakamuflować. Kryzys ustrojowy wywołało przede wszystkim zjawisko, które w języku urzędowym nazywano „niedostatecznym zaopatrzeniem w produkty żywnościowe". Niektóre wskaźniki utrzymywały się mniej więcej na tym samym poziomie od końca lat pięćdziesiątych: kwota dochodu, którą polskie rodziny przeznaczały na wyżywienie, oscylowała między 40 a 50%[17]. Było to oznaką chronicznej dysfunkcji w ekonomii kraju, otwierającej furtki czarnemu rynkowi. Latem 1980 roku, kilka miesięcy przed wybuchem strajków, rząd opracował listę niedostępnych produktów, a w każdym razie deficytowych w sklepach państwowych. Był to bardzo długi wykaz dwustu osiemdziesięciu artykułów, z mięsem na pierwszym miejscu. W ten sposób elity polityczne przyznały się do porażki. Gierek objął władzę w 1970 roku (po krwawym stłumieniu protestu gdańskich stoczniowców) i obiecał zwiększenie dostępności na rynku tego dotkliwie brakującego towaru. Dziesięć lat później decyzja o podniesieniu cen o 80% rozjuszyła i tak już zdesperowanych Polaków, wyznaczając kres rządów Gierka. W kolejnych latach sytuacja tylko się pogarszała: im bardziej brakowało artykułów żywnościowych, tym były droższe, co powodowało błędne koło, galopującą inflację i obniżenie poziomu konsumpcji. Latem 1989 roku, na krótko przed demokratycznym przewrotem, na kilogram mięsa Polak był zmuszony wydać średnio 12% swoich miesięcznych dochodów, 7% na kilogram wędliny, 2% na kilogram pomidorów.

Innym ogromnym problemem był brak mieszkań. To jasne, że znalezienie przyzwoitego lokum za rozsądną cenę nie jest łatwe nawet na Zachodzie. Jednak w krajach bloku komunistycznego było drogą przez mękę, trwającą nawet dwadzieścia lat. W oczekiwaniu na przydział, ludzie byli zmuszeni do życia w stadzie pod jednym dachem. Poznałem dziesiątki młodych małżeństw, które na pozornie oczywiste pytanie „gdzie mieszkacie?" odpowiadały z zakłopotaniem. Zwykle wymagało to złożonych wyjaśnień. Jak te, które przedstawił mi Marcin, lat trzydzieści osiem, mechanik z żoną Agnieszką i dwójką dzieci, mieszkający u teściów, w ich domu na Żoliborzu. Marcin pracował w warsztacie po drugiej stronie miasta, na Ursynowie, gdzie miał rodziców. Co wieczór jechał do nich, by wcześnie rano móc iść do pracy. „Więcej czasu spędzam w autobusach niż z rodziną", narzekał. Jakby to nie wystarczało, dostali kolejną złą wiadomość: spółdzielnia mieszkaniowa, do której się zapisali, nie otrzymała pozwolenia na budowę na terenie należącym do gminy, bo ta przeznaczyła go na inne cele. Musieli zapisać się na inną listę, wypełnić stos formularzy i złożyć nowy wniosek, po czym czekać – w najlepszym razie – kolejnych piętnaście lat. Kiedy widziałem Marcina po raz ostatni, był bardziej przygnębiony niż zwykle. „Ja i Agnieszka rozstaliśmy się. Widywaliśmy się coraz rzadziej, a ten czas, który nam zostawał, spędzaliśmy na kłótniach", zwierzył mi się we łzach.

Niemiecki filozof Martin Heidegger powiedział, że „zamieszkiwanie jest (...) podstawowym rysem życia"[18]. Pewnie między innymi dlatego życie w Polsce Ludowej było nie do zniesienia. Każdy obywatel miał do dyspozycji średnio 10 m2. W dużych aglomeracjach miejskich na sto czterdzieści rodzin przypadało sto mieszkań; zaledwie 18% młodych mogło liczyć na własny kąt. Oznaczało to, że przytłaczająca większość świeżo poślubionych par zaczynała pożycie małżeńskie, które trudno uznać za życie we dwoje – bez minimum niezależności, w niezręcznej sytuacji wystawiającej ich uczucie na poważną próbę. Udowodniono już, że dzielenie mieszkania z rodzicami czy teściami źle wpływa na relacje w małżeństwie, będąc najczęstszą przyczyną rozwodów i separacji, a w Polsce po 1945 roku było to zjawisko nader częste.

„W moim kraju życie jest czymś nienormalnym" – Urszula, lat 21, pielęgniarka w dużym warszawskim szpitalu, bardzo źle znosi nocne zmiany. Mówi, że traci przez nie sen, apetyt i przyjaciół. Coś innego ją jednak gryzie i szczególnie się tego wstydzi. Kiedy nadchodzi koniec

miesiąca, na jej pasku płacowym widnieje kilka tysięcy złotych, co stanowi równowartość pięćdziesięciu dolarów według oficjalnego kursu, a jeśli wziąć pod uwagę kurs czarnorynkowy (jedyny prawdziwy wskaźnik wartości waluty w krajach socjalistycznych) – poniżej dwudziestu. „To nie pensja, to upokorzenie”, rozpacza dziewczyna, potrząsając długimi blond włosami, jakby tym gestem chciała wymazać swą gorycz. Urszula nie jest wyjątkiem. Miliony jej rodaków zarabiają podobnie, szczególnie w służbie zdrowia i szkolnictwie, gdzie płace zawsze były zaniżone i dochody nie wystarczały nawet na podstawowe potrzeby. Zawsze kiedy wychodziła po zakupy, zostawiała w sklepie jedną trzecią swoich poborów. Chcąc zaoszczędzić na kosztach mieszkania, wprowadziła się do starej ciotki, do jednego z tych szarych molochów postawionych w latach pięćdziesiątych, stanowiących dla socjalistycznego budownictwa wątpliwy powód do dumy. Mieszka na najwyższym piętrze, gdzie wydaje się, że niebo w kolorze bloku za chwilę osunie ci się na głowę. Długie, ponure klatki schodowe, szpalery stalowych, ponumerowanych drzwi. Dwupokojowe gniazdko z łazienką i kuchenką, razem mniej niż 40 m2. Odrapane ściany, w nich chwiejące się okna, wnętrze wykończone w niezbędnym minimum, zżarte przez rdzę instalacje. Z kranu kapie rudawa ciecz. „Nie jest szkodliwa”, słyszę od ciotki, która podaje mi filiżankę zalatującej ołowiem herbaty. W kącie łazienki piętrzą się stare numery „Trybuny Ludu”. Oczywiście nie służą do czytania. W krainie wiecznego niedoboru papier toaletowy też jest produktem luksusowym. „Widmo krąży po Polsce i nieustannie nęka Polaków, wielka, nieosiągalna rolka papieru”, napisał z gorzkim sarkazmem Adam Michnik, jeden z czołowych intelektualistów z kręgu Solidarności, parafrazując pierwsze zdanie *Manifestu komunistycznego* Karola Marksa. Do braku tego najpotrzebniejszego artykułu Urszula podeszła z humorem. W łazience, nad magiczną, prawie zawsze pustą tekturową rolką, powiesiła zdjęcie Leonida Breżniewa z uniesioną ręką. W komiksowej chmurce, z ust radzieckiego przywódcy pada kategoryczny i absurdalny postulat: „Precz z papierem toaletowym!”. Brakuje też innych rodzajów papieru. Kiedyś w Warszawie zostałem bez notatnika, który jest podstawowym narzędziem mojej pracy. Musiałem stanąć w kolejce w sklepie papierniczym i spędziłem ponad godzinę, żeby stać się posiadaczem skromnego zeszyciku w linie.

Mimo to, jeśli dobrze się przyjrzeć, prawdziwy dramat życia w Polsce nie polegał na biedzie. O wiele trudniejszym doświadczeniem okazywało

się porównywanie z warunkami życia na Zachodzie. „Mieszkamy w Europie, a żyjemy jak w kraju Trzeciego Świata”. Często słyszałem to od moich polskich znajomych, szczególnie od tych najmłodszych. Cieszyli się za to większą swobodą w podróżowaniu na Zachód, w odróżnieniu od swoich rówieśników urodzonych i dorastających na Wschodzie Europy. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego jedynymi obywatelami bloku wschodniego uprawnionymi do przekraczania muru berlińskiego ze zwykłą wizą turystyczną, byli Polacy. Coś, co było surowo zakazane mieszkańcom Berlina Wschodniego czy Moskwy, było dozwolone dla mieszkańców Warszawy czy Krakowa. Latem tysiące młodych Polaków emigrowały na Zachód. Pracowali „na zmywaku” w londyńskich pubach, byli kelnerami w paryskich bistro, przystosowywali się do wykonywania każdego zawodu, pracując w zakładach przemysłowych czy pomagając w pracach rolniczych, by wrócić do domu z dwoma albo trzema tysiącami dolarów w kieszeni, co przekraczało wartość pięcioletnich zarobków w ich kraju.

W Polsce dolar miał władzę niepodzielną, natomiast złotówka stała się symbolem anachronizmu, pozbawionym jakichkolwiek odniesień do rzeczywistości. Kiedy przyjechałem tam w 1980 roku, na czarnym rynku za dolara płacono 130–140 zł, podczas gdy oficjalny kurs wynosił 32–35 zł. Pod koniec 1989 roku, po dziesięciu latach galopującej inflacji, kurs amerykańskiej waluty osiągnął 6500 zł, trzynaście razy więcej niż na początku roku. Posiadanie „dewiz” oznaczało uchronienie się przed trudami życia codziennego, a przynajmniej łatwiejsze radzenie sobie z deficytem wszelkich dóbr i rosnącymi cenami. Marksistowski klasowy podział społeczeństwa zastąpiła osobliwa hierarchia. Ludzie dzielili się na trzy kategorie: na tych, którzy mają dolary, tych, którzy mają tylko złotówki, i biedotę, która nie ma ani jednych, ani drugich. Socjalistyczna Polska dopuszczała wiele rzeczy, które w innych krajach bloku wschodniego objęto surowymi zakazami. Dolary w kieszeni nie były wykroczeniem, a trzymanie ich na koncie bankowym było całkowicie legalne, chociaż większość Polaków wolała je chomikować pod materacem, aby uniknąć niespodziewanej ingerencji władz, desperacko próbujących zmniejszyć górę zagranicznych długów. Poza wspomnianymi podróżami w celach zarobkowych, podstawowym źródłem dopływu dewiz byli krewni na emigracji w Stanach Zjednoczonych, gdzie *Polish community* była niezwykle liczna. Za dowód wystarczy fakt, że pierwszym po Warszawie miastem najliczniej zamieszkiwanym przez Polaków było Chicago. Zielona

karta otwierała wiele drzwi. Choćby te od Peweksów, z założenia dostępnych wyłącznie dla obcokrajowców, w praktyce otwartych dla każdego, kto dysponował obcą walutą. Można było w nich dostać wszystkie boże dobra nieosiągalne nigdzie indziej: perfumy, alkohol, papierosy, ale też ubrania, buty, czekoladę, pastę do zębów, a nawet leki – wszystko opatrzone zagraniczną metką. Peweksy były totemem kapitalizmu na socjalistycznym terytorium, w wyobraźni Polaków – stale obecnym mirażem. Absolutne rządy dolara miały wpływ na życie społeczeństwa. Nawet produkowane w kraju samochody (najpopularniejszy był fiat 126p zwany czule „maluchem") za dewizy można było mieć od ręki, tymczasem wpłata w złotówkach wiązała się z kilkuletnim oczekiwaniem. To samo dotyczyło zakupu mieszkania. Po Polsce krążyło dowcipne powiedzenie: „Niczym nie różnimy się od Ameryki. I tu, i tam wszystko można mieć za dolary". Mój taksówkarz oczywiście też żądał zapłaty w zielonych banknotach. Jego ośmioletni syn, Marek, musiał się tego domyślać. Miał buzię chłopca z obrazu Wyspiańskiego: blade policzki, poważne, wręcz smutne spojrzenie podkreślane przez długie, jasne włoski. W jego błękitnych oczach odbijał się migotliwy obraz oszałamiającego zagranicznymi cudami Peweksu, przy którym sklepy na Nowym Świecie, głównej ulicy będącej długim szpalerem jednakowych witryn, nie budziły żadnych emocji. Jak wszystkie dzieci na świecie, Marek czekał na prezenty gwiazdkowe: „Kochany Święty Mikołaju, proszę cię, nie przynoś mi zabawek, lepiej mi przynieś dolary". Jego ojciec, opowiadając mi tę historię, uśmiechał się z przekąsem: „Widzisz? Już wie, o co naprawdę chodzi w tym kraju".

Dolar był ukrytą siłą napędową panoszącej się korupcji i rozpasanej prostytucji. Wieczorami hotele dla cudzoziemców przypominały domy uciech. Młode i piękne dziewczyny bezkarnie kręciły się po hallu, przesiadywały na sofach stojących w korytarzach na piętrach, kokietowały recepcjonistę i puszczały oko do milicjanta. Jest tajemnicą poliszynela, że wiele z nich pracowało dla SB, a przynajmniej miało układ z milicją. Najbardziej przygnębiający jest jednak fakt, że prostytucja była ich zajęciem dorywczym. Wyglądały na spokojne dziewczęta z prowincji, które po prostu mieszkały w hotelu w stolicy. Tymczasem wieczorami ich mężowie zamykali się z dziećmi w pokojach, a one schodziły na dół, żeby wabić klientów. Po kilku dniach zadowolone i nieświadome niczego

dzieciaki oraz ich zawstydzeni rodzice, z kilkoma dolarami w kieszeni, mogli wrócić do domu.

Zatracić duszę i zbrukać ciało – tak poniżało się wielu Polaków, ściągniętych na mieliznę zepsucia. Alkoholizm był zjawiskiem masowym, plagą społeczną, wspólną dla rządzących i poddanych. Wódka lała się strumieniami, nie hamowana przez żadną zaporę. Poza przemysłem państwowym – jedynym sektorem, którego kryzys aż tak drastycznie się nie imał – funkcjonowały napędzające koniunkturę nielegalne gorzelnie. Społeczne programy „trzeźwości w narodzie", wdrażane od czasu do czasu przez rząd, były przez ludzi ignorowane, od samych ich autorów poczynając. Średnie roczne spożycie czystego alkoholu na osobę wynosiło 15 litrów. Jeden Polak na dziesięciu był alkoholikiem. Wieczorami zataczały się po ulicach cienie, jakby żywcem wzięte z *Małej apokalipsy*, powieści Tadeusza Konwickiego, będącej sugestywnym portretem upadku społecznego i moralnego Polaków pod koniec lat siedemdziesiątych. Pamiętam, jak pewnego niedzielnego popołudnia jechałem drogą prowadzącą do Warszawy. Było to w 1975 roku, podczas mojej pierwszej podróży „na drugą stronę muru". Byłem młodym turystą, ciekawym, jak wygląda ta inna Europa (...). Moim oczom ukazał się upiorny spektakl: na centralnym placu miasteczka ujrzałem tabuny chłystków z butelkami w rękach, przewracających się albo podpierających się nawzajem, spitych do nieprzytomności. Dowiedziałem się, że to całkowicie normalne. Stan polibacyjnego upojenia był utrwalonym obyczajem, jedyną „rozrywką", na którą młodzież w regionie realnego socjalizmu mogła sobie pozwolić.

Naród pijaków i nierobów. To najczęściej spotykana opinia o Polakach po drugiej wojnie światowej. Stereotyp ten paradoksalnie był uznany przez te same komunistyczne władze, które niesubordynowanych obywateli usiłowały obciążyć odpowiedzialnością za klęskę. Już Stalin zwykł powtarzać, że zaprowadzać w Polsce socjalizm to tak, jakby „siodłać krowę", innymi słowy przedsięwzięcie tyleż kłopotliwe, co zbędne. Tym rzekomym skłonnościom narodowym przypisuje się natomiast to, co w istocie było rezultatem polityki rządu, myląc tym samym skutek z przyczyną. Trudno się więc dziwić, że uchylanie się od pracy, alkoholizm, czarny rynek i chałtury na boku w polskim narodzie należały do powszechnych zjawisk. Wszystkie te praktyki w gruncie rzeczy były metodą na przetrwanie w socjalistycznej rzeczywistości. „Zarobkowanie na własną rękę, wykorzystywanie swojego talentu, niedocenianego

w zakładzie pracy, dorabianie po godzinach w charakterze taksówkarza-naciągacza lub budowanie sobie domu z materiałów po kryjomu wyniesionych od pracodawcy nie oznaczało wcale, że polski robotnik jest pasożytem, lecz tylko tyle, że nie ma ochoty być rolowany”[19]. W Polsce taki model gospodarki istniał równolegle do oficjalnego, jako reakcja jednostki unikającej bezpośredniej formy protestu i korzystającej z luk prawnych, jako ostrożny kompromis między przymusem życia na czarno a podwójną moralnością ustroju.

Kryje się tu głębszy problem, który trafnie scharakteryzował wybitny myśliciel – ksiądz Józef Tischner.

> Mamy w Polsce do czynienia z kryzysem pracy. Kryzys ten osiąga rozmiary, których wcześniej w naszej historii, tak pełnej zaskakujących zwrotów, jeszcze nie obserwowaliśmy. W centrum bogatej i żyznej Europy leży kraj, w którym dzieci chodzą do szkoły bez zeszytów, brakuje kredy do pisania po tablicy, węgla do ogrzania domów, cukru, mięsa, masła. A przecież nasz kraj został przez naturę szczodrze obdarzony. Mamy żyzną glebę, złoża węgla, siarki, miedzi, a przy tym lud w większej części pracowity i zaradny. Jak więc mogło do tego dojść?[20]

Doszło do tego, ponieważ praca w Polsce straciła sens, nie jest już aktywnością twórczą, bo w coraz większym stopniu polega na marnotrawieniu surowców i wysiłku człowieka. Poczucie pracowania bez sensu zniszczyło podstawowe porozumienie między ludźmi, między władzą a społeczeństwem, między samymi obywatelami.

„W Polsce – słusznie powiada Tischner – praca jest chora”[21]. Kto ją może uleczyć? Nie lekarz z zewnątrz, tylko sami robotnicy. I właśnie to wydarzyło się w Gdańsku. Protesty, które wybuchły na Wybrzeżu, nie ograniczały się do wysunięcia postulatów socjalnych, były wyrazem zmiany świadomości. Jeśli praca jest chora, to ludzie pracy muszą z tej choroby wyjść sami. Mieliśmy tu do czynienia z patologią, za którą odpowiedzialność ponosili nie tylko ci, którzy zasady ustalali, ale również ci, którzy je realizowali. „Należy przywrócić pracy jej wartość etyczną, czyli sprawić, żeby służyła międzyludzkiemu porozumieniu”[22]. Solidarność wzięła to zadanie na siebie, nadając pojęciu „solidarności” (poza walorem związkowym) również walor głęboko etyczny, równoznaczny z odzyskaniem wolności i godności. Według Tischnera „Solidarność to ogromny las zasadzony przez przebudzone sumienia”[23].

Wydarzenia z Sierpnia ’80 miały znaczenie prawdziwej rewolucji, która odwróciła sposób myślenia oraz radykalnie przewartościowała relacje

między władzą a obywatelami. Warunki bytowe nie poprawiały się, wręcz odwrotnie. Jednak nie było to przeszkodą, by czuć się wolnym, a poczucie wolności, im trudniej było osiągalne, tym bardziej odurzało. Miliony ludzi powiedziały „dość" swojemu podwójnemu życiu i zaczęły publicznie mówić to, o czym do tej pory tylko pokątnie szeptano. Zapomniały o strachu, zebrały się na odwagę i stawiły czoła sytuacji. Do Solidarności zapisało się dziesięć milionów osób – miażdżąca większość polskiej siły roboczej. Wolne związki zawodowe notowały również entuzjastyczne zainteresowanie elit intelektualnych i studentów. Powstała Solidarność Rolników Indywidualnych. Strajki stopniowo pojawiały się w całym kraju, więc Lech Wałęsa, człowiek, który rozniecił iskrę ogólnonarodowego płomienia, musiał założyć strażacki kombinezon i wezwać do zachowania spokoju oraz cierpliwości, aby wątła nić dialogu między narodem a władzą nie została przerwana. Bo ostateczne porozumienie ciągle wisiało na włosku. „Państwo udaje, że nam płaci, a my udajemy, że pracujemy". Ten stary i pełen cynizmu dowcip, niczym sztandar powiewający nad polską zapaścią gospodarczą, tracił już na aktualności. W zakładach przemysłowych, biurach i na uczelniach czuć było powiew świeżego powietrza, co czerwoną nomenklaturę wpędzało w popłoch. Spotykała się ona z otwartą krytyką na wszystkich możliwych płaszczyznach. Podczas publicznych zgromadzeń władze ośmieszano, do protestu przyłączali się nawet członkowie PZPR, dając wyraz swojej złości i frustracji. Polska nadal była krajem socjalistycznym, monopol partii w życiu politycznym, społecznym i kulturalnym formalnie nie został przełamany, a gospodarka planowa ciągle siała spustoszenie. Jeśli spojrzeć na to ze szczytów piramidy władzy, nie zmieniło się nic. Ale z niższej perspektywy zaszły gruntowne przemiany, rewolucja świadomości wpłynęła na postawy, umożliwiła nowy styl życia. Toczyło się ono wedle zasady „jak gdyby": Polacy zaczęli postępować jak gdyby mieszkali w wolnym kraju, mając za nic panoszącą się ideologię i łańcuch ograniczeń narzuconych przez braterską więź z ZSRR i innymi demoludami. Z Moskwy i pozostałych stolic Europy Wschodniej dobiegały gniewne pomruki nie wróżące niczego dobrego. Radziecka agencja informacyjna TASS alarmującym tonem napisała, że „społeczeństwo polskie każdego dnia pogrąża się w coraz większym chaosie". Dawny socjalistyczny ład wchodził w fazę destrukcji, chociaż nikt tego głośno nie przyznał. Chwiała się gospodarka, życie codzienne było wystawione na ciężką próbę, nasilało się materialne ubóstwo, ale

jednocześnie dochodziło do manifestacji duchowego szlachectwa: debata prowadzona była z wielką godnością, bez nienawiści i ulegania pokusie przemocy. W takiej właśnie Polsce przeżyłem najwartościowsze doświadczenia i nawiązałem najtrwalsze przyjaźnie, mając osobliwe poczucie, że balansuję na krawędzi między totalitaryzmem a wolnością. To niezapomniany dla mnie okres w życiu, pełen ekscytacji przenikającej się z lękiem o to, co może się wydarzyć. Jak długo czerwona dyktatura będzie tolerować polską anomalię? W tamtym czasie wielu uważało, że „karnawał wolności" skończy się przygnębiającym, odgórnie narzuconym postem. Nadszedł dzień, w którym pojawiła się obawa, że mogą mieć rację.

15 Trzydzieści lat później „Kolejką" nazwano grę planszową, która w Polsce bije obecnie rekordy popularności. Uczestnicy, jak Polacy przed laty, przeżywają trudy stania w kolejce i stosują rozmaite zabiegi, żeby ją skrócić. Od 2010 roku sprzedano setki tysięcy egzemplarzy gry. Została przetłumaczona na angielski, hiszpański i rosyjski.

16 Opowiada o tym Francesco Cataluccio w swojej książce *Vado a vedere se di là è meglio* (*Pojadę tam i sprawdzę, czy jest lepiej*), Sellerio, Palermo 2010, s. 71, która jest zapiskami z podróży po stolicach świata, z uwagą skierowaną na Europę Wschodnią.

17 Por. V. Bova, *Conflittualità sociale e lotte operaie in Polonia* (*Konflikty społeczne i walki robotników w Polsce*), CSEO (Centro Studi Europa Orientale), Bolonia 1983, s. 136. W opracowaniu tym można znaleźć szczegółową analizę czynników hamujących rozwój gospodarczy kraju.

18 M. Heidegger, *Budować, mieszkać, myśleć. Eseje wybrane*, wybrał, oprac. i wstępem opatrzył K. Michalski, tłum. Krzysztof Michalski, Czytelnik, Warszawa 1977, s. 333 (przyp. tłum.).

19 *The Economic Background to Poland's Difficulties*, w: „International Currency Review" 1980, nr 5.

20 We Włoszech pisma ks. Tischnera ukazały się nakładem wydawnictwa CSEO: *Etica della solidarietà* (1981) i *Etica del lavoro* (1982). W 2010 roku oficyna Itacalibri wydała je pod wspólnym tytułem – *Etica della solidarietà e del lavoro*. Wypowiedź pochodzi z wykładu ks. Tischnera wygłoszonego 6 listopada podczas konferencji *Le comuni radici cristiane delle nazioni europee* odbywającej się w Watykanie w dniach 3–7 listopada 1981 roku.

21 J. Tischner, *Etyka solidarności…*, op. cit., s. 125.

22 Z wystąpienia ks. Tischnera w Radiu Watykańskim 6 listopada 1981 roku.

23 J. Tischner, *Etyka solidarności…*, op. cit., s. 105.

Rozdział III
Polska 1981. Władza wypowiada narodowi wojnę

Rejs trwał ponad siedem godzin, ale wreszcie jestem na miejscu, na redzie portu w Świnoujściu – małym mieście na Wybrzeżu Bałtyku położonym sto kilometrów od Szczecina. Nie miałem innej możliwości dostania się do Polski, poza tym starym promem noszącym wymowną nazwę „Wawel", jak Zamek Królewski w Krakowie. Prom kursuje co tydzień z Ystad, najbardziej wysuniętej na południe bazy promowej Szwecji. Zdążyłem zabrać się ostatnim kursem, bo potem połączenia morskie miały już być zawieszone. Polska jest odcięta od świata. Minęło kilka dni od niedzieli 13 grudnia 1981 roku, kiedy w telewizji o szóstej rano bez zapowiedzi nadano przemówienie Wojciecha Jaruzelskiego, sztywnego generała w ciemnych okularach, który w poprzednich miesiącach został I sekretarzem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Prezesem Rady Ministrów. Jawił się jako człowiek władny zapanować nad chaosem wywołanym przez „wywrotowców" z niezależnych związków zawodowych. Zawiadomił naród o wprowadzeniu stanu wojennego i o utworzeniu Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (WRON), która była odtąd nadrzędnym organem władzy w kraju. Obywatelom odebrano ich podstawowe prawa, zawieszono działalność organizacji społecznych, na czele z Solidarnością oskarżaną o zamiar przejęcia władzy i wywrócenia konstytucyjnego ładu socjalistycznego. Przywódcy wolnych związków zawodowych zostali aresztowani, osadzeni w więzieniach lub internowani. Stan wojenny nie tylko zakazywał wszelkich zgromadzeń publicznych i manifestacji, narzucał też daleko idące ograniczenia prywatnej sfery obywateli. O północy blokowano łączność telekomunikacyjną. Zamknięto granice. Przepustki wymagał nawet wyjazd z własnego miejsca zamieszkania. Wprowadzono godzinę milicyjną i zaostrzono cenzurę. Wyjątkowo sprawnie wkroczyło do akcji 70 000 żołnierzy i 30 000 milicjantów. Wysłano w teren 1750 czołgów, 1900 pojazdów opancerzonych, 9000 samochodów ciężarowych i dziesiątki helikopterów. Siły porządkowe

koncentrowały się zwłaszcza w dużych miastach i w pobliżu najważniejszych zakładów przemysłowych, z zamiarem zdławienia w zarodku każdego strajkowego zrywu oraz wzbudzenia w narodzie strachu. To polski stan wojenny. Bohdan Cywiński, zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność", jeden z czołowych przywódców ruchu związkowego, który w tym zapalnym okresie akurat był we Włoszech, nazwał go „wojną wypowiedzianą przez władzę przeciwko społeczeństwu, przeciwko swym własnym obywatelom". Kardynał Stanisław Dziwisz, osobisty sekretarz Jana Pawła II, o stanie wojennym powiedział: „Dla Polski było to wielkie upokorzenie. Po tak licznych cierpieniach, które stały się jej udziałem na przestrzeni dziejów, nie zasługiwała na kolejne męczeństwo, na takie zło". Był w tym wyrazicielem opinii papieża[24].

W Polsce zapanował zmilitaryzowany socjalizm w postaci, jakiej inne czerwone dyktatury nie znały. Świat obiegło zdjęcie przedstawiające transporter opancerzony, ustawiony przed popularnym w Warszawie kinem Moskwa, nad którym widniał afisz pokazywanego wówczas na ekranach *Czasu apokalipsy* w reżyserii Francisa Forda Coppoli. Ta fotografia stała się złowrogim symbolem zbrojnego komunizmu w mundurze[25]. Izolacja kraju i związany z nią informacyjny *blackout* były metodami, których do tamtej pory nikt nie użył. W 1956 roku w Budapeszcie przebywało wielu zachodnich dziennikarzy, którzy dokumentowali starcia rewolucjonistów z Armią Czerwoną, w 1968 roku inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację sfilmowała i pokazała połowa stacji telewizyjnych świata. Tymczasem po 13 grudnia 1981 roku ze stłamszonej stanem wojennym Polski wydostało się zaledwie kilka zdjęć. Agencje i zagraniczni korespondenci byli zmuszeni przekazywać tylko strzępy informacji – przefiltrowane przez prewencyjną cenzurę – i nie było żadnej szansy na weryfikację ani uspokajających wiadomości ze strony ustroju, ani alarmujących głosów, które donosiły o ofiarach zamieszek.

Jedynym krajem zachodnim, umożliwiającym jeszcze funkcjonowanie kanału komunikacyjnego, była Szwecja. To nadbałtyckie państwo, oddalone od polskiego Wybrzeża o kilkaset kilometrów, było zawsze jedną z najłatwiej dostępnych bram wjazdowych do Gdańska i Warszawy. W odróżnieniu od wszystkich innych mieszkańców państw kapitalistycznych, Szwedzi mogli wjechać do Polski tylko ze zwykłym paszportem i nie wymagano od nich wizy. Po 13 grudnia sytuacja uległa

zmianie, ale między obu krajami nadal kursowały tak zwane promy wolności. Niebawem i to miało się zmienić. Zamierzałem wsiąść na prom do Gdańska, który wypływał z portu Nynäshamn, ale po wprowadzeniu stanu wojennego kursy natychmiast zawieszono. To oczywiste, że stolica robotniczego zrywu musiała być odizolowana przede wszystkim. Zadzwoniłem do biura Polskiej Żeglugi Morskiej, ale linia ciągle była zajęta. Skontaktowałem się więc z zaprzyjaźnionym dziennikarzem z Malmö, który powiedział, że jedynym funkcjonującym jeszcze połączeniem jest Ystad–Świnoujście. Musiałem się pospieszyć. Ostatni prom miał odpłynąć tego wieczoru, potem planowano zamknąć tę trasę na cały okres Bożego Narodzenia. Przyjechałem do Ystad przed północą, na krótko przed odpłynięciem. Spacerowałem opustoszałymi uliczkami, przy których stały niskie i podobne do siebie domki ze świeczkami świętej Łucji w oknach, kryte spadzistymi dachami uginającymi się pod ciężarem śniegu. Mijałem oznaczenia, które w dziwny sposób mnie fascynowały: aby dostać się do portu, należało podążać za drogowskazem z napisem „Polska”, jak gdyby kryła się tuż za rogiem. Nie miałem żadnych problemów z wejściem na pokład. Szwedzki policjant tylko na mnie spojrzał i życzył powodzenia. Polska załoga promu nie prowadziła żadnej kontroli. Wpuszczali wszystkich: rodziny emigrantów z „maluchami”, kierowców z tirami, łatwo rozpoznawalnych dziennikarzy i jakieś dziwaczne, bliżej niezidentyfikowane figury z butelką wódki w ręku, które się chwiały, mimo że statek jeszcze stał. Między rzędami jednorękich bandytów i flipperów piętrzyły się stosy walizek, naprędce pakowanych bagaży, toreb, z których wystawały kartony papierosów i czekolada. Wreszcie prom ruszył. Wrzawa na pokładzie ucichła, jak gdyby wszyscy chcieli wsłuchać się w głuchy łomot burty, która przebijała się przez zalegające w porcie kry. Powitało nas morze, ołowiane jak i niebo nad nim, mroźne jak atmosfera w kraju, który był celem naszej podróży. Na pokładzie dominował nastrój zwątpienia i ponurych przeczuć.

Przed zejściem na ląd wystarcza jedno spojrzenie, by zrozumieć, że wkraczamy do kraju ogarniętego wojną. W bladym świetle brzasku majaczą sylwetki okrętów wojennych, wyłaniają się złowrogo z mgły niczym ponure widma. Naliczyłem pięć radzieckich flag. Inne są za daleko i nie potrafię ich rozpoznać, ale łatwo odgadnąć, że należą do strzegącej Polski „siostrzanej” floty. Nabrzeża pilnuje oddział zmarzniętych żołnierzy. Mają zmęczone twarze. Za metalową siatką, która ciągnie się wzdłuż brzegu

morza, liczne patrole prowadzą rozpoznanie. Gdy gęsiego schodzimy z pokładu, taksują nas wzrokiem żołnierze uzbrojeni w pistolety maszynowe i kierują w stronę wąskiego korytarza, który prowadzi do punktu kontroli celnej. Wypełniam wniosek o wizę, choć wiem, że na próżno. Kiedy okazuję go wraz z paszportem, funkcjonariusz jest raczej rozbawiony niż zły. „Pan nie może wjechać do Polski", mówi z sarkastycznym uśmieszkiem. „Dlaczego?", pytam, udając naiwniaka. Po chwili nerwowego poruszenia domyślam się, że nie bardzo wie, co robić. Nie może wystawić mi wizy, ale mam nieśmiałą nadzieję, że nie zostawi mnie na cały dzień przy piętnastostopniowym mrozie (prom miał zawracać do Szwecji dopiero późnym wieczorem). Ozięble odsyła mnie do baru, który przylega do punktu odpraw. Udało mi się, jestem w Polsce, mimo że jako nieproszony gość. Dyskretnie obserwuje mnie młody poborowy. Próbuję zamienić kilka słów z moim aniołem stróżem. Początkowo jest nieufny i odpowiada monosylabami, bo wokół roi się od mundurowych. Potem, kiedy otoczenie nieco pustoszeje, rozmawia już chętniej. Częstuję go papierosem. Dowiaduję się, że papierosy też są reglamentowane: nie więcej niż siedem dziennie. Nie może doczekać się końca służby zasadniczej, którą przedłużono mu o trzy miesiące. Pozwala mi rzucić okiem na gazety. Siedzący obok młody mężczyzna oferuje się pójść do kiosku Ruchu, który stoi w głębi portu. Mówi trochę po niemiecku i bardzo by chciał przetłumaczyć mi jakieś artykuły, spiesząc z pomocą mojej ubogiej polszczyźnie. Pilnujący mnie żołnierz nie ma nic przeciwko. Chyba już przełamaliśmy lody. Nagłówek „Trybuny Ludu", oficjalnego organu partii komunistycznej, brzmi: „Dni stanu wojennego wypełnić muszą wzmożona praca, dyscyplina, i porządek"[26]. Dużą wagę przywiązuje się do deklaracji tych związkowców Solidarności, którzy opowiadają się po stronie stanu wojennego. Kronika wydarzeń z zakładów pracy jest bardzo oszczędna i głosi, że sytuacja się normalizuje. Bardziej interesująca jest lektura lokalnych „Wiadomości Szczecińskich". Na pierwszej stronie opublikowano komunikat dyrektora tamtejszej stoczni, która obok Stoczni Gdańskiej była kolebką wolnego ruchu związkowego. Wszyscy zatrudnieni mają się stawić w kadrach celem otrzymania nowych przepustek i bonów żywnościowych do zakładowej stołówki. „Stosują nowe metody, by zmusić robotników do zakończenia strajku. Ci, którzy nie przyjdą, będą natychmiast zwolnieni", wyjaśnia mi mój przygodny tłumacz. Pochyla się nad gazetą i symulując tłumaczenie, półgłosem przedstawia mi kolejną

prawdę – inną od oficjalnej: w wielu fabrykach robotnicy prowadzą strajk okupacyjny i są zdecydowani kontynuować go do oporu. Napięta sytuacja panuje w kopalniach śląskich, gdzie okupujący je górnicy grożą wysadzeniem w powietrze, jeśli milicja użyje siły. Te informacje trudno zweryfikować, jednak świadczą one o rozgrywającym się dramacie. „Tak naprawdę nie wiemy, co się dzieje”, unosi się człowiek ubrany w kombinezon, prawdopodobnie pracownik portu. „Telefon stał się niepotrzebnym bibelotem. Cofnęliśmy się o sto lat”. Polska to teraz „zagadka owinięta w tajemnicę, wewnątrz enigmy”, jak mawiał Churchill o Związku Radzieckim. To, co widzę na własne oczy w tym nadbałtyckim zakątku, mówi samo za siebie: wyglądam przez okno i nie dostrzegam żadnych oznak życia. Nieruchome dźwigi, pociąg, który stoi, odkąd tu jestem, mróz i spustoszenie.

Jest już ciemno, kiedy każą mi iść na prom powrotny. Czuję żal i bezradność. Co mam zrobić, skoro prowadzą mnie na muszce? Pozostaje mi tylko wolność wewnętrzna, jedyna broń przeciwko przemocy i kłamliwemu reżimowi. Utwierdzam się w tym przekonaniu, oglądając Dziennik Telewizyjny w towarzystwie kilku członków polskiej załogi. Nad telewizorem widnieje wielki plakat Solidarności. Stanowi doskonałe tło. „Nikt się nie ośmielił kazać nam go zdjąć”, mówi jeden z marynarzy. Po ekranie przesuwają się obrazy modelowych zakładów przemysłowych, prosperujących fabryk, sklepowych półek pełnych towarów, które, jak donosi głos spikera, są darem Związku Radzieckiego. Widzę wokół zakłopotane twarze, ktoś z niesmakiem kręci głową. Ogólne rozbawienie wywołuje reporter próbujący przeprowadzić wywiad z przechodniami, wyduszając z nich pozytywne opinie na temat stanu wojennego. Scena ta jest pełna nieodpartego komizmu. Jakiś nieborak, wyraźnie nieobyty z występami w telewizji, zerka nerwowo w kamerę, gubiąc co chwila wątek. W końcu nie wiadomo, który z nich dwóch jest bardziej skonsternowany. Jedyna mówiąca cokolwiek informacja nie jest, co prawda, podana wprost, ale można ją odczytać w podtekście długiej relacji wysłannika potępiającego kontrrewolucyjne wyskoki robotników okupujących śląskie kopalnie. Dochodzę do wniosku, że to, co mi streścił młody tłumacz, wcale nie musi być dalekie od rzeczywistości.

Późną nocą idę w stronę swojej kabiny. Znajduje się ona na najwyższej kondygnacji i aby się tam dostać, muszę przejść pod gołym niebem. Siekany porywami mroźnego wiatru, na środku promu dostrzegam niedbały

napis „Solidarność”. „Nie – mòwię do siebie – jeszcze Polska nie zginęła”. To nie tylko retoryka. Jeden dzień w prowincjonalnym portowym barze wystarczył, by stało się to dla mnie jasne. Muszę przyznać, że w moim notesie jest więcej wrażeń niż konkretnych informacji. Napływające w kolejnych dniach wiadomości miały te wrażenia potwierdzić. Niezgoda na pogwałcenie swobód obywatelskich przez generała Jaruzelskiego była widoczna w całym kraju już od 14 grudnia, czyli od pierwszego roboczego dnia w tygodniu zdominowanym przez protesty i okupację zakładów pracy. W większości przypadków „pacyfikacja”, nazywana tak w komunistycznym *langue de bois*, polegała na zagęszczaniu służb milicyjnych i wojskowych w zakładach produkcyjnych, wysyłaniu czołgów i pojazdów opancerzonych oraz na interwencjach jednostek specjalnych, które do tłumienia zamieszek używały gazu łzawiącego i armatek wodnych. Opór, przeważnie bierny, powstrzymywano bez trudu. Niekwestionowanymi protagonistami represji były oddziały ZOMO (Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej). Akronim ten wrył się w umysły Polaków na całe dziesięciolecie jako synonim szczególnego okrucieństwa. Zwaliste sylwetki, świdrujące spojrzenia i szare mundury były najważniejszym narzędziem bezwzględnego ustroju. Zomowcy budzili grozę już samym widokiem. Kiedy wkraczali do akcji, można było oczekiwać najgorszego.

Przekonanie, że wszystko może odbyć się bez przelewu krwi szybko okazało się iluzją. W śląskich kopalniach pacyfikacja przebiegała w sposób wyjątkowo krwawy. Kulminacją represji była masakra w kopalni Wujek. Trzy tysiące okopanych górników stawiło zaciekły opór. Wspierali ich okoliczni mieszkańcy, rodziny, kobiety i dzieci blokujący przed milicją drogi dojazdowe. 16 grudnia w południe oddziały ZOMO przystąpiły do ataku, rozpędzając tłum przy pomocy armatek z zimną wodą, podczas gdy z helikopterów zrzucano pojemniki z gazem łzawiącym. Ostatecznie siły porządkowe utorowały sobie drogę przez tłum demonstrantów i wkroczyły na teren kopalni. Starcie było niezwykle krwawe. Górnicy jak dzikie zwierzęta bronili się kijami i prętami. Wzięli na zakładników dwóch oficerów MO. W kłębach rozpylonego gazu słychać było strzały. I nie były to gumowe pociski. Kiedy akcja dobiegła końca, na polu bitwy zostały ciała sześciu górników, trzech innych zmarło później w szpitalu. Było wielu rannych, również wśród milicjantów. Doszło do aktów wyjątkowego bestialstwa. Naoczni świadkowie opowiadają, że milicjanci siłą zmuszali

sanitariuszy, by wyrzucili z karetki górników i zabrali ich rannych kolegów. W twierdzę wolnych związków zmieniła się nie tylko kopalnia Wujek. Nikt na całym Śląsku nie zamierzał ugiąć się przed Jaruzelskim. W kopalniach regionu okupacja przeciągnęła się do świąt Bożego Narodzenia. Tysiące strajkujących osądzono natychmiast w sądach wojskowych i skazano na trzy do dziesięciu lat więzienia. Równolegle do pacyfikacji zakładów pracy stosowano inne represje. Internowano działaczy Solidarności. W ciągu kilku dni zwykłymi nakazami administracyjnymi aresztowano i zamknięto w czterdziestu dziewięciu ośrodkach pięć tysięcy osób. Z zabójczym wyczuciem czasu, nocą z 12 na 13 grudnia, kordon uzbrojonych milicjantów otoczył przywódców wolnych związków zebranych na zjeździe Ogólnopolskiej Komisji Solidarności w Gdańsku. Zostali aresztowani i natychmiast rozesłani do różnych ośrodków. W większości były to placówki karne i resocjalizacyjne, wyposażone w cele i otoczone drutem kolczastym, ale też ośrodki wczasowe pod szczególnym nadzorem, w których drzwi do pokojów nie były zamykane, a po terenie można było przemieszczać się ze względną swobodą. W takich „złotych klatkach” zamknięto inteligentów z kręgu Solidarności, co było ewidentną próbą uderzenia w jedność związkowców. Przywódca opozycji, Lech Wałęsa, został ostatecznie osadzony w ośrodku rządowym w Arłamowie, nieopodal granicy ze Związkiem Radzieckim. Ludźmi Solidarności nie targała nienawiść i żądza odwetu, mimo że doświadczyli skrajnego upodlenia. List, który za pośrednictwem syna zdołał mi dostarczyć Tadeusz Mazowiecki, internowany w ośrodku w Darłówku i początkowo uznany za zmarłego, ukazuje ogromną godność i stoicyzm. Wielki intelektualista pisał, że ten trudny czas nie jest czasem klęski, lecz czasem próby, chrześcijańskiej próby. Uczą się teraz bardzo trudnej rzeczy: jak się nie ugiąć i zarazem pozostać wolnymi od nienawiści. Kiedy kilka lat później znów przeczytałem list, jego treść uderzyła mnie swą proroczą wymową. Mazowiecki napisał, że nadużyto wielu słów, w tym określenia „porozumienie społeczne”, i że teraz należy otworzyć się na to porozumienie, o ile można osiągnąć je w prawdzie i nie na kolanach. Jeśli do tego nie dojdzie, droga będzie długa i żmudna. Nie wiedział dokładnie, jaka ona będzie, był pewien, że pokonają ją z tą samą nadzieją [27].

Ośrodki internowania zostały zlikwidowane 19 grudnia 1982 roku, kiedy zawieszono stan wojenny (formalnie został zniesiony 22 lipca 1983 roku). Według oficjalnych danych w ciągu dwunastu miesięcy zamknięto

w nich 10 131 osób. Władze nie podawały żadnej liczby więźniów politycznych, którzy nadal przebywali w celi (ze źródeł opozycyjnych wynika, że było to około półtora tysiąca osób).

Ogłoszenie stanu wojennego nie było niczym innym, jak zamachem stanu. Socjalistyczna Konstytucja PRL przewidywała nadzwyczajne środki, ale decyzja o ich użyciu leżała w gestii Rady Państwa, najwyższego organu władzy w PRL. Tymczasem stan wojenny wprowadziła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego, a Rada Państwa tylko go zatwierdziła. Decyzję polskiego generała porównano do puczu Pinocheta. Po odczytaniu komunikatu rankiem 13 grudnia, I sekretarz unikał publicznego pokazywania się i nie zgadzał się na rozmowy z dziennikarzami. Odmówił nawet Orianie Fallaci, której musiał wystarczyć wywiad z innym prominentem PZPR, Mieczysławem Rakowskim.

Jaruzelski zasłaniał się argumentem, że stan wojenny był mniejszym złem, które pozwoliło uniknąć radzieckiej inwazji. Przekonał tym znaczną część zachodniej opinii publicznej. Dowodów na to jednak nie ma[28], co więcej, istnieją dokumenty świadczące o całkiem odwrotnym biegu wydarzeń. Jednym z nich jest przemówienie szefa KGB, Jurija Andropowa, wygłoszone w KC KPZR 10 grudnia 1981 roku, czyli trzy dni przed proklamowaniem stanu wojennego. „Decyzję o wprowadzeniu w życie operacji X mogą podjąć tylko towarzysze w Polsce. (...) Nie mamy zamiaru wysyłać tam naszych oddziałów". Skądinąd, podczas piętnastu burzliwych miesięcy legalnego istnienia wolnych związków, Kreml wielokrotnie powtarzał komunistycznym przywódcom w Polsce, że rozwiązanie problemu Solidarności jest zadaniem ich rządu. To zrozumiałe, że gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli, ZSRR nie wahałby się przed interwencją. W grudniu 1980 roku wzdłuż polskich granic stacjonowały połączone wojska Układu Warszawskiego, urządzając w tej sposób demonstrację siły. Ale w istocie były to tylko czcze pogróżki. Breżniew, owszem, podnosił głos, ale interwencja Armii Czerwonej w Afganistanie w grudniu 1979 roku mocno nadwerężyła jego możliwości i nie zamierzał przeprowadzać działań w Polsce w tak krótkim odstępie czasu. Lepsze rozwiązanie widział w wewnętrznej ingerencji wojsk w Warszawie. Z całą pewnością Jaruzelski działał wyłącznie pod dyktando Kremla, który naciskał na samodzielne rozstrzygnięcie kwestii. Potwierdza to jeszcze inny bardzo znaczący fakt. Taśma, którą wyemitowano w telewizji 13 grudnia, była w najdrobniejszych szczegółach dopracowana już dobrych kilka

miesięcy wcześniej. Listy osób przeznaczonych do internowania sporządzono wiosną 1981 roku (w wielu wypadkach nie były zaktualizowane i w niektórych zakładach aresztowano byłych członków Komitetu Związkowego, pomijając tych, którzy wstąpili do niego niedawno). Ukrytą zapowiedzią stanu wojennego była tak zwana akcja „Porządek", przeprowadzona pod koniec października. Do dziewięćdziesięciu miast i dwóch tysięcy wsi wysłano wojskowe grupy operacyjne, które miały rzekomo kontrolować dystrybucję żywności oraz zwalczać panoszące się w lokalnych strukturach niewydolność i korupcję. W istocie chodziło o umiejętnie zakamuflowany manewr, a jego prawdziwym celem było logistyczne rozpoznanie terenu, na który żołnierze mieli wrócić kilka tygodni później jako wykonawcy stanu wojennego.

Kiedy wydarzeniom w gabinetach rządowych przyglądamy się z perspektywy czasu, uderza ich prawdziwy wymiar. Staje się jasne, dlaczego struktury partyjne stopniowo oddawały władzę umundurowanym brygadom. Wyłania się postać generała Jaruzelskiego, który w lutym 1981 roku został premierem, a od października tego samego roku stanowisko to łączył z funkcją I sekretarza KC PZPR (w krajach bloku wschodniego partia komunistyczna była jedynym i wyłącznym organem sprawującym władzę). Unosiła się nad nim aureola poważania, czyniąc go jeśli nie popularnym, to z pewnością mniej znienawidzonym od innych prominentów. Jako mały chłopiec wraz z rodziną został wywieziony przez Rosjan na Syberię. Potem zaciągnął się do ochotniczych oddziałów pozostających na usługach Moskwy i z rozmachem rozwijał swą wojskową karierę, zostając w końcu najmłodszym generałem armii PRL. W roku 1970, kiedy krwawo stłumiono zryw robotniczy w Gdańsku, był ministrem obrony. Lubił określać się mianem „komunisty i patrioty". Pokazywał się wyłącznie w mundurze, jak gdyby dla podkreślenia dystansu wobec funkcjonariuszy aparatu. Jego działania zawsze były ambiwalentne: z jednej strony prowadził rozmowy z opozycją i Kościołem, doprowadzając do utworzenia Rady Porozumienia Narodowego, z drugiej groził zakazem strajków i wprowadzeniem ustawy o stanach nadzwyczajnych. Przy każdej okazji mówił o „ekstremizmie Solidarności".

Wewnątrz ruchu związkowego ścierały się dwie frakcje: jedna umiarkowana, unikająca politycznych kolizji i dążąca do stopniowego poszerzania swobód obywatelskich, druga – bardziej radykalna, nastawiona na zmiany w strukturach władzy[29]. Wałęsa balansował między jedną

a drugą, ale z czasem stało się dla niego jasne, że działalność związkowa nie będzie możliwa, dopóki partia nie odda swego jedynowładztwa. W istocie to nie związkowcy mieli skłonności ekstremistyczne, to w społeczeństwie narastała desperacja z powodu zaostrzającego się kryzysu i niewydolności klasy politycznej. Obradujące w dniach 27–28 listopada Plenum KC PZPR skierowało do sejmu tekst rezolucji nakazującej zastosowanie nadzwyczajnych środków w obronie interesów państwa, innymi słowy socjalistycznego ustroju. Solidarność musiała zareagować. Podczas zebrania odbywającego się w dniach 3–4 grudnia w Radomiu bardzo ostro ustosunkowała się do poczynań władz dążących do konfrontacji. Dla Jaruzelskiego czara się przelała. Można było przewidzieć jego zamiary. Kilka dni wcześniej, po raz pierwszy od piętnastu miesięcy, wysłał oddział bojowy milicji i helikoptery do zdławienia akcji strajkowej w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej w Warszawie. To była próba generalna stanu wojennego. Wbrew temu, co mówił rząd, Solidarność nie prowadziła przygotowań do nowej próby sił, co gorsza, z uderzającą naiwnością nie dostrzegała wiszącego nad krajem niebezpieczeństwa. Pucz Jaruzelskiego zaskoczył wszystkich. W ciągu kilku dni stłumiono protesty i czynny opór robotników, który choć bohaterski, był spontaniczny i źle zorganizowany, pozbawiony już oparcia w osłabionych strukturach związkowych.

Wszystko wskazywało na to, że po tej tragedii Polacy już się nie podniosą. Z punktu widzenia reżimu represje się powiodły, bo nie doszło do niekontrolowanego rozlewu krwi, którego tak się obawiano – wydarzenia pochłonęły kilkanaście ofiar śmiertelnych. „To znacznie mniej, niż terroryzm powoduje u was, we Włoszech”, usłyszałem kiedyś od cynicznego urzędnika w Warszawie. Do załamania ustroju miało dojść w konsekwencji działań naprawczych. Kryzys gospodarczy pogłębiał się, na co rzutowały również sankcje handlowe wprowadzone przez prezydenta Stanów Zjednoczonych Ronalda Reagana. Polska była zmuszona wyciągnąć rękę po pomoc do bratnich krajów, otrzymała jednak stosunkowo niewiele, zważywszy, że niedoborem podstawowych artykułów dotknięty był cały Wschód. Paczki z jedzeniem i ubraniami Polacy dostawali z Zachodu[30]. Socjalizm zmilitaryzowany okazał się socjalizmem cierpiącym głód. Przy tak katastrofalnych warunkach ekonomicznych trudno było sobie wyobrazić, że Jaruzelski otrzyma choćby minimum społecznego poparcia. Po burzliwych i zdominowanych przez przemoc

pierwszych tygodniach, stan wojenny można było przyjmować już tylko z milczącą uległością, a to było prostą drogą do załamania. Zauważyłem to, kiedy znalazłem się ponownie w Polsce, w marcu 1982 roku. Żołnierze byli wszędzie. Obowiązywała godzina milicyjna, czyli zakaz przebywania w miejscach publicznych po wyznaczonej porze, którą najstarsi Włosi, pamiętający jeszcze czasy faszystowskie, nazywają *Polizeistunde*. Wojna wypowiedziana przez reżimowe władze swojemu własnemu narodowi miała też aspekty groteskowe. Ilekroć podnosiłem słuchawkę telefonu, ostrzegał mnie głos z automatu: „rozmowa kontrolowana". Ten obłęd rodem z Orwella miał być sposobem na izolację obywateli drżących przed „Wielkim Uchem". Kontrolowano nie tylko rozmowy telefoniczne, wszystko przesiewano przez grube sito. W zakładach pracy, w szkołach, w życiu publicznym. Na szeroką skalę postępowała tak zwana weryfikacja, czyli po prostu czystki. Urzędnicy w sektorze publicznym, nauczyciele, dziennikarze, pisarze i intelektualiści byli zmuszani do podpisywania deklaracji lojalności wobec władz, pod groźbą natychmiastowego zwolnienia. W konsekwencji tysiące fachowców zostało bez pracy.

Solidarność pozostawiła po sobie ślad. Była osłabiona, jednak nie pokonana. Po traumatycznym zakończeniu epoki wolnych związków wciąż żyła w sercach i umysłach Polaków. Dzięki ogromnemu wsparciu narodu i wydatnej pomocy Kościoła, ruch związkowy miał zapewnione długie trwanie jako organizacja podziemna. Już w kwietniu 1982 roku powstała TKK, Tymczasowa Komisja Koordynacyjna. Jej czołowym działaczom (często aresztowanym, ale od razu zastępowanym nowymi) udawało się być w stałym kontakcie z charyzmatycznym Lechem Wałęsą, który został zwolniony z internowania w listopadzie tego samego roku. Działania dywersyjne polegały przede wszystkim na dementowaniu oficjalnych informacji. Wydawano wysokonakładowe podziemne dzienniki i biuletyny. Często w nagłówkach można było przeczytać hasło „Wrona skona!", gdzie wrona nawiązywała do zbrojnej organizacji WRON, a także „Wrona orła nie pokona!". Widywałem się z opozycjonistami często i bez większych trudności. Początkowo wyobrażałem sobie, że ukrywają się w dobrze strzeżonych miejscach, okazało się jednak, że mieszkają w mieście, w normalnych mieszkaniach i swobodnie się poruszają, asekurowani przez siatkę bliskich współpracowników, dobrze znających ich tożsamość. Kiedyś, w domu przyjaciół, miałem się spotkać ze Zbigniewem Bujakiem, jednym z najaktywniejszych członków związkowego podziemia. Kiedy nie

zjawił się o umówionej porze, przestraszyłem się, że wpadł. „Byłem u dentysty”, powiedział, przepraszając za spóźnienie.

„Solidarność była, jest i będzie!”. Z tym hasłem na ustach, łamiąc rygorystyczne zakazy narzucone przez stan wojenny i opierając się brutalnym akcjom ZOMO, demonstranci wciąż wychodzili na ulicę. Według danych MSW w okresie trwania stanu wojennego w całej Polsce doszło do 564 akcji protestacyjnych. Na tej liście agenci SB z całą pewnością nie uwzględnili wielotysięcznego tłumu, który w czerwcu 1983 roku witał Jana Pawła II odbywającego w ojczyźnie swą drugą pielgrzymkę. Stan wojenny odwołano miesiąc później. Długotrwałej krucjacie Jaruzelskiego przeciwko Solidarności była pisana klęska.

24 *Świadectwo. Kard. Stanisław Dziwisz w rozmowie z Gian Franco Svidercoschim*, tłum. M. Wolińska-Riedi, TBA, Poznań 2007, s. 129. O reakcji papieża na stan wojenny w Polsce szerzej napiszę w kolejnym rozdziale, w całości poświęconym Janowi Pawłowi II.

25 Pierwszym dziennikiem, w którym ukazało się to zdjęcie, był „New York Times”, redakcja ucięła jednak szyld kina Moskwa. Autor tej słynnej fotografii, Chris Niedenthal, był zły na amerykańskich dziennikarzy, którzy nie zrozumieli jej symbolicznej wymowy. Po jego proteście zdjęcie zostało opublikowane w nienaruszonym stanie. Opowiedział mi o tym sam Niedenthal.

26 „Trybuna Ludu”, wydanie sobotnio-niedzielne z 19–20 XII 1981 (przyp. tłum.).

27 We Włoszech list Mazowieckiego (datowany na 29 IX 1982 roku) wraz z dziennikiem internowania ukazał się pod tytułem *Internato!* (CSEO, Bolonia 1983).

28 Przyznaje to w swojej francuskojęzycznej autobiografii: „Rosjanie nigdy nam wprost nie grozili interwencją zbrojną, aby nas zmusić do zlikwidowania opozycji. Mówili jednak: »zróbcie to«, »zróbcie tamto«, bo będziemy zmuszeni zrobić to sami (...). Byliśmy świadomi zagrożenia”(W. Jaruzelski, *Les chaînes et le refuge. Mémoires suivis d’un entretien avec Adam Michnik* (*Kajdany i schronienie. Wspomnienia uzupełnione rozmową z Adamem Michnikiem*), Lattès, Paryż 1992, s. 236). W świetle tego, co wyjawiła ostatnio córka generała, Monika Jaruzelska, ojciec powiedział, że „jak wejdą Rosjanie, palnie sobie w łeb”. W 2013 roku ukazała się jej autobiograficzna książka zatytułowana *Towarzyszka panienka* (Czerwone i Czarne, Warszawa 2013). Wojciech Jaruzelski zmarł 25 maja 2014 roku po długiej chorobie. Zawsze deklarował swój ateizm, ale według informacji Katolickiej Agencji Informacyjnej przed śmiercią przyjął sakramenty.

29 Temat ten stał się zarzewiem słynnej potyczki słownej między opanowanym Tadeuszem Mazowieckim a radykałem Sewerynem Jaworskim, internowanymi w tym samym ośrodku: „I co, panie Tadeuszu? Mówiłem: ostrzej, mówiłem: ostrzej”. „Panie Sewerynie: mądrzej”. „I co z waszej mądrości?”, spytał Jaworski. „A co z waszej ostrości?”, odparł Mazowiecki.

30 We Włoszech powstawały Komitety Solidarności z Polską (Comitati di solidarietà con la Polonia) tworzone przede wszystkim przez katolików z Movimento Popolare (Ruchu Ludowego) oraz związkowców z Confederazione Italiana Sindacati Lavoratori (Włoskiej Konfederacji Pracowniczych Związków Zawodowych) i Unione Italiana del Lavoro (Włoskiej Unii Pracy).

Rozdział IV
Polska 1983. Jest papież, jest wolność

„Czy to Jego Świątobliwość zamówił te freski?”. W prywatnej kaplicy rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo trafiam na wyjątkowego przewodnika. Jest nim sam gospodarz, Jan Paweł II. Pytanie to nasunęło mi się, kiedy podziwiałem malowidła na bocznych ścianach przedstawiające jedne z najdonioślejszych wydarzeń z historii Polski: obronę klasztoru na Jasnej Górze podczas najazdu Szwedów w 1655 roku i zwycięstwo Polaków nad Armią Czerwoną w 1920 roku zwane „cudem nad Wisłą”[31]. Na twarzy papieża dostrzegam dobrotliwie strofujące spojrzenie. „Nie, nie były moją inicjatywą. Freski zamówił Pius XI, który przed pontyfikatem był nuncjuszem apostolskim w Warszawie[32]. Kiedy zostałem papieżem, ten dar był dla mnie dużym zaskoczeniem”. Czuję się jak niedouczony żaczek, ale mistrz wychodzi naprzeciw mojemu zakłopotaniu, czyniąc nawiązania autobiograficzne: „Urodziłem się w maju 1920 roku, kiedy Warszawa była otoczona przez bolszewików. Dlatego już od małego czułem się dłużnikiem tych, którzy walczyli o wolność i zwyciężyli, choć nic tego nie zapowiadało. Moje życie właściwie zaczęło się pod znakiem cudu nad Wisłą”. Wzruszenie odbiera mi mowę. Mam poczucie, że papież Polak chce mnie wtajemniczyć w swoje korzenie i dać wyraz ogromnemu przywiązaniu do ojczystej ziemi, które było źródłem pontyfikatu ze wszech miar uniwersalnego i sięgającego najodleglejszych zakątków świata.

Latem 1983 roku w Castel Gandolfo u boku Jana Pawła II spędziłem trzy dni. To niezwykły przywilej, niepowtarzalne doświadczenie. Zaproszenie otrzymałem z rąk papieskiego sekretarza, księdza Stanisława (przyjaznego i serdecznego kardynała Dziwisza wszyscy nazywali don Stanislao). Okazja nadarzyła się podczas nadzwyczajnego sympozjum gromadzącego wybitne osobowości ze świata nauki i kultury, które Jan Paweł II gościł w swojej letniej rezydencji w dniach 11–13 sierpnia. Spotkanie odbyło się za zamkniętymi drzwiami. Nie planowano wydania komunikatu prasowego ani obecności mediów. Ksiądz Stanisław chciał jednak zrobić wyjątek dla dziennika „Il Sabato”, z którym miał zażyłe

kontakty. Wybór padł na mnie i sądzę, że był podyktowany moimi związkami z Polską. Musiałem przerwać urlop, co zdarzało mi się już wcześniej, ale tym razem zrobiłem to ze szczególnym entuzjazmem, czując tę nieoczekiwaną satysfakcję, której moja praca dostarczała mi nader często. Kardynał Dziwisz przywitał mnie w drzwiach pałacu, po czym zaprowadził do salonu nazywanego „szwajcarskim" z powodu obecności na posadzce śladów po halabardach wartowników papieskiej Gwardii. Uśmiechnął się dyskretnie, dostrzegając moją tremę. Zasiadanie przy jednym stole z tuzami cywilizacji europejskiej nie było dla mnie codziennością. Kiedy wśród nich znalazł się Ojciec Święty, wydarzenie zyskało wyjątkowo doniosły charakter. Stało się symbolem zaangażowania Jana Pawła II w realizację misji Kościoła katolickiego prowadzącego dialog ze współczesnym światem. Temat sesji, pierwszej z wielu w dwuletnim cyklu, brzmiał „Sytuacja człowieka w świetle współczesnej nauki". Jej organizatorem był wiedeński Instytut Nauk o Człowieku (Institut für die Wissenschaften vom Menschen), pozawyznaniowa placówka, o której utworzenie intensywnie zabiegał wiedeński arcybiskup, kardynał Franz König, erudyta z szeroką perspektywą ekumeniczną. To dzięki niemu można było prowadzić nieskrępowane badania wolne od formalności. Członkami Instytutu byli Polacy, Niemcy, Francuzi i Amerykanie, łącznie dwadzieścia osób, uczonych ze środowisk katolickich i protestanckich, ale również ateistów. Niektórych gości miałem okazję poznać wcześniej, jak choćby księdza Józefa Tischnera czy Emmanuela Lévinasa, Żyda, jednego z największych myślicieli XX wieku. Innych znałem tylko z nazwiska: fizyka jądrowego Carla Friedricha von Weizsäckera, filozofa hermeneutę Hansa-Georga Gadamera, historyka Emmanuela Le Roy Ladurie, filozofa Paula Ricoeura, znawcę prawa Ernsta-Wolfganga Böckenfördego. W papieskiej rezydencji zetknąłem się z *crème de la crème* międzynarodowych elit intelektualnych. Między nimi ja, z bardziej niż uzasadnionym kompleksem niższości. Wszyscy goście byli serdeczni i otwarci, więc moje zakłopotanie minęło. Panowała przyjazna atmosfera, papież z wielką uwagą przysłuchiwał się dyskusjom z podbródkiem opartym na dłoni, podczas gdy drugą czasem coś notował. „To mój kurs doskonalący – żartował – jestem tu w charakterze ucznia". W czasie przerw (to one są najciekawszymi momentami wszelkich sesji naukowych) każdy miał szansę zamienić kilka słów w nieformalnej rozmowie z Janem Pawłem II, popijając kawę czy spacerując po tarasie z malowniczym widokiem na

jezioro otoczone górami. Ojciec Święty ucinał pogawędkę ze wszystkimi, z jedynym obecnym dziennikarzem również.

Spotykałem go w różnych okolicznościach. Po raz pierwszy w listopadzie 1981 roku podczas kongresu poświęconego chrześcijańskim korzeniom narodów Europy zorganizowanego w Watykanie, na którym wystąpili też referenci z Polski. Podczas zamykającej obrady audiencji Jan Paweł II zapragnął osobiście pożegnać każdego z uczestników. Kardynał Dziwisz przedstawił mnie jako polskiego korespondenta „Il Sabato". Papież zaskoczył mnie pytaniem o wrażenia. Nie powiedziałem mu niczego odkrywczego. Dla Polski był to czas krytyczny i wszyscy goście konferencji dzielili się swoimi obawami. U Jana Pawła II dostrzegłem pełną ciepła bliskość z rodakami. W tamtym czasie kilku watykanistów traktowało go z nieufnością, a określenie „papież Polak" miało deprecjonujące, niemal negatywne konotacje. Każdy, kto uważał, że narodowa tożsamość nowej głowy Kościoła była tylko sentymentalnym folklorem, szybko musiał swoje przekonanie zweryfikować. „Czyż Chrystus tego nie chce, czy Duch Święty tego nie rozrządza, ażeby ten papież-Polak, papież-Słowianin właśnie teraz odsłonił duchową jedność chrześcijańskiej Europy, na którą składają się dwie wielkie tradycje: Zachodu i Wschodu?"[33], pytał podniośle Jan Paweł II w Gnieźnie, dawnej stolicy Polski, podczas swojej pierwszej pielgrzymki do ojczyzny, w czerwcu 1979 roku. Papieża Słowianina, nieustraszonego wojownika w czasach znoju, wieszczył już polski dziewiętnastowieczny poeta Juliusz Słowacki: „Pośród niesnasków – Pan Bóg uderza / W ogromny dzwon, Dla Słowiańskiego oto Papieża / Otwarty tron. / Ten przed mieczami tak nie uciecze / Jako ten Włoch, / On śmiało jak Bóg pójdzie na miecze; / Świat mu – to proch".

Sierpień 1983, Jan Paweł II i autor

Ten liryk zawsze był dla mnie uderzającym proroctwem. Sądzę, że dla Jana Pawła II również. W czasach szkolnych nauczył się go na pamięć. Pierwszy słowiański papież był zarazem pierwszym papieżem pochodzącym z kraju komunistycznego, a dla Kościoła na świecie ta zbieżność okazała się wybawieniem. Dziś już cieszy się powszechnym szacunkiem. Warto jednak przypomnieć, jaką opinię miały Europa Wschodnia i jej środowiska klerykalne, kiedy papież Polak wdarł się do historii: zapomniane terytorium na krańcach kontynentu, zachowawczy Kościół przywiązany do przedsoborowego kształtu, odrodzony w katakumbach w opresyjnym imperium ateistów. „Niech żyje Kościół milczenia!” – w ten spontaniczny sposób Jana Pawła II wierni witali w Asyżu 5 listopada 1978 roku, niedługo po konklawe. On zaś odparł: „Kościół milczenia już nie istnieje. Teraz mówi ustami papieża”. To, co uważano za zmianę kursu, okazało się nowym obliczem Kościoła,

radykalną przemianą, która przygotowała grunt pod rewolucję 1989 roku. Do pierwszego pęknięcia w komunistycznym murze doszło już dziesięć lat wcześniej, w 1979 roku, kiedy na placu Zwycięstwa[34] w Warszawie człowiek w białej szacie przemówił do tłumnie zgromadzonych rodaków. „Człowiek nie może siebie sam do końca zrozumieć bez Chrystusa. (...) I dlatego Chrystusa nie można wyłączać z dziejów człowieka w jakimkolwiek miejscu ziemi. Nie można też bez Chrystusa zrozumieć dziejów Polski – przede wszystkim jako dziejów ludzi, którzy przeszli i przechodzą przez tę ziemię”[35].

Polskiego papieża witały owacje wzruszonego tłumu i podejrzliwe spojrzenia prominentów. Czerwoną dyktaturę wyzwał na pojedynek, jednak jego celem nie była polityczna destabilizacja. Może to zabrzmieć kontrowersyjnie, ale Karol Wojtyła nigdy nie uważał się za opozycjonistę (to dlatego komunistyczne władze w Polsce, popełniając kardynalny błąd, przychylnie odniosły się do jego nominacji na arcybiskupa krakowskiego). Podkreślając przynależność narodu do Chrystusa, wyrwał go z rąk partyjnego molocha i wyzwolił siłę moralną, która dla jego rodaków stała się najważniejszym źródłem wolności. Słowa „państwo” i „ideologia” papież Słowianin chętnie zastępował pojęciami „naród” i „prawa człowieka”. „W moim przekonaniu, różnice między kapitalizmem i komunizmem tkwią na powierzchni rzeczy”, powiedział dziennikarzom podczas rozmowy na pokładzie samolotu lecącego w 1979 roku do Meksyku, gdzie miał odbyć swą pierwszą pielgrzymkę zagraniczną. „Ja patrzę na to, co kryje się w głębi – na narody, bo to do nich Kościół kieruje swoją misję”.

Rosjanie od początku zdawali sobie sprawę, że papież stanowi śmiertelne zagrożenie dla ustroju. Kiedy do Breżniewa, I sekretarza KC KPZR, dotarła wiadomość, że rząd w Warszawie prowadzi przygotowania do papieskiej wizyty, rozwścieczony zadzwonił do Gierka, który wówczas trzymał stery PZPR, i ostrzegał: „Radzę wam, nie przyjmujcie go, bo będziecie z tego mieli wielkie kłopoty”. Gierek (rozmowę tę przytoczył w swoich wspomnieniach[36]) odparł: „Rozum polityczny dyktuje mi jednak konieczność jego wpuszczenia”. „Róbcie więc, jak uważacie – powiedział radziecki przywódca – bylebyście wy i wasza partia nie żałowali później”. Breżniew się nie mylił. Papieża na własne oczy przyszło zobaczyć ponad dziesięć milionów Polaków, czyli jedna trzecia narodu. Zgromadzili się wokół niego z dziecięcą ufnością i w skupieniu słuchali jego homilii. Jan

Paweł II sam napisał teksty wszystkich przemówień i homilii, które miał wygłosić w ojczyźnie[37]. Potrafił poruszyć serca swoich rodaków i, obok wiary, na nowo obudzić w nich pragnienie prawdy i wolności. Ale nawet on nie mógł przewidzieć tego, co miało wydarzyć się później. Pod koniec podróży, po spotkaniu z dziennikarzami prasy katolickiej w krakowskim Pałacu Arcybiskupów, głośno wyraził swą ciekawość: „Zastanawiam się, co stanie się po tej mojej wizycie".

Polskę czekały radykalne zmiany. Ziarno zasiane przez Jana Pawła II w 1979 roku miało wydać owoce kolejnego lata w Gdańsku, w narodzinach wolnego związku zawodowego. Papież Wojtyła, którego portret wisiał na bramie Stoczni Gdańskiej obok wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej, od razu został okrzyknięty duchowym przywódcą Solidarności. Jan Paweł II nie tylko powoływał się na etos solidarności, ale przy wielu okazjach – publicznych i nieoficjalnych – stawał w obronie niezależnego ruchu związkowego. Kiedy w 1980 roku Układ Warszawski zmasował w Polsce swoje brygady i zaczęły krążyć pogłoski o radzieckiej interwencji, papież bez wahania napisał do Breżniewa, ostrzegając go przed inwazją, którą porównał do hitlerowskiej agresji w 1939 roku. W liście, zaadresowanym bezpośrednio do przywódcy Kremla, odwoływał się też do poszanowania suwerenności narodów, ustanowionej w Akcie Końcowym Konferencji helsińskiej z 1975 roku, którą Związek Radziecki również ratyfikował. 15 stycznia 1981 roku w Watykanie została z honorami przyjęta liczna delegacja Solidarności, z Lechem Wałęsą na czele. Papież im wtedy powiedział: „Zawsze byłem z wami, szczególnie w modlitwie, ale również pokazywałem swoją bliską obecność na dyskretne sposoby, czytelne dla was i dla wszystkich ludzi dobrej woli". Dla świata, a przynajmniej tej jego części, która jeszcze tego nie przyjęła do wiadomości, był to sygnał, że obok komunistycznej Polski jest jeszcze inna Polska, która cieszy się pełnym poparciem głowy Kościoła katolickiego. Więź ta wkrótce miała odnaleźć swój wyraz w encyklice *Laborem exercens*. Sprzęgnięcie ruchu robotniczego z chrześcijańską doktryną społeczną nie było w niej postulowane jako konieczność, jak w *Rerum novarum* Leona XIII, lecz ogłoszone jako fakt, a w Polsce dokonało się to dzięki Solidarności.

Rok 1981 miał szczególnie dramatyczny przebieg. 13 maja na placu św. Piotra Jan Paweł II padł ofiarą zamachu Mehmeta Ali Ağcy. Wszelkie teorie dotyczące jego ewentualnych inspiratorów upadły, znikając we mgle półprawd i radykalnych zmian zeznań tureckiego terrorysty. W swojej

ostatniej książce *Pamięć i tożsamość* Jan Paweł II napisał: „Ali Ağca jest, jak wszyscy mówią, zawodowym zabójcą. Co znaczy, że zamach nie był jego inicjatywą, że ktoś inny to wymyślił, ktoś inny to zlecił". Dodał: „Myślę, że był on jedną z ostatnich konwulsji XX-wiecznych ideologii przemocy"[38]. Papież w tym miejscu wymienia faszyzm, hitleryzm i komunizm. Z tych trzech ideologii w 1981 roku żywotny był tylko komunizm. Kogo Ojciec Święty mógł mieć na myśli, mówiąc „ktoś inny"? Nigdy tego nie powiedział. Wszyscy jego biografowie na ten temat musieli zostawić niezapisaną stronicę. Przekonującą, choć nadal niejednoznaczną odpowiedź otrzymałem podczas rozmowy z innym dostojnikiem polskiego Kościoła, biskupem Tadeuszem Pieronkiem. „Zawsze uważaliśmy, że ręką Ali Ağcy kierowała moskiewska władza. Kiedyś, podczas śniadania z Ojcem Świętym, dyskutowaliśmy o tym z innymi braćmi. Papież się nie wypowiadał, ale wszyscy mieliśmy nieodparte przeświadczenie, że podziela naszą opinię".

Z ojczyzny ciągle napływały niepokojące wieści. Ich kulminacja nastąpiła po wybuchu stanu wojennego. Papieża zawiadomił polski ambasador we Włoszech – o pierwszej w nocy, 13 grudnia, pięć godzin przed telewizyjnym wystąpieniem Jaruzelskiego. Tak jak wszyscy, nie miał jednak dokładnej wiedzy na temat tego, co naprawdę działo się w kraju. Świadomość, że został odcięty od ojczystej ziemi, spowodowała u papieża głęboki smutek, gorycz i gniew. Wiem to z relacji Bohdana Cywińskiego, jedynego działacza Solidarności, który – dzięki obecności w Rzymie – mógł kilkakrotnie spotkać się z papieżem. Pięć dni po wprowadzeniu stanu wojennego, Jan Paweł II napisał do generała Jaruzelskiego osobisty i bardzo dobitny list, odwołując się do jego sumienia i apelując o zaprzestanie aktów przemocy. Przywoływał tragiczną historię minionych stuleci, w których popełniono wiele błędów, a żądza zawładnięcia krajem doprowadziła do rozlewu polskiej krwi. Dopiero 22 grudnia do Watykanu zdołał dotrzeć sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Polski, arcybiskup Bronisław Dąbrowski, z informacjami z pierwszej ręki. Zalecał rozwagę, jednak Jan Paweł II tego stanowiska nie podzielał. Papież nie zamierzał zostawić Solidarności samej. Nie wzywał do walki, lecz do moralnego oporu przeciwko reżimowi. W każdym jego przemówieniu do wiernych, poczynając od krótkiej odezwy podczas modlitwy Anioł Pański 13 grudnia, wielokrotnie powtarzał słowo w ojczyźnie zakazane, apelując do narodu o solidarność i wyrażając głębokie zasmucenie z powodu czynu,

jakiego dopuścił się komunistyczny reżim. W wigilię Bożego Narodzenia w oknie apartamentu papieskiego zapalił świeczkę. Ten wzruszający gest naśladowały miliony ludzi na całym świecie, pokazując swą duchową łączność z polskim narodem, stłamszonym stalową pięścią Jaruzelskiego.

Jan Paweł II uważał stan wojenny za krzywdę wobec narodu i gwałt na jego godności. W październiku 1982 roku w obecności oficjalnej delegacji z Polski, na czele której stał przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński, papież powiedział: „Polska na to nie zasłużyła". Przedstawiciele administracji państwowej przybyli do Watykanu na uroczystości kanonizacyjne ojca Maksymiliana Kolbego. Byłem wówczas w Rzymie i widziałem Jana Pawła II głęboko wstrząśniętego. W emocjonalnym odruchu powiedziałem: „Wasza Świątobliwość, Polska Was potrzebuje". On zadrżał, chwycił mnie mocno i zapytał: „Dlaczego pan mi to mówi?". Nieco zmieszany odparłem, że w Polsce wszyscy niecierpliwie wyczekują kolejnej pielgrzymki. Pokiwał głową w milczeniu.

Między Watykanem a komunistycznymi władzami w Warszawie odbywała się twarda rozgrywka. Według pierwotnych planów papież miał wrócić do ojczyzny na zaproszenie episkopatu, by wziąć udział w obchodach 600-lecia obecności Cudownego Obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze. W tym czasie w Polsce jeszcze obowiązywał stan wojenny, w więzieniach i w ośrodkach internowania było zamkniętych tysiące opozycjonistów. Zdecydowano więc, że uroczystości rocznicowe będą trwały przez rok, dzięki czemu będzie można zyskać na czasie, Jaruzelski zdąży odwołać stan wojenny, a więźniowie polityczni zostaną wypuszczeni. Drugą wizytę apostolską Jana Pawła II w ojczyźnie wyznaczono na czerwiec 1983 roku. Papież chciał odwiedzić Gdańsk, ale władze kategorycznie zaoponowały. Bałtycki etap pielgrzymki został wykreślony z programu, a ponadto pojawiły się jeszcze inne, poważniejsze trudności. Papieżowi bardzo zależało na spotkaniu z Lechem Wałęsą, człowiekiem, który jako symbol Solidarności został przez ustrój odsunięty w niebyt. Po negocjacjach ustalono, że do spotkania dojdzie, ale to rząd ustali jego szczegóły. W przeddzień pielgrzymki „New York Times" autorytatywnie stwierdził: „Papież jedzie do Polski na pogrzeb wolnych związków zawodowych". Polacy byli innego zdania.

Jana Pawła II tłum przywitał, skandując „Solidarność!", i to już wieczorem w dniu przyjazdu, kiedy radosna i spontaniczna manifestacja trzydziestu tysięcy osób przeszła przez centrum Warszawy. Można było

odnieść wrażenie, że walec stanu wojennego przejechał na próżno. Obserwowałem przerażone twarze milicjantów, którzy tkwili w nieruchomym kordonie bojowym, w oczekiwaniu na rozkazy, które nigdy nie padły. Demonstranci wołali: „Nie bójcie się, tym razem nie uderzą” (była to aluzja do ostatnich skrajnie brutalnych akcji ZOMO), zapraszając do udziału przechodniów na Krakowskim Przedmieściu, szerokiej arterii biegnącej przez śródmieście stolicy. Wołali w euforii: „Jest papież, jest wolność!”. Długotrwałe oczekiwanie na drugą wizytę apostolską było dla Polaków szczególnie trudne. Śledzili jego gesty, chłonęli każde słowo, pragnąc zrozumieć przesłanie jego homilii i się z nim utożsamić. Gdy papieski samolot wylądował na płycie lotniska, papież ukląkł i ucałował ojczystą ziemię. „Jest to jakby pocałunek złożony na rękach matki, albowiem Ojczyzna jest naszą matką ziemską. Polska (...) jest matką, która wiele przecierpiała i wciąż na nowo cierpi” [39]. Kiedy Jan Paweł II wygłaszał homilię w katedrze św. Jana w Warszawie, miał zgaszony wzrok, a z jego twarzy biło przygnębienie. Jednoczył się z rodakami, „zwłaszcza z tymi, którzy najboleśniej czują cierpki smak zawodu, upokorzenia, cierpienia, pozbawienia wolności, krzywdy, podeptanej godności człowieka”. Wypomniał w ten sposób wszystkie straty moralne, które spowodował stan wojenny. Jego słowa nie były tylko pocieszeniem dla ludzi żyjących w poczuciu przegranej. Przeciwnie, tak jak we wszystkich przemówieniach, kładł akcent na zwycięstwo, jak gdyby w odpowiedzi na palce wzniesione w kształcie litery „V”, symboliczny gest Solidarności, którym przywitał go tłum. Papież w swoich wystąpieniach często powtarzał: „Venimus, vidimus, Deus vicit”. Wiernym zgromadzonym na krakowskich Błoniach mówił: „Naród bowiem jako szczególna wspólnota ludzi jest również wezwany do zwycięstwa: do zwycięstwa mocą wiary, nadziei i miłości; do zwycięstwa mocą prawdy, wolności i sprawiedliwości”.

Wydawało się, że cały kraj ruszył w pielgrzymkę za Ojcem Świętym. Na każdym kroku witała go rzesza wiernych. Ta wspólnota robiła wrażenie nawet na najbardziej cynicznych dziennikarzach. W rozklekotanych autobusach, które udostępnił nam rząd, bez wytchnienia polowaliśmy na papamobile. Wtapialiśmy się w tłum, podążając za przemokniętymi i zmarzniętymi Polakami w Częstochowie, obłoconymi podczas burzy nad Katowicami, zmagającymi się z duszącym upałem we Wrocławiu, ale zawsze ze wzrokiem utkwionym w białą sylwetkę i z sercem otwartym na spotkanie, które miało odmienić ich życie. Między papieżem a jego

rodakami istniała prosta i naturalna więź. Wiedział, jak mówić do ludzi, a wierni czuli, kiedy należy mu się owacja. Ostatni wers starego hymnu *Boże, coś Polskę* odśpiewali w pierwotnej wersji, kończącej się wezwaniem: „ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie", w miejsce tego, które narzuciły władze – „ojczyznę wolną pobłogosław Panie". Pielgrzymka z 1979 roku przebiegała pod znakiem nadziei, kolejną wizytę papieża w ojczyźnie można określić pielgrzymką odrodzenia. „My, Polacy, nie możemy ani niszczyć, ani dać się zniszczyć", mówił papież, powierzając ojczyznę wstawiennictwu Matki Bożej Królowej Polski. Każde przemówienie spotykało się z entuzjastyczną reakcją wiernych i narastającą irytacją władzy. Rząd w końcu zwrócił się do episkopatu z żądaniem, by papież używał w swoich publicznych wystąpieniach łagodniejszego tonu. Jan Paweł II odpowiedział szorstko, że jeśli nie może mówić tego, co myśli, natychmiast wraca do Rzymu. To samo powtórzył publicznie. Dwukrotnie spotkał się z Wojciechem Jaruzelskim. Krytykował decyzję wprowadzenia stanu wojennego, zastrzegając, że „nie można uwięzić wolności słowa"[40]. Do generała apelował o respektowanie Porozumień sierpniowych, na mocy których utworzono Solidarność. Polaków wzywał, by nie zapomnieli o tym, co wywalczyli w sierpniu 1980 roku.

Rząd poszedł na ustępstwa w wielu kwestiach, jednak nie chciał słyszeć o spotkaniu – jakże symbolicznym – papieża z Lechem Wałęsą. W tym wypadku papież także groził przerwaniem pielgrzymki. Ostatecznie władze dały przyzwolenie na „ściśle prywatną" rozmowę. Odbyła się ona w schronisku w Dolinie Chochołowskiej. Służby specjalne bezcelowo naszpikowały pokoje podsłuchami. „Doskonale o tym wiedzieliśmy, więc przenieśliśmy się z rozmową na stojącą w pobliżu ławkę", wyjawił mi kiedyś Wałęsa. „Pod koniec spotkania zjawił się watykański fotoreporter Arturo Mari, by uwiecznić to wydarzenie, i wtedy papież zażartował, że jeśli »oni« zaprzeczą, że spotkanie się odbyło, będziemy mieli dowód w rękach".

Rozmowa papieża z Wałęsą wywołała rozmaite reakcje. Reżim rozpuścił pogłoskę, że było to tylko krótkie powitanie, bez większego znaczenia. „To koniec Wałęsy. Papież oddał hołd przegranemu". Taki nagłówek ukazał się nie w „Trybunie Ludu", lecz w „L'Osservatore Romano". Zastępca naczelnego, ksiądz Virgilio Levi, w komentarzu na zakończenie wizyty duszpasterskiej papieża napisał, że „Wałęsa schodzi ze sceny, bo przegrał swoją batalię. Rozpaczać jednak nie ma sensu, bo klęskę

wymusiły okoliczności, mimo że tak okrutne”. Wypowiedź w mgnieniu oka obiegła świat. Ja byłem odmiennego zdania, ale mój sąd został zdezawuowany. Podczas kolacji, którą 24 czerwca jadłem w gronie znajomych, usłyszałem: „Polski Kościół poszedł na ugodę z władzami. Wałęsa jest skończony, a papież przyjechał odprawić Solidarności ostatnią posługę”. W tak bezpardonowy sposób podsumowali wydarzenia, których byłem świadkiem. Odparłem, że to nieprawda. Roześmiali mi się w twarz: „Przecież papieski dziennik napisał to na pierwszej stronie!”. Tym mnie zbili z tropu. Dowiedziałem się później od zaprzyjaźnionych osób z Watykanu, że Jan Paweł II był wzburzony. Komentarz Leviego zaprzeczał wszystkiemu, co papież powiedział podczas swojej wizyty w kraju. Opinię wicenaczelnego Stolica Apostolska określiła jako „arbitralną i całkowicie prywatną”. Tym razem to Levi musiał zejść ze sceny i złożył dymisję. Koledzy mnie przepraszali, a ja miałem satysfakcję.

Dialog z Jaruzelskim wydawał się najbardziej palącą potrzebą. Papież tę próbę podjął, ale argumentu „mniejszego zła” nie przyjął do wiadomości, uważając, że naród potrzebuje raczej większego dobra. Jego stanowisko było bezkompromisowe. Jan Paweł II zetknął się z komunizmem bezpośrednio i w odróżnieniu od wielu zachodnich przedstawicieli katolicyzmu, nigdy nie miał poważania dla marksizmu. Wschodnioeuropejskie dyktatury uważał za systemy „niedostępnej władzy, pozbawionej jakiegokolwiek programu i jakiejkolwiek rzeczywistej woli reformy czy poprawy bytu społeczeństwa”[41]. Widział w nich popękany gmach, którego jedynym fundamentem jest kłamstwo, i dlatego grozi mu nieuchronne zawalenie. W tej opinii był odosobniony pośród wielu światowych autorytetów, nawet kościelnych. Ostatniego dnia pielgrzymki w 1983 roku miało miejsce symboliczne wydarzenie. Wieczorem Jan Paweł II powrócił do Kurii Metropolitalnej. Była już pora kolacji, ale tłumnie zgromadzona młodzież głośno papieża nawoływała. On wstał, podszedł do okna (później nazwano je Oknem Papieskim) i zaczął z tymi młodymi ludźmi rozmawiać, w atmosferze ogromnej spontaniczności, pośród śpiewu i żartów. Zaintonowali *Barkę*, ulubioną pieśń Wojtyły z czasów, kiedy jako młody biskup podróżował z młodzieżą. „To jest właśnie piosenka o ewangelizacji, o Ewangelii, o apostolstwie, o powołaniu. A wy, jakie macie powołanie? Ci, co tu siedzą na chodniku [mowa o klerykach franciszkańskich] mają powołanie; ale nie tylko oni. Ci, co tam dalej stoją –

wskazał ręką na tajnych agentów – też mają powołanie, choć są w cywilu”[42].

W tym momencie siedzący przy stole kardynał Casaroli nie wytrzymał: „O co mu chodzi? Czy chce rozlewu krwi? Czy chce wojny? Czy chce obalić rząd? Codziennie muszę tłumaczyć władzom, że nic takiego nie grozi”[43]. Stanowisko Jana Pawła II i oficjalna linia sekretarza Watykanu były rozbieżne. Watykańska *Ostpolitik* opierała się na strategii małych kroków i stopniowo zawieranych porozumień osiąganych w wyniku długich i rozciągniętych w czasie negocjacji ze wschodnioeuropejskimi rządami. Papież z wyczuciem oddał stery dyplomacji w ręce kardynała Casarolego, choć tradycyjną *Ostpolitik* traktował szerzej. Obok państw w centrum zainteresowania stawiał narody. Jan Paweł II mówił: „Państwo jest istotnie suwerenne, jeśli rządzi społeczeństwem i zarazem służy dobru wspólnemu społeczeństwa i jeśli pozwala Narodowi realizować właściwą mu podmiotowość, właściwą mu tożsamość”[44]. Pojęcie podmiotowości silnie akcentował w klasztorze na Jasnej Górze podczas pielgrzymki w 1983 roku, a później wielokrotnie się do niego odwoływał, również podczas rozmów z generałem Jaruzelskim: „Jeśli państwo staje się narzędziem dyktatury proletariatu, społeczeństwo traci swoją podmiotowość”. W ten sposób papież realizował „teologię narodów, w świetle której każdy z nich, nawet ten najmniejszy, ma znaczenie historyczne i opatrznościowe”[45].

Jan Paweł II po raz trzeci wrócił do ojczyzny w 1987 roku. Wtedy już wolno mu było odwiedzić Gdańsk. Podkreślił znaczenie wielkiego dziedzictwa polskiej Solidarności. To był ostatni raz, kiedy postawił się upadającemu reżimowi, którego kres miał nadejść dwa lata później. Jednak to pielgrzymka 1983 roku była bez wątpienia najbardziej brzemienna w skutki i to ona przyniosła przełom. Kiedy byłem u boku papieża w Castel Gandolfo, wspomnienia i emocje jeszcze nie ostygły. Powiedziałem mu, że z uwagą śledziłem całą jego podróż po Polsce, ale zanim udało mi się o cokolwiek zapytać, on zwrócił się do mnie. Był ciekaw, jak ludzie reagowali na jego słowa i serdecznie się roześmiał, kiedy opowiedziałem mu o konsternacji milicjantów patrolujących ulicę Franciszkańską w Krakowie pod oknem Pałacu Arcybiskupów, wtedy, kiedy z nich zakpił. Swój pogląd na temat wschodnioeuropejskich reżimów wygłosił w mojej obecności, kiedy pewnego ranka w Castel Gandolfo przeglądałem prasę. Czytałem właśnie artykuł w „Corriere della Sera” relacjonujący kolejną

salwę czeskich władz przeciwko głowie Kościoła, „reprezentantowi światowych reakcjonistów i antysocjalistów”. Zauważyłem, że nadchodzi papież. Chciał rzucić okiem na gazety. Zupełnie nie wiedziałem, jak mam zachować się w takiej sytuacji. „Ojcze Święty, w tym artykule piszą o Waszej Świątobliwości”, wyjąkałem, próbując ukryć zażenowanie. Przeczytał tekst, podniósł głowę i rzekł: „Spośród wszystkich komunistów ci w Czechosłowacji są najgorsi”. Nie dodał nic więcej. Było dla mnie oczywiste, że ten sąd musi pozostać między nami. Gdybym odważył się to napisać, między Pragą a Watykanem rozpętałaby się wojna, może nawet nie tylko dyplomatyczna. Zdałem sobie sprawę, że mam przed sobą bohatera historii, proroka, który nie bał się nazywać rzeczy po imieniu. Słynne wezwanie „Nie lękajcie się!”, którym rozpoczął swój pontyfikat, było nie tylko apelem do świata, ale też świadectwem ducha jego wiary.

Możliwość bliższego poznania Jana Pawła II zawsze uważałem za wielki honor. Ostatni raz spotkałem go – znów w Castel Gandolfo – w 2002 roku, kiedy obchodziłem rocznicę ślubu. Byłem z całą rodziną. Przyjął nas po mszy świętej, mimo że już był bardzo osłabiony chorobą i z trudem wypowiadał słowa. Wrócił właśnie z pielgrzymki do ojczyzny, która miała być jego ostatnią, przebiegającej pod znakiem Bożego Miłosierdzia i otoczonej sentymentem wszystkich rodaków. Jan Paweł II nadał pełnię mojemu życiu i sens mojej pracy. Z nieukrywaną dumą mogę powiedzieć, że byłem naocznym świadkiem jego wielkiego człowieczeństwa i twórczej świętości.

31 W sierpniu 1920 roku, spodziewając się już najgorszego, oddziały polskie przeprowadziły kontratak i pokonały Armię Czerwoną, powstrzymując napór bolszewików, który – zgodnie z planem Lenina – miał być pierwszym krokiem do rewolucji w Niemczech, a następnie w całej Europie. Była to jedna z decydujących bitew XX wieku, chociaż włoskie podręczniki historii zdają się jej nie zauważać. To niewiarygodne zwycięstwo umożliwiło pokoleniom Polaków – również Karolowi Wojtyle – dorastać w niepodległym kraju po stu pięćdziesięciu latach zaborów.

32 Kardynał Achille Ambrogio Ratti, przyszły Pius XI, był wizytatorem apostolskim i nuncjuszem papieskim w Warszawie w kluczowym dla narodu okresie (1918–1921).

33 *Jan Paweł II w Polsce. Przemówienia i homilie*, PAX, Warszawa 1991, s. 53–54 (przyp. tłum.).

34 Obecnie plac marsz. Józefa Piłsudskiego (przyp. tłum.).

35 *Jan Paweł II w Polsce…*, op. cit., s. 36.

36 *Przerwana dekada. Wywiad-rzeka Janusza Rolickiego z Edwardem Gierkiem*, „Fakt”, Warszawa 1990, s. 135–136 (przyp. tłum.).

37 Wyjawił to papieski sekretarz, kardynał Dziwisz, w wywiadzie udzielonym KAI w czerwcu 2009 roku.

38 Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość. Rozmowy na przełomie tysiącleci*, Znak, Kraków 2011, s. 169–170 (przyp. tłum.).

39 Wszystkie wypowiedzi Jana Pawła II za: *Pokój Tobie, Polsko. Druga pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny: homilie i przemówienia*, 16–23 VI 1983, wstęp, diariusz i oprac. A. Szafrańska, PAX, Warszawa 1983 (przyp. tłum.).

40 O prywatnych spotkaniach z papieżem mówił sam Jaruzelski przed trybunałem beatyfikacyjnym w Krakowie, w pierwszej fazie procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II: „Nie raz od niego usłyszałem: »Generale, proszę, by miał pan w pamięci słowa króla Zygmunta Augusta: nie jestem królem waszych sumień (...)«. Wobec kwestii fundamentalnych stanowisko miał bezkompromisowe. Dla nas stanowił duże zagrożenie". W stosunku do wydarzeń lat osiemdziesiątych Jaruzelski mówił, że jest „skruszony i pełen bólu". Przyznał też, że „nie można było rozmawiać z Janem Pawłem II i nie czuć do niego ogromnej sympatii. Był pełen dostojeństwa, a zarazem prostej serdeczności".

41 Relacjonuje to w książce *Rzecznik. Krok w krok za Janem Pawłem II* Joaquín Navarro-Valls, w czasie pontyfikatu Jana Pawła II rzecznik prasowy Watykanu przez ponad dwadzieścia lat, przeł. Krzysztof Stopa (Fronda, Warszawa 2010, s. 16).

42 *Druga pielgrzymka...*, op. cit., s. 290.

43 Można się o tym dowiedzieć z rozmowy George'a Weigla z kardynałem Jean--Marie Lustigerem, której fragment autor zamieścił w biografii Jana Pawła II *Świadek nadziei* (Znak, Kraków 2012, s. 587).

44 Homilia podczas uroczystej jubileuszowej Mszy świętej, w: *Druga pielgrzymka...*, op. cit., s. 146 (przyp. tłum.).

45 A. Riccardi, *Giovanni Paolo II*, Edizioni San Paolo, Cinisello Balsamo 2011, s. 337.

Rozdział V
Polska 1984. Duchowni na pierwszej linii frontu

W zakrystii szybkim krokiem wychodzi mi na spotkanie człowiek o szczupłej sylwetce, ubrany w luźną sutannę. Ma młodzieńcze rysy, jasne włosy i pociągłą twarz. Księdza Jerzego chciałem poznać od dawna, nie wiedząc jeszcze, że kiedyś stanie się symbolem walki z demonem komunizmu. Moim zamiarem było nakłonienie go do jakichś deklaracji, ale szybko zrozumiałem, że wiele nie osiągnę: „Jestem tylko zwykłym księdzem, nie mam nic do powiedzenia". „Proszę księdza, chciałem tylko wiedzieć, co ksiądz myśli o...". Z błyskiem w oku wchodzi mi w słowo: „Ach, to proszę po prostu przyjść na mszę, kiedy będę miał kazanie". Mówię, że byłem już wiele razy. Uśmiecha się tajemniczo i mówi: „Bardzo dobrze, proszę przychodzić dalej". Ksiądz Jerzy Popiełuszko nie lubił rozgłosu, w prasie zachodniej również. Wystarczała mu zła sława w mediach reżimowych. Był koniec lata 1984 roku, niedawno skończył trzydzieści siedem lat. Na zawsze zapamiętam jego płomienne, kontrastujące z bladą karnacją spojrzenie, i tę powściągliwość, za którą kryła się ogromna siła ducha.

Swoim życiorysem pod licznymi względami nie odbiegał od wielu innych polskich księży. Urodził się w małej wsi nieopodal granicy z ZSRR. Wzrastał w atmosferze prostej, ludowej religijności. W wieku osiemnastu lat rozpoczął naukę w seminarium duchownym, ale po kilku miesiącach dostał wezwanie do wojska. Na służbie zasłynął nieugiętą walką o prawo do odmawiania różańca, którego dowództwo zabraniało. Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk kardynała Wyszyńskiego. Był chorowity i dużo czasu spędzał w szpitalu. Kiedyś przypadkiem musiał zastąpić duszpasterza ludzi pracy w Hucie Warszawa – potężnym zakładzie przemysłowym. Działo się to w okresie legalnej Solidarności. Prowadził wykłady z doktryny społecznej Kościoła, wspierał duchowo robotników w ich

napiętych relacjach z przełożonymi. Stał się przyjacielem i powiernikiem ludzi pracy.

Przełom nastąpił podczas stanu wojennego. W kościele pod wezwaniem św. Stanisława Kostki na Żoliborzu Popiełuszko co miesiąc odprawiał Mszę za Ojczyznę. Jej tradycja sięgała XIX wieku, kiedy wspierana przez Kościół katolicki Polska pod rządami zaborców broniła swojej tożsamości. W 1980 roku proboszcz parafii Teofil Bogucki tradycję tę przywrócił. Ów starszy już kapłan bardzo polubił młodego księdza Jerzego i podziwiał jego zaangażowanie w duszpasterską posługę w środowiskach robotniczych. To jemu w lutym 1982 roku powierzył odprawianie Mszy za Ojczyznę. Sytuacja rozwijała się w nieoczekiwanym kierunku. W nabożeństwach, odbywających się w każdą ostatnią niedzielę miesiąca, nie uczestniczyli tylko parafianie i pracownicy Huty Warszawa. Z każdym kolejnym nabożeństwem tłum gęstniał. Do świątyni przybywały tysiące osób. Zaczynało brakować miejsc, więc wierni ustawiali się w zakrystii i w otoczeniu świątyni, a słowa homilii rozbrzmiewały na całą dzielnicę przez ustawione na zewnątrz głośniki. My, zachodni dziennikarze, staliśmy na chórze i z góry śledziliśmy coś, co normalnie uważaliśmy za monotonny i żmudny rytuał, tymczasem tutaj byliśmy świadkami wzruszającej manifestacji wiary i narodowej dumy. Msze były nieskończenie długie (jeden z moich kolegów powiedział, że tyle czasu w kościele nie spędził przez całe swoje życie) i miały charakter uroczystych celebracji, podczas których modlono się za więźniów politycznych, recytowano wiersze wybitnych polskich poetów, śpiewano pieśni patriotyczne z palcami uniesionymi w kształcie litery „V”. Ksiądz Jerzy wypominał zakłamanie i opresyjność rządzących, ale nie był typem politycznego agitatora. „Na tym polega w zasadzie nasza niewola, że poddajemy się panowaniu kłamstwa, że go nie demaskujemy i nie protestujemy przeciw niemu na co dzień. (...) Odważne świadczenie prawdy jest drogą prowadzącą bezpośrednio do wolności. Człowiek, który daje świadectwo prawdzie, jest człowiekiem wolnym nawet w warunkach zewnętrznego zniewolenia, nawet w obozie czy więzieniu” głosił i jednocześnie wzywał do uwolnienia się od lęku. Nie bał się mówić o Solidarności. Zwracał uwagę, że została jej „zadana rana, która przecież ciągle jeszcze krwawi. Nie jest to rana śmiertelna, bo nie można zadać rany śmiertelnej czemuś, co jest nieśmiertelne. Nie można uśmiercić nadziei”. Przestrzegał przed przemocą i nienawiścią, bo „nie może istnieć miłość bez

sprawiedliwości”. Jego mottem było zdanie zaczerpnięte z listu św. Pawła Apostoła do Rzymian: „zło dobrem zwyciężaj”. Poza niezwykłą odwagą miał również prowokacyjne poczucie humoru. Na zakończenie Mszy za Ojczyznę prosił wiernych o modlitwę za tych, którzy przyszli do kościoła „z obowiązku służbowego”, czym wywołał konsternację wśród esbeków, czujących się na mszy pewnie jak głuchoniemi na koncercie rockowym. Z Jerzego Popiełuszki nie spuszczali wzroku i rejestrowali każde jego słowo.

Młody ksiądz o niepozornym wyglądzie i naznaczonej chorobą fizjonomii był już legendą, zapraszano go z kazaniami do różnych zakątków kraju. Przez wielu był uważany za „kapelana Solidarności”. Reżim widział w nim raczej „fanatyka, Savonarolę antykomunizmu, typowy przykład wojującego klerykalizmu”. To słowa Jerzego Urbana, rzecznika prasowego rządu, mistrza szyderstwa o wyjątkowo ciętym języku. Priorytetem władz stało się unieszkodliwienie duchownego. Zaczęto od prowokacji. Zbiorowe modlitwy próbowano przekształcić w manifestacje polityczne, jednak po mszach wierni spokojnie rozchodzili się do domów. Ksiądz Jerzy zaczął otrzymywać listy z pogróżkami. Kiedyś w nocy okna jego mieszkania obrzucono kamieniami. Parafianie postanowili go chronić. Patrolowali plebanię i towarzyszyli księdzu podczas przemieszczania się po mieście. W grudniu 1983 roku Jerzego Popiełuszkę wezwano na milicję. Został aresztowany, bo podczas przesłuchania przeszukano plebanię i rzekomo znaleziono duże ilości nielegalnych wydawnictw, broń oraz materiały wybuchowe. Nikt w to matactwo nie wierzył. Następnego dnia, dzięki interwencji episkopatu, ksiądz został wypuszczony na wolność.

W konsekwencji ksiądz Jerzy musiał iść na dywanik do swoich kościelnych zwierzchników. Kardynał Glemp upomniał go, że naraża na szwank i tak już napięte relacje między państwem a Kościołem. W grudniu 1983 roku w swoich zapiskach ks. Jerzy zanotował: „Stanąłem twarzą w twarz z prymasem w warszawskim seminarium. Przeze mnie kardynał musiał napisać list do generała Jaruzelskiego, co pewnie sporo go kosztowało, ale jego oskarżenia i tak bardzo mnie zabolały”. Prymas miał zamiar wysłać księdza Jerzego poza Polskę, ale ostatecznie się nie odważył, ponieważ Popiełuszko cieszył się poparciem Jana Pawła II. Latem 1984 roku zaproponował mu stypendium w Rzymie. „Jeśli to polecenie,

wykonam je”. Bezsilny już kardynał odpowiedział: „Nie, to nie jest polecenie”[46].

Księdzu Jerzemu coraz częściej grożono śmiercią. Totalitarne władze atakowały go za niedopuszczalne – ich zdaniem – zachowanie. Ksiądz często powtarzał przyjaciołom: „Ja nie pożyję długo”. Jego lęk był wyczuwalny. Złe przeczucia potwierdziły się wieczorem 19 października 1984 roku. Samochód, którym wracał z Bydgoszczy, został zatrzymany przez fikcyjny patrol drogówki. W rzeczywistości było to trzech agentów służb specjalnych, którzy od kilku miesięcy opracowywali plan uprowadzenia młodego księdza. Schwytali go, zakatowali na śmierć, a zwłoki wyrzucili do lodowatych wód Wisły. Wiadomość o porwaniu przekazał kierowca Popiełuszki, były spadochroniarz, któremu udało się zbiec z auta porywaczy i ukryć w lesie. Jeszcze przez tydzień wierzono, że kapelana Solidarności uda się znaleźć żywego, aż w końcu 27 października kapitan Grzegorz Piotrowski przyznał się, że zabił go własnymi rękami. Ciało księdza odnaleziono w Zalewie Włocławskim, sztucznym jeziorze znajdującym się około stu kilometrów na północ od Warszawy. Była to przerażająca zbrodnia, popełniona z wyjątkowym okrucieństwem. Zabójcy bestialsko zaatakowali łagodnego i kruchego człowieka. Po młodym kapłanie został worek ze szczątkami, obrzmiałe ciało, sczerniała twarz, zniekształcone wargi, czaszka roztrzaskana pałką aż do naderwania skóry. Na szyi widniał siny ślad, bo oprawcy w milicyjnych mundurach, zanim wrzucili ciało do rzeki, przywiązali do niego worek z kamieniami. Najbardziej szokującą oznaką okrucieństwa były pokaleczone dłonie człowieka, który próbował zakryć twarz w ostatnim rozpaczliwym odruchu obronnym. Ich widok zapamiętają członkowie rodziny i najbliżsi przyjaciele, którzy przygotowywali ciało księdza do złożenia w trumnie.

Zakazane w Polsce zdjęcia, dokumentujące ten barbarzyński mord, znalazły się w mediolańskiej siedzibie redakcji „Il Sabato”. Zastanawialiśmy się, czy je opublikować, bo były naprawdę wstrząsające. Po długiej dyskusji zdecydowaliśmy, że to zrobimy. Uznaliśmy, że opinia publiczna ma prawo wiedzieć, jakim katuszom był poddany Jerzy Popiełuszko, zanim został zamordowany. Tekst opatrzyliśmy komentarzem: „To była męczeńska śmierć i zdjęcia są tego dowodem. Pokazujemy je wam w takiej postaci, w jakiej do nas trafiły, bo uważamy je niemal za relikwie”. Musiało minąć przeszło dwadzieścia pięć lat, aby męczeństwo księdza Jerzego zostało oficjalnie uznane przez Kościół. Beatyfikowano go

w czerwcu 2010 roku. Dla Polaków było to oczywiste od samego początku, a my, dziennikarze „Il Sabato”, byliśmy co do tego zgodni. Rodacy księdza przeżyli ogromny wstrząs, ale ból przeżywali niezwykle powściągliwie. Nikt się nie zbuntował, nie odbyły się żadne protesty. Grób kapłana przy kościele pw. św. Stanisława Kostki stał się celem nieustannych pielgrzymek wiernych, którzy modlą się, składają kwiaty i zapalają znicze, nie tracąc wiary, że nadzieja jest silniejsza niż śmierć.

Następstwem tej tragedii był proces czterech oskarżonych: dwóch poruczników, Leszka Pękali i Waldemara Chmielewskiego, aroganckiego kapitana Grzegorza Piotrowskiego oraz pułkownika Adama Pietruszki. Po raz pierwszy od czasów czystek stalinowskich państwo bloku sowieckiego postawiło przed sąd swoich funkcjonariuszy. Ten bezprecedensowy proces śledziło wielu zachodnich obserwatorów. Dla większości Polaków był on tylko poniżającą farsą. Odbył się w dniach od 27 grudnia 1984 do 7 lutego 1985 roku, w szarym gmachu toruńskiego sądu i zdarł zasłonę z mrocznego świata wywiadu komunistycznej Polski. Światło dzienne ujrzały makabryczne szczegóły zbrodni, drobiazgowo zaplanowanej i popełnionej przez bandę zwyrodnialców. Opinia publiczna dowiedziała się, że są ludzie, którzy w imię marksistowskiego „humanizmu” zastanawiają się czy lepiej będzie wyrzucić księdza z pędzącego pociągu, czy go raczej porwać, i czują się przy tym tak bezkarni, że po śmiertelnym pobiciu ofiary nie próbują nawet zatrzeć ewidentnych śladów swojego czynu. A zabójczy popęd skierowali przeciwko bezbronnemu kapłanowi, który nie przeklinał swoich oprawców, tylko pytał: „Dlaczego mi to robicie? Miejcie litość!”. Retransmisje rozprawy, przypominającej horror w odcinkach, oglądali w telewizji wszyscy Polacy, codziennie o dziesiątej wieczorem. Wstrząsnęło nimi bestialstwo i cynizm głównego oskarżonego, Grzegorza Piotrowskiego, który nawet nie próbował się usprawiedliwiać, więcej, zdawał się być dumny, że wyeliminował „niebezpiecznego ekstremistę”. Jednak najbardziej oburzające było odwrócenie porządku tego procesu, który miał rozwikłać zagadkę morderstwa, a okazał się aktem oskarżenia wobec ofiary i próbą oszkalowania Kościoła. Trudno w to uwierzyć, ale obrońca w mowie końcowej stwierdził, że u podstaw działania oskarżonych leżały „poważne powody”: położenie kresu nielegalnej działalności księdza wichrzyciela. Innymi słowy, to Jerzy Popiełuszko zasługiwał na karę, a agentom bezpieki można było zarzucić jedynie to, że się zagalopowali i przekroczyli granice prawa. Ten punkt widzenia potwierdził Adam

Łopatka, kierownik Urzędu do Spraw Wyznań. Wywiad, którego mi udzielił, odbił się w mediach szerokim echem. Kiedy zapytałem go o Jerzego Popiełuszkę, powiedział: „Popełniliśmy błąd, nie zamykając księdza w więzieniu. Łudziliśmy się, że Kościół podejmie wobec niego kroki dyscyplinarne, a nie zrobił nic".

Proces zakończył się łagodnymi wyrokami dla Pękali i Chmielewskiego (15 i 14 lat pozbawienia wolności), trochę cięższym dla głównego wykonawcy, Grzegorza Piotrowskiego, oraz dla podżegającego ich do zabójstwa pułkownika Adama Pietruszki (po 25 lat więzienia). Obaj wyszli na wolność przed czasem, otrzymując znaczące złagodzenie wyroku. Prawdziwi inspiratorzy zamachu pozostali w ukryciu, mimo że w toku procesu oskarżeni wspominali o rozkazach z góry. Tak czy inaczej, trudno uwierzyć, że wysocy urzędnicy SB nie wiedzieli o zamierzeniach Pietruszki i jego wspólników. Podejrzenia padły na generała Zenona Płatka, dyrektora niesławnego IV Departamentu MSW zajmującego się inwigilacją środowisk klerykalnych. Razem z szefem SB, generałem Władysławem Ciastoniem, na początku lat dziewięćdziesiątych zostali oficjalnie oskarżeni za zabójstwo Popiełuszki, ale po procesie obydwu uniewinniono.

Zabójstwo księdza nie było burzą na bezchmurnym niebie. W stosunkach państwo–Kościół napięcie rosło już od pewnego czasu. Po wprowadzeniu stanu wojennego i delegalizacji Solidarności front zdawał się przesuwać z wolnych związków na środowiska klerykalne. W przeciwieństwie do antyreligijnych walk z lat pięćdziesiątych, strategia komunistycznych władz nie była obliczona na relegowanie biskupów czy zakazanie im działalności, lecz uderzenie w niższy szczebel – w parafie.

W Polsce Kościół był zawsze żywotny i cieszył się dużą popularnością. Potrafił oprzeć się najpierw faszyzmowi, potem komunizmowi, wspierając narodowe poczucie godności i suwerenności. Z prześladowań wyszedł umocniony, unikając zepchnięcia na margines, które dotknęło sfery klerykalne w innych krajach obozu. Możemy użyć tu pojęcia „polska wyjątkowość" – na arenie międzynarodowej zaistniała ona z całą mocą wraz z początkiem pontyfikatu Jana Pawła II. Polski katolicyzm czerpał siłę z zaangażowania w sprawy narodowe i robotnicze, co na tle dziejów Europy było zjawiskiem raczej odosobnionym. Przez dwa ostatnie stulecia, silnie nacechowane doktrynami liberalizmu i socjalizmu, Kościół przyjmował postawę zachowawczą. W Polsce, mimo że owa zachowawczość także się pojawiała, katolikom udało się wyrwać z rąk

komunistów sztandar wolności i sprawiedliwości społecznej, a potem powiewać nim wraz z rozczarowanymi marksizmem świeckimi intelektualistami. Zrozumiałem to, jak tylko przyjechałem do Warszawy. Mówiono o nich „niewierzący praktykujący", a byli to ludzie, którzy mimo że deklarowali się jako ateiści, to chodzili do kościoła, by w kraju przesiąkniętym fałszem móc doświadczyć autentyczności. Czuli się komfortowo pośród wiernych, którzy w skupieniu i z płomiennym wzrokiem wypełniali nawy gotyckiej katedry. Na przekór dominującemu na Zachodzie wizerunkowi polskiego skostniałego Kościoła sprzed II Soboru, miałem szczęście pojąć jego wielkość i niezwykłą umiejętność łączenia tradycji z otwartością na dialog, korzeni ludowych z debatą kulturalną. Wystarczyło pojechać do Częstochowy. Więź łącząca Polaków z sanktuarium na Jasnej Górze, gdzie kultem religijnym otacza się obraz Czarnej Madonny, nie ma odpowiedników w żadnym innym kraju katolickim. Przed łagodnym, znaczonym rysami wizerunkiem zawsze gromadzi się tłum wiernych. W większości są to ludzie prości i ubodzy, ale nie brakuje też młodzieży, studentów i intelektualistów. Rokrocznie, w sierpniu, dziesiątki tysięcy Polaków przybywają tu z pieszą pielgrzymką ze wszystkich zakątków kraju. Przyłącza się do nich wielu młodych ludzi z zagranicy, zwłaszcza z Włoch, którzy licznie uczestniczą w rytuale duchowej ucieczki do ziemi, przez polskiego wieszcza, Adama Mickiewicza, nazwanej „Chrystusem narodów".

Po 1980 roku Kościół w Polsce zyskiwał na znaczeniu i w duchu ideałów Solidarności stopniowo osiągał coraz więcej swobody. Komunistyczne władze nabrały wobec niego respektu. Katolicki głos otrzymał więcej czasu antenowego w radiu i telewizji (prawo to wywalczyli strajkujący stoczniowcy), wydawał nowe tytuły prasowe, organizował seminaria, zakładał stowarzyszenia, uzyskał zgodę na budowę wielu nowych kościołów. Chodziło jednak o coś więcej niż tylko stronę organizacyjną. Odsetek praktykujących Polaków, który na tle Europy zawsze był najwyższy, we wczes- nych latach osiemdziesiątych wzrósł do około 70%, szczególnie w okręgach robotniczych. Parafie tworzyły ogniska solidarności, które rozwijały się i umacniały, kiedy „Solidarność" pisana wielką literą była słowem zakazanym. Zaraz po 13 grudnia 1981 roku Kościół rozłożył parasol ochronny nad społeczeństwem drastycznie pozbawionym przedstawicieli związkowych. Redakcje prasy katolickiej zatrudniały dziennikarzy i pisarzy, którzy tracili pracę, odmówiwszy

podpisania „lojalki” wobec militarnego socjalizmu Jaruzelskiego. Kościoły stały się ośrodkami aktywności kulturalnej niezależnych artystów. Urządzano wieczorki poetyckie, wystawiano przedstawienia teatralne i organizowano wystawy, które utrzymywały żywą patriotyczną świadomość i pamięć o Solidarności. Niektóre parafie wspierały finansowo i organizacyjnie związkowe podziemie. Owa żywotność i różnorodność kłuła w oczy władze, duchowni byli ciągle na cenzurowanym. W Polsce było ich ponad 20 000 i liczba ta rosła z roku na rok. W 1979 roku odnotowano 500 nowo wyświęconych księży, w 1987 – już ponad 1000. Seminaria duchowne przeżywały oblężenie: 5800 kleryków w 1979, w 1987 – blisko 10 000. W latach osiemdziesiątych – właśnie wtedy, kiedy Kościół na świecie bił na alarm, że „fabryki księży” mają deficyt produkcji – w ojczyźnie Jana Pawła II szalała prawdziwa epidemia powołań. Średni wiek polskich kapłanów wynosił trzydzieści osiem lat. Byli to ludzie urodzeni i wychowani w socjalizmie, pochodzili przeważnie z regionów miejskich. Przyświecała im myśl, że w kraju opanowanym przez szkodliwą i nieuchronnie zgubną ideologię, będą niezbędni w codziennym życiu, z dala od kontroli państwa. I się nie bali. „W latach osiemdziesiątych kler był przerażony obcym mu ateistycznym reżimem. Dziś księża o komunizmie wiedzą wszystko, odbyli służbę wojskową, potajemnie się modląc i będąc za to karani. Nie ma w nich lęku, kiedy funkcjonariusz rządowy wzywa ich i zastrasza, idą z podniesioną głową”, tłumaczył mi ksiądz Józef Tischner. Prawdą jest też, że nie wszyscy potrafili postawić się reżimowym szantażom. Mowa jednak o mniejszości, która nie podaje w wątpliwość wielkiej odwagi całego środowiska polskiego duchowieństwa[47].

Księża na ogół nie dbali o to, co myślała partia. Żyli z ludźmi i dla ludzi. „W Polsce proboszcz jest jak lekarz, który dokładnie wie, co dolega jego pacjentom. Nasza codzienność jest bardzo trudna i bez wiary byłaby nie do zniesienia”. To słowa księdza Jana Sikorskiego, który przyjaźnił się z Jerzym Popiełuszką i idąc za jego przykładem, odprawiał Msze za Ojczyznę. Był wieloletnim proboszczem parafii św. Józefa Oblubieńca na warszawskim Kole[48]. Z dumą pokazuje mi nowy, czerwony budynek, który postawiono dzięki ofiarności wiernych, z zamiarem utworzenia w nim sal katechetycznych. Zna osobiście wszystkie siedem tysięcy zamieszkujących dzielnicę rodzin i regularnie je odwiedza. Dużo czasu spędza

w konfesjonale. „Polacy dużo grzeszą, ale często chodzą do spowiedzi”. Nie przystaje do stereotypu surowego moralisty.

Duchowni troszczyli się nie tylko o dusze swoich wiernych, nieśli im również pomoc materialną. Niemal przy każdym kościele była apteka z półkami wypełnionymi lekami z Niemiec i nieosiągalnymi w kraju. To w parafiach odbywała się zbiórka i sortowanie darów, które od 1982 roku napływały w paczkach z Zachodu. Nie mogło zabraknąć pomocy dla Solidarności. Na robotniczej Zaspie, gdzie mieszkał Lech Wałęsa, ksiądz Tadeusz Chajewski, człowiek o młodzieńczej twarzy, udostępniał miejsce na zebrania nielegalnych związków. W Podkowie Leśnej pod Warszawą ksiądz Leon Kantorski zaprosił do parafii bohaterkę strajku w Stoczni Gdańskiej, Annę Walentynowicz, witając ją słowami: „Jeśli Bóg jest z nami, któż przeciwko nam?”. Kantorski był członkiem Ruchu Światło-Życie, organizacji kościelnej założonej w latach pięćdziesiątych przez księdza Franciszka Blachnickiego, byłego oficera Wojska Polskiego, który po święceniach kapłańskich zaczął organizować oazy, czyli letnie wyjazdy religijne dla młodzieży. Ten przejaw życia wspólnotowego komunistycznej władzy był nie w smak, ale grono jego członków regularnie się powiększało. W ruch oazowy bardzo się angażował Karol Wojtyła, kiedy był jeszcze krakowskim kardynałem[49]. Inni księża, jak choćby dominikanin Jan Kłoczowski z Krakowa, organizowali spotkania z intelektualistami z kręgu Solidarności albo z całym przekonaniem opowiadali się po stronie robotników: ksiądz Mieczysław Nowak z parafii św. Józefa Robotnika w Ursusie, gdzie znajdowała się wielka fabryka traktorów, czy ksiądz Kazimierz Jancarz z Nowej Huty, który z szatą liturgiczną, owiniętą dla niepoznaki wokół pasa, po kryjomu przemykał się przez bramy zakładów hutniczych, by odprawiać msze święte dla strajkujących robotników. W Gdańsku intensywnie działał ksiądz Henryk Jankowski, który bronił stoczniowców „Lenina” zagrożonych wyrzuceniem z pracy. Jeździł mercedesem i wkradał się w łaski żelaznej damy kapitalizmu brytyjskiego, Margaret Thatcher, która zaszczyciła swą obecnością obiad na plebanii kościoła św. Brygidy.

Wszystkie te nazwiska znalazły się na liście sześćdziesięciu dziewięciu „księży ekstremistów” przedłożonej prymasowi Glempowi przez szefa Urzędu do Spraw Wyznań Adama Łopatkę w listopadzie 1983 roku. Ci duchowni budzili niepokój reżimu, bo ciąg- nęli za sobą tłumy, czego dobitnym przykładem był ksiądz Jerzy Popiełuszko (pierwszy na

liście). Oszczerstwa, zastraszanie i agresja wobec „ekstremistów” z kleru nasiliły się w 1984 roku, a ich kulminacją była zbrodnia popełniona na młodym kapelanie Solidarności. W tym czasie doszło do tak zwanej wojny krzyżowej. Komunistyczny aparatczyk z prowincji nakazał usunąć ze szkolnych klas symbole religijne, powołując się na starą ustawę z 1961 roku. Miało to miejsce w Miętnem, siedemdziesiąt kilometrów od Warszawy. Sześciuset uczniów okupowało budynek szkoły, protestując z wielkimi krzyżami na piersiach.

Konflikt rozprzestrzenił się po całym kraju. Mieszkańcy Warszawy na środku placu Zwycięstwa ułożyli wielki krzyż z kwiatów. Robili to za każdym razem, kiedy niszczyła go milicja. Dla narodu stał się symbolem wiary i antykomunistycznego ruchu oporu. Do protestów studenckich, w obronie „prawa do symboli religijnych w miejscach publicznych w narodzie, w którym wyznawcy chrześcijaństwa stanowią przytłaczającą większość”, przyłączyli się biskupi, księża i rodzice uczniów (takie rzeczy zdarzały się tylko w tej niewiarygodnej Polsce lat osiemdziesiątych). Ostatecznie rząd był zmuszony zrejterować, ale odegrał się, wprowadzając wychowanie ateistyczne w szkołach. Kontrowersje nasilały się do tego stopnia, że w końcu na łamach tygodnika „Polityka” oskarżono Jana Pawła II o skrajnie antykomunistyczne resentymenty oraz o podburzanie Polaków[50]. Przetrzymywano niektóre numery polskiego wydania „L’Osservatore Romano”, zaostrzono cenzurę prasy katolickiej. Na pierwszy ogień poszedł szanowany krakowski „Tygodnik Powszechny”, tytuł bliski polskiemu papieżowi, który przed laty współpracował z redakcją.

Komuniści chętnie uciekali się do podwójnej gry. Jednocześnie i straszyli, i brali pod włos, deklarując gotowość do dialogu. Reżim zyskał sojuszników wśród członków stowarzyszenia PAX, którego najwybitniejszym członkiem był pisarz katolicki Jan Dobraczyński. W grudniu 1982 roku objął fotel przewodniczącego Tymczasowej Rady Krajowej PRON, Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Tworzyli go cywile jako podparcie dla polityki partii, zwłaszcza wprowadzenia stanu wojennego. Niektórzy z nich zasiadali w Sejmie. Przed wyborami w 1985 roku Jaruzelski wyraził wolę, by do parlamentu kandydowali również świeccy uczeni należący do Prymasowskiej Rady Społecznej, jednak spotkał się z oschłą odmową. W stosunkach państwo–Kościół dominowały nieufność i podejrzliwość, choć na najwyższym szczeblu kontakty nigdy

nie zostały zerwane. Spotkania Jaruzelskiego z prymasem Glempem stały się rutynowe, ale odbywały się tylko na poziomie instytucjonalnym (w ciągu całego dziesięciolecia w cztery oczy rozmawiali dziewiętnaście razy). Powołany na arcybiskupa warszawskiego i prymasa Polski w lipcu 1981 roku, Glemp został następcą kardynała Stefana Wyszyńskiego, którego był wieloletnim sekretarzem. To dziedzictwo ciążyło na tym pięćdziesięciojednoletnim znawcy prawa kanonicznego i cywilnego, którego duszpasterskie doświadczenie nie było duże. Glemp zdawał sobie sprawę, że brak mu charyzmy jego poprzednika. „Prymas Tysiąclecia" w mrocznym okresie stalinizmu został zamknięty w więzieniu, stając się symbolem Polski, która się nie poddaje. Doświadczenie to tylko go umocniło. Na nowym rządzie, kierowanym przez Gomułkę, wymusił dla Kościoła sprzyjające warunki, nie poświęcając żadnego z praw człowieka i narodu. W linię tę wpisał się również jego następca. Pokorny i obdarzony autoironią, nazywał siebie „małym prymasem", czyniąc aluzję do swego niskiego wzrostu. Problemy były jednak bardzo poważne, a po wyeliminowaniu Solidarności sytuacja dodatkowo się zaogniła. Nowy arcybiskup warszawski stanął w obliczu ciężkiej próby stanu wojennego. Wieczorem 13 grudnia 1981 roku Glemp wygłosił orędzie do narodu, wzywając do powstrzymania się przed gwałtownymi reakcjami. Jego intencją było uniknięcie rozlewu krwi, jednak wielu odbiorców jego wystąpienie potraktowało jako ugięcie się wobec dyktatury. Homilie prymasa mogły być opacznie odebrane, ale na jego korzyść przemawiały fakty. Z inicjatywy prymasa powstał Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom. Jednak w odróżnieniu od Jana Pawła II, Glemp był zdania, że rozdział Solidarności jest definitywnie zamknięty i przyszedł czas na znalezienie nowych form dialogu z komunistami. W prywatnej rozmowie wyjawił mi kiedyś: „Solidarność jest dziś kwestią wielce złożoną, nie wiemy, czym jest naprawdę. My, jako Kościół, musimy dokładać starań, by dialog między władzą i narodem mógł przebiegać bez zakłóceń"[51]. Obierając taki kurs, prymas zaliczył kilka potknięć. Na zakończenie papieskiej pielgrzymki w 1983 roku, w przemówieniu pożegnalnym na lotnisku w Balicach, serdecznie podziękował wszystkim, którzy wnieśli wkład w organizację wizyty, „również Milicji Obywatelskiej", tej samej milicji, która wymachiwała pałkami, tłukła opozycjonistów i zamykała ich w celi. Zaniepokojony katastrofalną sytuacją gospodarczą, prymas wyszedł z inicjatywą

utworzenia Fundacji Rolniczej Episkopatu Polski (większość polskich gospodarstw była gospodarstwami rodzinnymi). Był to rodzaj planu Marshalla na rzecz polskich rolników, którego realizację miały finansować zachodnie episkopaty i rządy. Prymas Glemp odbył długie negocjacje z ustrojowymi władzami, ale ostatecznie nie uzyskał ich przyzwolenia.

Należy podkreślić, że pomimo uporczywych manipulacji władz i wewnętrznych rozbieżności Kościołowi ciągle się udawało zachować jedność. Polska to nie Ameryka Łacińska czy Niemcy. Tu nie ma miejsca na „Kościół niezgody", skonfliktowany z najwyższym szczeblem kościelnej hierarchii. Skądinąd, wewnątrz episkopatu nie wszyscy podzielali politykę Glempa. Metropolita wrocławski Henryk Gulbinowicz (bardzo szanowany przez Jana Pawła II, który w 1985 roku mianował go kardynałem) bronił Solidarności. Powiedział mi kiedyś, że „w sercach Polaków słowo to trwa mocniej niż wtedy, kiedy swobodnie powiewało na transparentach". Sekretarz episkopatu arcybiskup Bronisław Dąbrowski, sprawny negocjator swobodnie poruszający się po rządowych gabinetach, wobec władzy z czasem przyjmował coraz bardziej krytyczne stanowisko. Widywałem go często, uważając za jednego z moich najcenniejszych i najbardziej rzetelnych informatorów. Był osobą niezwykle łagodną i dyskretną. Szczyciłem się jego przyjaźnią. Reasumując, kardynał Glemp (zmarł w styczniu 2013 roku w wieku osiemdziesięciu trzech lat) był pasterzem Kościoła głęboko pragnącym uratować to, co jeszcze można było uratować przed ustrojem jawiącym mu się jako niepokonany. Różnił się tym od Jana Pawła II, który w obronie wolności polskiego Kościoła i narodu nie cofnął się przed bezpośrednim wyzwaniem dla systemu, przeczuwał bowiem, że kiedyś dojdzie do jego rozkładu. Ostatecznie sam prymas, z wielką intelektualną uczciwością, przyznał papieżowi rację. „Nie byliśmy świadomi, że komunizm był kolosem na glinianych nogach – powiedział mi Glemp w 2006 roku, podsumowując dwadzieścia pięć lat spędzonych za sterami polskiego Kościoła – Jan Paweł II wiedział o tym na długo przed 1989 rokiem" [52].

46 Prymas Glemp później wyraził swój żal, że nie był w stanie uchronić Jerzego Popiełuszki. Powtórzył te słowa w 2009 roku, kiedy na ekrany wszedł film Rafała Wieczyńskiego *Popiełuszko. Wolność jest w nas*. Ciekawostką jest, że kardynał zgodził się zagrać samego siebie, chcąc jak gdyby złożyć pośmiertny hołd księdzu, z którym się poróżnił.

47 Skandal wokół szpiegowskiej działalności księży wybuchł w Polsce w styczniu 2007 roku. Nowo mianowany arcybiskup warszawski Stanisław Wielgus złożył dymisję, wyznawszy, że w młodości podpisał zobowiązanie do współpracy z SB. Według szacunków Instytutu Pamięci Narodowej, przechowującego archiwa minionego ustroju, około 15% kleru utrzymywało rozmaite kontakty z agentami bezpieki.

48 Ks. Jan Sikorski był proboszczem parafii św. Józefa Oblubieńca na Kole w latach 1986–2006 (przyp. tłum.).

49 Oddając Ruch Światło-Życie wstawiennictwu Matki Bożej w czerwcu 1973 roku, ksiądz Blachnicki miał u boku kardynała Wojtyłę i ojca Luigiego Giussaniego, założyciela Ruchu Komunia i Wyzwolenie (Comunione e Liberazione), ściśle powiązanego z polskimi oazami.

50 J. Jarzeniec, *Komu nadzieja, komu współpraca. Po ostatnich dokumentach Stolicy Apostolskiej*, „Polityka”, 30 marca 1985 (przyp. tłum.).

51 Rozmowa autora z prymasem Glempem miała miejsce 30 listopada 1984 roku w Papieskim Kolegium Polskim w Rzymie.

52 Wywiad opublikowany w „Avvenire” 24 maja 2006.

Rozdział VI
Czechosłowacja 1986. Święty, który namieszał

Słyszałem podobne historie od znajomych z Europy Wschodniej. Teraz miała stać się i moim udziałem. Zostawiła mnie z uczuciem niesmaku i muszę przyznać, że najadłem się strachu… Jest 5 lipca 1985 roku. Praga, Hotel InterContinental. O trzeciej w nocy słyszę głuchy łomot do drzwi mojego pokoju i stanowcze „Police, open the door". Wyrwany z głębokiego snu, podskakuję na łóżku. W pośpiechu się ubieram. Zniszczenie danych kontaktowych, które mogłyby wpędzić w tarapaty moich czechosłowackich informatorów, trwa całą wieczność. Wykonuję błyskawiczny telefon do włoskiego konsula w Pradze, Francesca Barbara. Zza drzwi dobiegają coraz ostrzejsze głosy. Grożą wyważeniem drzwi. Dyrektor hotelu szorstko uprzedza, że jeśli do tego dojdzie, obciążą mnie kosztami naprawy. Nie mam wyjścia, muszę otworzyć. Czterech osiłków z impetem wpada do pokoju. Odsuwają mnie pod ścianę i zaczynają drobiazgowe przeszukanie. Na środku pokoju usypują piramidę z moich rzeczy, grzebią w garderobie, przeczesują każdy kąt, a nawet demontują wentylator i barek. Czuję się jak na planie filmu szpiegowskiego. Jest dla mnie jasne, że mam do czynienia z tajniakami z StB (Státní bezpečnost), bezpieki Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej. Po rewizji, bez żadnych wyjaśnień ładują mnie na tylne siedzenie cywilnego samochodu, między dwóch mundurowych, którzy sobie ze mnie pokpiwają. Jeśli chcą mnie przestraszyć, doskonale im się to udaje. Samochód z zawrotną prędkością przecina senne i opustoszałe miasto. Kiedy wjeżdżamy na nabrzeże, myślę z przerażeniem, że teraz mnie wrzucą do Wełtawy, a potem ogłoszą, że zaginąłem w niewyjaśnionych okolicznościach. Przypomina mi się ksiądz Jerzy Popiełuszko. Drżę ze strachu i zaczynam się modlić. W końcu docieramy na Bartolomějską 9. Ten adres znają wszyscy. Znajduje się tu główna siedziba StB. Czuję coś w rodzaju ulgi.

Nastaje świt. Nie wiem, co przyniesie rozpoczynający się dzień. Ciągną mnie do ascetycznego pokoju. Siedzi w nim dwóch milicjantów. Przede mną długie i wyczerpujące przesłuchanie. Pytają o prawdziwe powody mojej wizyty w Pradze: gdzie byłem, z kim się spotkałem, kto mnie tu przysłał. Potem krzyżowy ogień pytań o moją działalność w innych krajach wschodnich. Odmawiam odpowiedzi. Naciskają coraz mocniej, grożą więzieniem. Ośmielam się żądać obecności kogoś z włoskiej ambasady, ale słyszę tylko pusty śmiech (później dowiedziałem się, że konsul Barbaro, który przyszedł mi z pomocą, nie został wpuszczony, więcej, wyproszono go w mało uprzejmy sposób. I to ma być dyplomatyczna kurtuazja...). Jestem oskarżony o odbywanie spotkań i rozmów bez wymaganych zezwoleń. Bezskutecznie powołuję się na ratyfikowany przez Czechosłowację Akt Końcowy KBWE, gwarantujący swobodę kontaktów między obywatelami państw sygnatariuszy. W oczach asekurantów z bezpieki fakt, że moi rozmówcy byli dysydentami, a w każdym razie mieli odmienne poglądy, poważnie mnie obciąża. Nie był to mój pierwszy pobyt w Czechosłowacji. Poprzednio spotkałem się z opozycjonistą Jiřím Hájkiem, byłym ministrem spraw zagranicznych, który w 1968 roku sprzeciwił się „bratniej” interwencji ZSRR, wrogiem ustroju Václavem Havlem, księdzem Václavem Malým, pozbawionym pozwolenia na sprawowanie funkcji kapłańskich i pracującym jako robotnik, i wreszcie, miesiąc wcześniej, z kardynałem Františkiem Tomáškiem, praskim arcybiskupem otwarcie potępiającym władze. Służbiści z StB gorliwie sobie wszystko zanotowali, a teraz zamierzali mnie z tego rozliczyć. Ostatecznie, po czterech godzinach przyspieszonego „procesu”, dostałem nakaz opuszczenia kraju posądzony o złamanie czechosłowackiego prawa regulującego pracę dziennikarza. Byłem zmuszony wsiąść do najbliższego samolotu lecącego do Europy Zachodniej.

Aresztowanie i wyrzucenie dziennikarza w mediach wywołało trochę szumu. Podany przez agencje informacyjne komunikat trafił do wieczornego wydania wiadomości (w ten sposób informacja dotarła do mojej żony, która bez telefonu spędzała z dziećmi wakacje w toskańskiej wsi). Następnego dnia na pierwszych stronach doniosła o tym prasa, również zagraniczna.

Otrzymałem liczne dowody solidarności i jednoznacznego potępienia dla postępku władz. Minister spraw zagranicznych Giulio Andreotti

zawiadomił mnie, że Ambasada Włoch skierowała oficjalny protest do rządu w Pradze. Koledzy sprezentowali mi najnowszą płytę grupy Pooh zawierającą piosenkę, która – jak żartowali – wyglądała na dedykowaną mnie. Rzeczywiście, tekst jako żywo przypomina moją czechosłowacką przygodę. „Ta noc należy do ciebie, bo chciałeś zrozumieć, / niedbale spakowałeś bagaż i przekroczyłeś granice, / pojechałeś do nieistniejącej Europy / praska wiosna / na tarasach słowiańska muzyka, / na wschodniej granicy czołgi. / Tkwiłeś w hotelu pogrążony w rozmyślaniach / odcięli cię od telefonu i informacji, / dzień przywitałeś w mieście, / wydali nakaz / ostatni samolot wzbił się w niebo”. Krótko mówiąc, dzięki prześladowcom sterowanym ręką reżimowej dyktatury, w ciągu jednej doby stałem się bohaterem wolnej prasy. Przychodzi mi do głowy gorzka refleksja. Moja przygoda, choć na Zachodzie odbiła się echem, nie była odosobnionym przypadkiem. To państwo bloku wschodniego stosowało szokujące środki represyjne zwłaszcza wobec własnych obywateli, o tym prasa jednak pisała nader rzadko.

Odkąd w lutym 1948 roku władzę w Czechosłowacji przejęli komuniści, prześladowania cywili i duchownych przyjęły szczególnie okrutną formę, a przecież w okresie międzywojennym kraj – jako jedyny w Europie Środkowej – cieszył się autentyczną demokracją (a przy tym dobrą sytuacją gospodarczą). We wczesnych latach pięćdziesiątych reżim sięgnął po drastyczne środki, które doprowadziły do dziesiątek tysięcy aresztowań, procesów i internowania więźniów w ponad czterystu ośrodkach. Ten sam scenariusz powtórzył się w 1968 roku, kiedy czołgi Armii Czerwonej i państw satelickich stłumiły praską wiosnę, kładąc kres „socjalizmowi z ludzką twarzą”, zapoczątkowanemu przez Alexandra Dubčeka, komunistycznego przywódcę Czechosłowacji, który dążył do demokratycznej reformy ustroju. Od tamtego czasu ucisk nie osłabł. W kraju, będącym niegdyś sercem *Mitteleuropy*, zapanował całkowity immobilizm. Takie właśnie były efekty normalizacji, represyjnej polityki wprowadzonej przez Gustáva Husáka, sowieckiego namiestnika, który zajął miejsce Dubčeka.

Pod ołowianym kapturem systemu nie było miejsca na niezależne myślenie, a tym bardziej na krytykę partii. Wszyscy śmiałkowie próbujący publicznie wyrażać swoje poglądy lub choćby tylko podejrzewani o taki zamiar, tracili pracę i ich życie gwałtownie się komplikowało. Jawni buntownicy trafiali za kratki, ci bardziej powściągliwi podlegali

nieustannym naciskom. Przyjazd do Czechosłowacji przypominał wejście do świata na opak, w którym pisarze byli stróżami nocnymi, a profesorowie kelnerami, dziennikarze zamiatali ulice, a księża myli okna. Dubček został leśniczym. Mój taksówkarz przedtem pracował jako dziennikarz państwowej telewizji. Inteligencka i bardziej świadoma część społeczeństwa została zepchnięta na najniższy pułap. Klasą panującą byli teraz ignoranci i służalcy. Masowe czystki w prasie, na uczelniach, w administracji publicznej, w kręgach artystycznych i wśród ludzi różnych zawodów wywróciły piramidę społeczną i otępiły sumienia. W zamian reżim Husáka oferował pozory dobrobytu. W Pradze witryny sklepowe nie ziały pustką jak te w Warszawie, w sklepach spożywczych nie brakowało towarów, a znakomite lokalne piwo kosztowało zaledwie kilka koron. Ów dostatek był tylko mistyfikacją, mającą rekompensować ograniczenie swobód. Wśród obdarzonych finezyjnym poczuciem humoru Czechów krążyła taka anegdota: na granicy spotykają się dwa psy, jeden z Czechosłowacji, drugi z Polski. Pierwszy pyta: „Dokąd jedziesz?”. „Jadę poszukać jakiejś kości, bo u nas nie ma co jeść”, odpowiada drugi. „A ty co będziesz porabiał w Polsce?”. „Cóż, jedzenie ważna rzecz, ale wiesz, czasem chciałoby się trochę poszczekać”. Ironia i dystans były ostatnią bronią Czechów przed opresyjnym reżimem. Archetypem takiej postawy jest dobry wojak Szwejk, bohater głośnej powieści Jaroslava Haška, który dzięki swej umiejętności udawania głupka i wyprowadzania przełożonych w pole, stał się narodowym symbolem zaradności. Ten przebiegły oportunista nie miał sobie równych. Takie przymioty może nie są powodem do dumy, ale tylko one pozwalały przetrwać trudy życia i wyjść z nich obronną ręką.

Kontakt z Pragą przynosił rozczarowanie. Nad słynnymi wieżami i złocistymi dachami unosiła się chmura smogu, który nie tylko zanieczyszczał miasto, ale tworzył też przygnębiający pejzaż. Wyjątkowej urody renesansowe pałace i monumentalne barokowe kościoły były oszpecone rusztowaniami – prace konserwatorskie albo ciągnęły się w nieskończoność, albo nigdy się nie zaczęły. W powolnym podupadaniu skarbów architektury jak w zwierciadle odbijała się kondycja społeczeństwa. Praga lat osiemdziesiątych była miastem przepojonym smutkiem i melancholią. Wieczorami miasto popadało w splin. Z trudem się oddychało, bo powietrze cuchnęło sadzą i węglem. Może to posłużyć za metaforę klimatu społeczno-politycznego – Czesi rzeczywiście „połykali

smołę”, co w tytule swej powieści uwiecznił Jáchym Topol, najmłodszy pisarz dysydencki[53].

W kraju pojawiła się grupa osób, które odważyły się zareagować, bo nie godziły się już na bierną rezygnację. Filozof Jan Patočka i inni myśliciele powołali do życia niezależny ruch Karta 77 oparty na koncepcji „wstrząsu” (*otřes*). Celem jego inicjatorów nie było tworzenie organizacji o charakterze politycznym, lecz „wolne, nieformalne stowarzyszenie ludzi różnych przekonań, wyznań i zawodów”. Tak to sformułowano w deklaracji programowej ruchu zawiązanego 1 stycznia 1977 roku. Jedynymi oznakami niezadowolenia, na które komuniści do tej pory przymykali oko, były kabarety, występy satyryków i muzyka alternatywna. W pewnym momencie władze aresztowały czterech muzyków bardzo popularnej wśród młodzieży rockowej formacji The Plastic People of the Universe. Miarka się przebrała. Ustrój, który posuwał się do prześladowania muzyków, najwyraźniej tracił już poczucie rzeczywistości. Należało zareagować. Wystosowano manifest, którego autorzy oskarżyli władze o złamanie czechosłowackiej konstytucji i Aktu końcowego Konferencji helsińskiej oraz domagali się poszanowania dla fundamentalnych praw politycznych, obywatelskich i społecznych. Czeskie *mass media* ten głos zignorowały, ale na łamach najważniejszych tytułów prasy zachodniej pojawił się przedruk, który w języku czeskim odczytano na antenie Radia Wolna Europa cieszącego się w Europie Wschodniej dużą słuchalnością. Doszło do aresztowań. Jan Patočka, po wielogodzinnym przesłuchaniu w głównej siedzibie StB, zmarł na udar mózgu. Václava Havla skazano na czternaście miesięcy więzienia. Był on czołową postacią ugrupowania, które w krótkim czasie zgromadziło przeszło tysiąc członków. Smak nienawiści do stalinizmu znał od dziecka. W 1948 roku jego rodzice, należący do zamożnej mieszczańskiej rodziny praskiej, zostali całkowicie wywłaszczeni. Z powodu pochodzenia Havel nie dostał się na studia. Chodził na kursy wieczorowe, a utrzymywał się z uwłaczających zajęć. Jego pasją był teatr. Już jego młodzieńcze utwory zdradzają wyjątkową zdolność do pokazywania absurdu i groteski ludzkiej kondycji. W 1968 roku czynnie zaangażował się w praską wiosnę. Następnie, w czasach „normalizacji”, zarabiał na życie jako pracownik browaru. Wówczas pisał kolejne sztuki teatralne, które w kraju były „na indeksie”, a poza jego granicami wystawiane z dużym powodzeniem. Jak tylko skończył odsiadywać wyrok, natychmiast skazano go na cztery i pół roku pozbawienia wolności za „działalność wywrotową”. W 1983 roku

zapadł na ciężką postać zapalenia płuc i zwolniono go z powodów zdrowotnych.

Pomyślałem, że koniecznie muszę go poznać, chociaż po lekturze eseju *Siła bezsilnych*, który wywarł na mnie ogromne wrażenie, już mi się wydawał znajomy. Tekst jest przejrzystą analizą ustroju totalitarnego Europy Wschodniej, opartego na ideologizacji i zakłamaniu. Za bardzo sugestywny uważam przykład kierownika sklepu warzywnego, który na wystawie, między cebulą a marchwią, umieszcza hasło „proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!", i nie robi tego z własnego przekonania, tylko z lojalności wobec władzy. Havel zauważa, że gdyby kazać mu ustawić tabliczkę z wyznaniem „boję się władzy", pewnie by się wstydził. Odwołanie do kategorii wyższego rzędu – właśnie ideologii – stanowi alibi dla jego upokarzającego podporządkowania. Jedyną drogą do życia w prawdzie jest odnalezienie siebie i odrzucenie fałszu elit rządzących. Był to zalążek oporu wolnego od przemocy, opartego na odpowiedzialności jednostki. Esej powstał w 1978 roku, potem ukazał się również we Włoszech[54] z inicjatywy Francesca Ricciego, żarliwego kapłana z Emilii-Romanii, który sporo zaryzykował, przekraczając wiele razy żelazną kurtynę, pragnąc poznać prawdę o życiu na Wschodzie Europy i pokazać ją Zachodowi. Z przymrużeniem oka nazywał siebie „przemytnikiem książek". Egzemplarz eseju Havla, który zdobył, był zapisany na papierze welinowym i bardzo nieczytelny. To właśnie ten niezwykły duchowny uświadomił mi istnienie Czerwonej Atlantydy, lądu kryjącego wiele skarbów, a było to w czasach, gdy moi rówieśnicy wymachiwali na ulicach czerwonymi książeczkami Mao.

Václav Havel w swoim domku na wsi podczas wywiadu z autorem w czerwcu 1984 r.

Dotarcie do Václava Havla okazało się dużo trudniejsze, niż przypuszczałem. Jego telefon, podobnie jak telefon innych opozycjonistów, milczał. Nasuwała się myśl, że po prostu wyjechali z miasta. Naprawdę jednak siedzieli w swoich domach (tu słynny dramaturg był wyjątkiem), a ich telefon albo nie działał, albo go nie używali, bo był na podsłuchu. Poszukiwania człowieka, które w zachodnich realiach zajęłyby mi dziesięć minut, tutaj wymagały całodziennej wędrówki po mieście, pukania do drzwi ludzi znajomych i obcych, znanych tylko z nazwiska nabazgranego na skrawku papieru. Dowiedziałem się, że Havel przebywa w swoim domu we wsi Hrádeček na północy Czech, jakieś dwieście kilometrów od Pragi. Hrádeček jest maleńką miejscowością z kilkoma domostwami u stóp Karkonoszy. Otrzymałem szereg chaotycznych wskazówek i mapek, które miały mi pomóc w dotarciu na miejsce. Główną drogę patrolowali tajniacy, więc musiałem ją ominąć. Bezpieczniej było przejść przez las. W końcu mym oczom ukazały się dwa domy. W jednym mieszkał Havel, w drugim – milicyjni kapusie. Musiałem wybrać ten właściwy. Na szczęście słynny dysydent był w swoim ogródku, więc nie mogłem się pomylić: niski, dobrze zbudowany, jasne wąsy, wysokie czoło, a nad nim falujące włosy. Wyraz twarzy miał pełen rezerwy, ale nie było w nim nieufności. Czasem niewyraźnie się uśmiechał. Ubrany był w dżinsy i sweter. W tym stroju nie wyglądał na swoje czterdzieści osiem lat. Ukrywał się na odludziu, by oddać się rozmyślaniom i twórczości literackiej, ale żył w ciągłym strachu przed nagłym wtargnięciem służb. Wyjawił mi, że czasem wymykał się do lasu i w dziuplach chował swoje maszynopisy. Była z nim troskliwa i opiekuńcza żona Olga[55] zwracająca się do niego czule „Vašek”. Zaparzyła herbatę, po czym usiadła przy mężu, wsłuchując się uważnie w jego słowa, jak gdyby robiła to pierwszy raz w życiu. Na rozmowie spędziliśmy całe popołudnie. Często to on zadawał pytania. Był ciekaw, kto we Włoszech wydał *Siłę bezsilnych*. Żywo zareagował, kiedy mu powiedziałem, że esej jest przedmiotem wielu politycznych debat. Nie spodziewał się, że jego drobne dziełko może wywołać taki rezonans. O sobie mówił: „Jestem tylko pisarzem, nigdy nie miałem ambicji bycia ani politykiem, ani rewolucjonistą”. W swoim tekście rozpatrywał problem bezosobowej władzy, której należy przeciwstawić odpowiedzialność i godność

człowieka. Był przekonany, że „ktoś, kto poniewiera człowiekiem w imię ideologii, traci umiejętność odróżniania dobra od zła, prawdy od kłamstwa, w końcu też zdolność do współodczuwania, a wtedy nie jest już człowiekiem, tylko maszyną”. Jako przykład podał typowy dla komunistycznych dyktatur system monopartyjny. Uważał, że „władza bezosobowa nie jest obca również zachodniej kulturze. Gdyby systemy totalitarne nagle zniknęły z powierzchni ziemi, świat nie uwolniłby się od niebezpieczeństwa anonimowej władzy, ponieważ działa ona poza wszelkimi kryteriami prawdy”. Padały słowa, które miały okazać się prorocze. Dodał też, że „komunizm jest groteskowym odbiciem procesów głęboko zachodzących w nowoczesnym racjonalizmie, krzywym zwierciadłem zachodniej cywilizacji”. Na koniec dotknął tematu swojego światopoglądu jako człowieka i myśliciela. Zadeklarował się jako niewierzący. „Czuję jednak, że na świecie istnieje pewien ład i wszystko zmierza do jednego celu. W swoich działaniach dostrzegam coś, co jest potężniejsze ode mnie. Jak to nazwać? Nie wiem. Mój Bóg jest mistrzem oczekiwania. Otwiera mi nowe możliwości, a potem mnie ocenia; mój Bóg to moja wolność, moja nadzieja”. Wiele nauczył się od wierzących działaczy Karty 77 i od księży, z którymi siedział w jednej celi[56]. Kontakty te pozwoliły mu odciąć się od tradycyjnie wrogiego wobec religii czeskiego laicyzmu.

Na tle wszystkich państw bloku wschodniego Kościół w Czechosłowacji był prześladowany ze szczególnym okrucieństwem. Komunistyczne władze od początku jasno deklarowały, że ich celem jest anihilacja chrześcijańskiego ducha. W ciągu jednej nocy, z 13 na 14 kwietnia 1950 roku, rozwiązano wszystkie zgromadzenia zakonne, a ich członków internowano w zamkniętych klasztorach. Dwie trzecie spośród dwunastu tysięcy duchownych w kraju zmuszono do pracy. Ośmiu biskupów osądzono i skazano na wieloletnie więzienie, czterech z nich zmarło w celi. Zlikwidowano seminaria, zdelegalizowano organizacje świeckie, zarekwirowano cały kościelny majątek. To, co z Kościoła zostało, podlegało surowej kontroli państwa. W reakcji na te wydarzenia Watykan wyraził zgodę na tajne wyświęcanie biskupów i księży. Przyznanie się do bycia wierzącym było przewinieniem karanym marginalizacją w pracy, wydaleniem z uczelni, zakazem wyjazdu z kraju. Szykany te (gorsze były tylko w ZSRR i w Albanii) w Czechosłowacji odbywały się pod płaszczykiem nacjonalizmu. W Czechach, gdzie katolicy byli mniejszością,

komuniści perfidnie wykorzystali rozpowszechniony tam antyklerykalizm, będący konsekwencją między innymi husytyzmu. Na Słowacji, w regionie o tradycjach katolickich, każda próba odzyskania swobody wyznaniowej natychmiast kwalifikowana była jako „odprysk klerykalno-faszystowski” [57].

Po okresie miażdżącego naporu na Kościół rząd w Pradze rozpoczął podwójną grę. Okazała się równie skuteczna. W latach osiemdziesiątych, mimo że oficjalnie uznano swobody wyznaniowe, ponownie otwarto kościoły i przywrócono seminaria duchowne, to władze nadal trzymały nad Kościołem żelazną kontrolę. Wszyscy przedstawiciele środowisk duchownych byli zatrudniani przez państwo, które opłacało ich skromnymi beneficjami (wynosiły jedną trzecią tego, co zarabiał robotnik) i zastrzegało sobie prawo do kwestionowania nominacji na stanowiska w kościelnych strukturach. Do sprawowania duszpasterskiej posługi księża potrzebowali pozwolenia, którego udzielanie (albo odmawianie) odbywało się na podstawie kryteriów politycznych. Jeśli proboszcz wygłaszał kazania niezgodne z linią rządową albo aktywnie angażował się w pracę z młodzieżą, był pozbawiany funkcji. Partii komunistycznej to jednak nie wystarczało. Nowym narzędziem manipulacji miało być utworzenie ruchu, który uderzałby w jedność Kościoła od wewnątrz. W 1971 roku powstała kolaboracyjna organizacja klerykalna na rzecz pokoju na świecie, która otrzymała nazwę „Pacem in terris”. Zapożyczenie nazwy encykliki Jana XXIII było tylko kamuflażem dla bezwzględnego podporządkowania władzy.

Strategia małych kroków, tak zwana *Ostpolitik*, zainicjowana przez Stolicę Apostolską w latach siedemdziesiątych w celu wymuszenia na krajach Europy Wschodniej szeregu ustępstw na rzecz swobód wyznaniowych, w Czechosłowacji się nie powiodła. Nominowano trzech biskupów (na trzynaście diecezji), ale presji świeckich władz wobec Kościoła zahamować się nie udało, a wręcz się ona nasiliła. „*Ostpolitik* kardynała Casarolego w naszym kraju miała katastrofalne skutki”, powiedział mi Václav Malý, młody ksiądz o wielkich dłoniach. Kiedy przystąpił do Karty 77, odebrano mu państwowe pozwolenie na służbę duszpasterską. Najął się w kotłowni w hotelu na Starym Mieście. Wyraźnie zastrzegał, że nie jest księdzem-robotnikiem z rodzaju tych, którymi dobrowolnie zostawali księża we Francji w latach pięćdziesiątych. Mówił o sobie, że jest robotnikiem-księdzem, przez antychrześcijańską i nieludzką dyktaturę zmuszonym do utrzymywania się z niegodnej pracy. W podobnej

sytuacji znalazło się około 10% z trzech tysięcy czechosłowackich duchownych. Odprawiali msze w prywatnych mieszkaniach, potajemnie organizowali spotkania z wiernymi i lekcje katechezy. Służyli za bohaterski i zarazem przygnębiający wizerunek Kościoła schodzącego do katakumb, pod pozorami instytucji podporządkowanej reżimowi.

Pod krą „normalizacji” stopniowo burzyły się wody. Czechosłowacki Kościół zaczynał odczuwać wstrząsy dziejowe w Polsce. W sferze świeckiej, ruch oporu związany z Kartą 77 w Solidarności widział mobilizujący przykład. Pontyfikat papieża Polaka przyniósł nadzieję na zmiany dla wszystkich katolików Europy Wschodniej, a naród Polsce najbliższy – i to nie tylko geograficznie – był tu w czołówce. Kiedy w czerwcu 1979 roku w Gnieźnie Jan Paweł II wygłosił słynne kazanie, w którym nazwał siebie papieżem Słowianinem, zwracał się przede wszystkim do Czechów i Słowaków. Przełomowe zmiany w stosunkach państwo–Kościół pisane były również w Pradze. Wyrazem tego był dekret Kongregacji ds. Duchowieństwa *Quidam Episcopi* wydany w marcu 1982 roku, który zakazywał księżom udziału w takich organizacjach klerykalnych, które „w jawny lub ukryty sposób nastawione są na realizację celów o charakterze politycznym”. Stolica Apostolska wyjaśniła później, że dekret był jednoznacznym potępieniem prorządowego ruchu „Pacem in terris”, więc od tamtego momentu zaczął on tracić poparcie czechosłowackiego kleru. Najbardziej zaskakującą „konwersję” przeszedł kardynał František Tomášek – leciwy już hierarcha, urodzony w 1899 roku, a w 1949 roku potajemnie mianowany biskupem, przez trzy lata internowany w zamkniętym klasztorze. Wyczerpany represjami, starał się nie rzucać w oczy i unikać bezpośredniej konfrontacji z reżimem, kiedy ten już uznał jego nominację na arcybiskupa Pragi. Chciał być ostrożny i zachować rozwagę, odwodził więc kler od przystępowania do Karty. W pewnym momencie, ten przypominający trochę dobrego wojaka Szwejka, a trochę don Abbondia[58] kardynał, uskrzydlony słowami papieża Polaka, przeistoczył się w nieustraszonego przywódcę, wskazującego wiernym terytoria godności i wolności, które dotąd uważali oni za niedostępne.

Maj 1985 roku. Kardynał Tomášek bardzo chce porozmawiać. Natychmiast przyjmuje propozycję spotkania, wystarcza mu informacja, że chodzi o dziennikarza włoskiego. Wita mnie promiennym uśmiechem, który rozjaśnia jego typowe dla Słowian surowe rysy, zza których przebija

wielka siła ducha. Jan Paweł II mówił o nim „to prawdziwy dąb”. Sędziwy kardynał prowadzi mnie na taras, z pozoru jest to nic nieznaczący gest, jednak po chwili okazuje się, że kryje się za tym coś więcej – Pałac Arcybiskupi w Pradze znajduje się na Hradczanach, naprzeciwko zamku będącego siedzibą prezydenta, zajmowanego przez Gustáva Husáka, głowę państwa i przywódcę partii komunistycznej. Wszystko tu świadczy o wymuszonym sąsiedztwie państwa i Kościoła, a gospodarz terenu chce go z bliska kontrolować, bo uważa za własny. W każdym kącie tkwi gigantyczna czerwona gwiazda, wyrastająca z cyfry 40 – tyle lat minęło od wyzwolenia kraju spod hitlerowskiej okupacji, do którego przyczynili się „bracia Rosjanie”. W Czechosłowacji obchodzono wówczas kilka rocznic, jednak nie wszystkie świętowano tak uroczyście. W tym samym czasie mijało tysiąc sto lat od śmierci św. Metodego, który wraz ze św. Cyrylem jest patronem Słowian. W kręgach władzy świeckiej nastąpiło poruszenie. Dyskusja o roli ewangelizatorów wysłanych na Morawy nie była sprawą wyłącznie kościelną. Dotykała korzeni, tradycji i kultury oraz genezy obu narodów kraju. Pierwsze niepokojące wydarzenia miały miejsce 11 kwietnia w Welehradzie na Morawach, gdzie, według wierzeń, spoczywa św. Metody. Tysiące wiernych, wysłuchawszy szczególnie wymownego papieskiego przesłania („ludzie odchodzą, przychodzą nowe wydarzenia, epoki przemijają, ale nikt nie może oddzielić nas od miłości Chrystusa”), wołali: „At’ přijde Svatý Otec!”. Josef Vrána, biskup Ołomuńca, stojący na czele „Pacem in terris”, nazwał to prowokacją. A kardynał Tomášek usłyszał tylko wezwanie narodu i jeszcze tego samego dnia zaprosił Ojca Świętego na uroczystości zaplanowane na 7 lipca, kiedy przypada święto Cyryla i Metodego, w 1980 roku ogłoszonych przez Jana Pawła II patronami Europy.

Praga, maj 1985. Kardynał František Tomášek z autorem na tarasie Pałacu Arcybiskupów w sąsiedztwie Zamku Praskiego, będącego siedzibą prezydenta kraju

Społeczeństwo przygotowało petycję, pod którą zebrano trzydzieści tysięcy podpisów. Ludzie wierzący zaczynali przełamywać swój lęk. Komunistyczne władze niezwłocznie podjęły kroki zapobiegawcze. Wydały rozkazy bezpiece i kierownictwu partii, starając się nie dopuścić, by święto religijne stało się okazją do manifestacji politycznej. W istocie chodziło o przeciwdziałanie „rewitalizacji Kościoła katolickiego” (tak to sformułowano na najwyższym szczeblu). Był to więc moment olbrzymiego napięcia i w takiej atmosferze spotkałem się z kardynałem Tomáškiem. Ubolewał, że papież nie będzie mógł przybyć z pielgrzymką do Czechosłowacji, bowiem (tak, jak przypuszczałem) władze kategorycznie się temu sprzeciwiły. Ale jednocześnie wypełniała go ogromna radość, bo właśnie się dowiedział, że Jan Paweł II wkrótce ogłosi encyklikę poświęconą dziełu ewangelizacji świętych Cyryla i Metodego, *Slavorum apostoli*, która ma być hołdem wobec jedności duchowej i kulturowej całej Europy. „Mogę to napisać?”, zapytałem niepewnie. „Ależ oczywiście,

nawet pan powinien!”. Kilka dni później wywiad ujrzał światło dzienne i ta informacja obiegła świat. Pisano, że to pierwszy przypadek w historii, kiedy głowa Kościoła zapowiada encyklikę ustami kardynała na łamach prasy. Muszę przyznać, że to obwieszczenie – dla Kościoła raczej nietypowe – wprawiło mnie w pewne zakłopotanie. Ale prymas zrobił to z premedytacją, pragnąc przerwać zaklęty krąg milczenia i sprzeciwić się zakazom narzuconym przez dyktaturę wobec obchodów rocznicy. W taki sposób otworzył Czechosłowację na świat, przywracając dniu patrona jego uniwersalny wymiar, ostatecznie przypieczętowany papieską encykliką. Przy okazji wywołał spory popłoch w sferach rządowych, które musiały zrezygnować ze świeckiego i narodowego charakteru obchodów.

Stało się to dla mnie jasne dopiero wtedy, kiedy zostałem zatrzymany i wydalony z Czechosłowacji. Wywiad z kardynałem Tomáškiem w szeregach partyjnych wzbudził furię. František Jelínek, zastępca sekretarza Państwowego Sekretariatu do spraw Kościelnych przy czechosłowackim rządzie, próbował ratować sytuację. W katolickim dzienniku prokomunistycznym[59] napisał, że praski arcybiskup nie udzielił mi żadnego wywiadu. Najlepszym dementi było ogłoszenie encykliki dokładnie według zapowiedzi kardynała. Dystansując się od tych sporów, przyjechałem ponownie do Czechosłowacji na początku lipca, na obchody dnia św. Metodego. Przeholowałem. Byłem już na czarnej liście StB i teraz mogli mnie ukarać. Do Welehradu nie dojechałem. Ale za to dotarło tam dwieście tysięcy wiernych, którzy urządzili największą ludową manifestację od czasów praskiej wiosny. Oto, co napisał jeden z niewielu zagranicznych dziennikarzy, których wpuszczono na obchody:

> Do bazyliki w Welehradzie już w nocy przybyli liczni wierni, wielu z nich pieszo lub na rowerach. W niedzielę 7 lipca ciasny dziedziniec przed barokowym kościołem nie pomieścił wszystkich zgromadzonych. Przemówienie ministra kultury wygwizdano, a ilekroć wymieniał Cyryla i Metodego, tłum go poprawiał: świętych Cyryla i Metodego!, „Wolność dla Kościoła!”, „Chcemy papieża!”. Takie głosy słychać było najczęściej[60].

Wysiłki rządu, zmierzające do przekształcenia religijnego święta patrona w komunistyczną paradę pokoju, żałośnie spełzły na niczym. U boku kardynała Casarolego stał 86-letni arcybiskup Tomášek. Z trudem pokonał drewniane schody prowadzące do ustawionego na podium ołtarza: „Zrobili je wyższe niż w katedrze. Nie myślą o starszych ludziach – i o starych kardynałach”. Później jednak, kiedy patrzył z góry na tłumnie zgromadzonych wiernych, uśmiechał się ze wzruszeniem. Nie był już

„generałem bez wojska”, jak lubili go nazywać cyniczni czerwoni aparatczycy. W Welehradzie ludowa pobożność i moralny opór stały się jednością. Na ziemi, która wydawała się sucha i nieurodzajna, zostało zasiane ziarno wolności. Czechosłowacja się podnosiła.

53 Chodzi tu najpewniej o powieść *Kloktat dehet* (w swobodnym tłumaczeniu *Płukanie smołą*), która w Polsce wyszła pod tytułem *Strefa cyrkowa*, W.A.B., Warszawa 2008 (przyp. red.).

54 V. Havel, *Il potere dei senza potere*, CSEO, Bolonia 1979 (*Siła bezsilnych...*, op. cit.). We Włoszech tom ukazał się w serii *Outprints*, prezentującej książki wydawane poza granicami krajów, w których były zakazane. Założyciel CSEO, ojciec Francesco Ricci precyzował, że również „poza dominującą na Zachodzie kulturą”. W kwietniu 2013 roku esej Havla wyszedł nakładem wydawnictwa La Casa di Matriona.

55 W intensywnej korespondencji, którą Havel prowadził z żoną podczas pobytu w więzieniu, wyjawił tajniki swoich ludzkich i światopoglądowych rozterek. We Włoszech listy ukazały się w tomie *Lettere a Olga*, Editrice Santi Quaranta, Treviso 2010, w Polsce – *Listy do Olgi (czerwiec 1979 – wrzesień 1982)*, wybór i wstęp: J. Baluch, tłum. E. Szczepańska, red. M. Dąbrowska-Partyka, konsultacja: J. Tischner, posł. S. Barańczak, PWN, Warszawa 1993.

56 Jeden z nich, ojciec Dominik Duka, w 2010 roku został arcybiskupem Pragi.

57 To ciężar tragicznych losów księdza Josefa Tiso, który został przywódcą Słowacji, satelickiego państwa hitlerowskich Niemiec, po podpisaniu z Rzeszą umowy ochronnej. Skompromitowany w Kościele, w 1947 roku został osądzony i skazany na śmierć.

58 Don Abbondio – jeden z głównych bohaterów powieści *Narzeczeni Alessandra Manzoniego*, we Włoszech utworu literackiego o randze *Pana Tadeusza*. Z natury strachliwy, cofający się w obliczu trudności (przyp. tłum.).

59 „Lidová Demokracie”, 8 czerwca 1985.

60 „Neue Zürcher Zeitung”, 8 lipca 1985.

Rozdział VII
NRD 1986. Ponurzy komuniści niemieccy

„Ma pan broń, bomby, amunicję lub materiały wybuchowe?”. „Nie, nie mam”, odpowiadam stanowczo, ale niemiecki policjant w radzieckiej uszance niewzruszony ciągnie dalej: „Pistolety, strzelby, broń automatyczną?”. „Nie mam”. Spogląda jakby chciał mnie zabić wzrokiem, bo ośmieliłem się przerwać jego rytualny zestaw pytań. „Noże, broń tnącą, kije, pałki?”. „Nie mam”, syczę, tym razem już okazując irytację z powodu tego absurdalnego przesłuchania. Za każdym razem, kiedy przekraczam mur, robi mi się ciężko na sercu. Czułem to samo, kiedy w połowie lat siedemdziesiątych udałem się na swój pierwszy rekonesans w tej „drugiej” Europie. Obywatel obcego państwa, który chce dostać się do Berlina Wschodniego, musi przekroczyć Checkpoint Charlie, przejście graniczne chętnie wykorzystywane w filmach kryminalnych i szpiegowskich. „Opuszczasz sektor amerykański” – taka informacja, podana w kilku językach, widnieje na dużej tablicy, zupełnie jak gdyby Berlin nadal był stolicą Trzeciej Rzeszy, okupowaną przez cztery zwycięskie mocarstwa. W tym miejscu zaczyna się pajęczyna przejść prowadzących do baraku, gdzie przyjezdni poddawani są znacznie bardziej drobiazgowej kontroli. Przeprowadzają ją funkcjonariusze VoPo (Volkspolizisten), ludowej policji NRD. Przez dobre pół godziny sprawdzają mój paszport. Czuję się nieswojo, szczególnie kiedy celnik wbija spojrzenie w czubek mojego ucha (podobno to najbardziej charakterystyczny szczegół ludzkiej anatomii). Moje zdenerwowanie narasta podczas przesłuchania, po którym jestem jeszcze drobiazgowo przeszukiwany.

To wydarzenie szczególnie utkwiło mi w pamięci, bo towarzyszył mu zaskakujący paradoks. W 1980 roku, podekscytowany naocznym obserwowaniem strajku gdańskich stoczniowców, postanowiłem wyskoczyć do Berlina Wschodniego. W portfelu miałem kilka pamiątkowych zdjęć z Lechem Wałęsą. Chciałem pokazać je moim berlińskim przyjaciołom (poznałem ich w Polsce, kiedy spędzali tu wakacje). Byłem już na granicy, kiedy zdałem sobie sprawę, czym

ryzykuję. „Voposy” na pewno mnie prześwietlą. Policjant przeglądał fotografie, na których stałem obok lidera Solidarności, a ja ze zgrozą pomyślałem, że teraz to już po mnie. Ku mojemu zdumieniu, oddał mi je bez mrugnięcia powieką. On na co dzień oglądał tylko to, co pokazywała państwowa propaganda i tylko w to wierzył, więc słynny opozycjonista, pojawiający się na pierwszych stronach gazet i w każdym wieczornym wydaniu wiadomości w zachodniej telewizji, był dla niego zupełnie obcym człowiekiem.

Komunistyczne Niemcy są jednym z najbardziej niedostępnych krajów świata. Hermetyczność i nieufność wobec wszystkich i wszystkiego to dla władz powody do dumy. Po otrzymaniu wizy, ważnej do północy, dochodzi się do ostatniego odcinka strefy granicznej, gdzie trzeba przekroczyć ciąg szlabanów, które co chwila podnoszą się i opadają, żeby w końcu wpuścić przybysza do Berlina Wschodniego. Ale biada temu, kto będąc już po drugiej stronie, użyje tego określenia. „Berlin, Haupstadt der DDR”, Berlin, stolica Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Tę informację, napisaną literami wielkimi jak woły, w mieście spotyka się na każdym kroku – jako jego dumną i złowrogą wizytówkę. W innych miastach jakoś nikt nie czuje potrzeby stawiania tabliczki w rodzaju „Uwaga, jesteś w Paryżu, stolicy Francji”, czy też „Witaj w Rzymie, stolicy Włoch”. Podawanie do wiadomości tak oczywistych faktów jest wręcz niedorzeczne. „Berlin, Haupstadt der DDR”. Tragikomiczne. Choć wygląda jak pospolity znak dla turystów, jest w istocie propagandową zagrywką mającą uzasadnić istnienie sztucznego tworu państwowego, zbudowanego na zgliszczach Trzeciej Rzeszy, niemieckiego przyczółka sowieckiego imperium. Przyjezdnych – zwłaszcza z innych krajów bloku wschodniego – oszałamia ultranowoczesne centrum. Wszystko jest wielkie, wypielęgnowane i obliczone na efekt. Duże wrażenie robią rozmiary Alexanderplatz, wokół którego wznoszą się kolosy ze szkła i betonu. Nad placem góruje Fernsehturm, wieża telewizyjna zakończona wielką stalową kulą wyposażoną w obrotową platformę. Tam mieści się restauracja, z której można podziwiać panoramę miasta. Najbardziej widowiskowo wieża wygląda podczas zachodu słońca – odbijające się w kuli promienie słoneczne układają się w formę krzyża. To zjawisko optyczne jest drwiną z niezłomnych strażników ateizmu (według niezweryfikowanej pogłoski autor projektu trafił do więzienia). W miejscu, w którym stał niegdyś zamek berliński, dziś wznosi się Palast der Republik, siedziba Izby Ludowej NRD,

metalowa konstrukcja z rdzawobrązową przeszkloną fasadą[61]. Odbija się w niej zdeformowany obraz otoczenia, a jednocześnie ukrywa ona to, co odbywa się wewnątrz, przypadkowo służąc za symbol władzy. Przy Unter den Linden, alei urywającej się przed Bramą Brandenburską, gdzie przebiega linia demarkacyjna Berlina Zachodniego, w odrestaurowanych kamienicach mieszczą się ambasady, konsulaty i ośrodki kultury bratnich państw. W barwnej feerii powiewa flaga NRD, a na niej godło narodowe, przedstawiające młot i cyrkiel otoczone splecionym z kłosów wieńcem. Ten nader osobliwy emblemat ma symbolizować jedność robotników, inteligencji i chłopów.

Spośród wszystkich demoludów socjalizm w NRD był najbardziej ortodoksyjny. Nie mogło być przypadkiem, że właśnie ta ziemia wydała na świat Karola Marksa. Ponieważ nie miała własnej ugruntowanej tradycji narodowej, jedynym spoiwem kulturowym, łączącym szesnaście milionów Niemców za Łabą, była doktryna marksistowsko-leninowska. Zniewalała umysły z taką samą siłą, z jaką mur izolował mieszkańców kraju, który złośliwi nazywali „Niemiecką Republiką Demagogiczną”. Myślę, że gdyby Lenin zmartwychwstał, widok Berlina w takim kształcie zmusiłby go do rewizji definicji socjalizmu. Zamiast „władza radziecka plus elektryfikacja całego kraju”, musiałby użyć określenia „pruska organizacja plus marksizm”. Kim właściwie był niemiecki komunista? To człowiek, który nie mając przekonania co do słuszności swoich działań, postępował tak, jak gdyby je miał. Lojalność wobec władzy i milczące przyzwalanie na rzeczywistość były dla mieszkańców źródłem dojmującego przygnębienia. To chyba najlepsze podsumowanie życia w tym kraju. Ustrój komunistyczny w wydaniu wschodnioniemieckim samym posłuszeństwem poddanych jednak się nie zadowalał. Był owładnięty obsesją stworzenia „Neue Mensch”, socjalistycznego obywatela skrojonego na miarę. Rozwój człowieka był regulowany przez sztywny program od kołyski aż po grób. Pierwszym etapem edukacji było przedszkole. Każda placówka współpracowała z jednostką wojskową, więc dzieci regularnie spotykały się z żołnierzami. Później przed każdym dzieckiem otwierały się drzwi do kariery socjalistycznego pioniera. Wcielano je do FDJ, Freie Deutsche Jugend, młodzieżowej frakcji SED, rządzącej państwem Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec (Sozialistische Einheitspartei Deutschlands). Wstąpienie do FDJ poprzedzał roczny okres indoktrynacji, czegoś w rodzaju świeckiej katechezy, której ukoronowaniem było Jugendweihe –

ślubowanie młodzieży, wprowadzone w miejsce protestanckiej konfirmacji w ramach sekularyzacji świąt kościelnych. W ceremonii brały udział wszystkie czternastolatki. Uroczystość uświetniały występy muzyczne i przemówienia oficjeli. Młodzi ślubowali wierność socjalistycznej ojczyźnie i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Jeśli ktoś odmawiał złożenia ślubów, pozbawiał się szans na studia i zmuszony był do podjęcia pracy poniżej ambicji. Taki był los zaprzyjaźnionej ze mną rodziny Grünwaldów, potomków starego berlińskiego rodu. Gorliwi katolicy z dziada pradziada nie zamierzali podporządkować się grotesce Jugendweihe. Słono za to zapłacili. Mimo doskonałych ocen na świadectwie, o studiach mogli zapomnieć. Chcesz iść na medycynę? Musisz zadowolić się byciem pielęgniarką. Zamierzałeś zostać inżynierem? Mamy dla ciebie posadę mechanika. Taki los trudno zaakceptować, więc większość młodych ludzi wolała dostosować się do reguł narzucanych przez system.

W samozwańczej Niemieckiej Republice Demokratycznej farsą stawało się nawet to, co z natury rzeczy jest doświadczeniem demokratycznym. W wyborach startowała tylko jedna partia, Front Narodowy (Nationalen Front), a symulując pluralizm, pod szyldem SED zrzeszała kilka mniejszych organizacji partyjnych. Wyborca, chcąc wyrazić swoje poparcie, po otrzymaniu listy z nazwiskami kandydatów, musiał ją tylko wrzucić do urny pod czujnym okiem funkcjonariuszy. Jeśli ktoś chciał zagłosować inaczej, korzystał z kabiny, gdzie mógł skreślić jednego lub więcej kandydatów. Dane osobowe ryzykanta były oczywiście natychmiast notowane przez przenikliwych członków komisji wyborczej – głosujący w ten sposób był kwalifikowany jako wywrotowiec. Tak został potraktowany starszy mężczyzna z dzielnicy Wandlitz, zamieszkiwanej głównie przez nomenklaturę. Jako jedyny zamknął się w kabinie. Nie było więc problemów z ustaleniem tożsamości głosującego, który skreślił wszystkie nazwiska na liście. W tenże sposób enerdowscy komuniści uzyskiwali zawsze 99,9% głosów.

Czerwona dyktatura spod znaku młota i cyrkla posługiwała się, co prawda, retoryką antynazistowską, w gruncie rzeczy nie odbiegała jednak znacząco od praktyk faszystów. Żołnierze Armii Ludowej (Volksarmee) przed Pomnikiem Nieznanego Żołnierza maszerowali w zwartym szyku, jak ich poprzednicy z oddziałów SS. Zbiorowe rytuały komunistycznej młodzieży zrzeszonej we FDJ do złudzenia przypominały widowiskowe

parady Hitlerjugend. Stasi (skrót od Staatssicherheit – bezpieczeństwo państwa) nasuwała skojarzenia z Gestapo, a już sama jej nazwa budziła lęk. To tajne służby NRD, narzędzie najdoskonalszego systemu nadzoru, jaki znała historia. Uważali się za miecz i tarczę komunistycznej partii. Wymknięcie się spod kontroli agentów graniczyło z cudem. W zakładach pracy, w szkołach, na osiedlach, wśród przyjaciół i krewnych, a bywało, że również wśród członków najbliższej rodziny działał konfident, który wiedział o wszystkim i nie wahał się przed niczym, żeby zdobyć informacje. Stasi to synonim ustawicznego terroru i dużej siły rażenia, którym obce było pojęcie prywatności, a ludzka godność nic nie znaczyła[62]. Obywatelom zmuszonym do życia w niemieckim komunizmie nazwa państwowej bezpieki z trudem przechodziła przez gardło. Powszechnie używano określenia „Die Firma". Najpotężniejsza i najbardziej rozrośnięta „firma" w kraju liczyła blisko sto tysięcy agentów, ale jej potęga tkwiła w informatorach, tak zwanych IM, Inoffiziellen Mitarbeiter (nieoficjalnych współpracownikach). Byli to zwyczajni obywatele, którzy w zamian za gratyfikację od partii albo po prostu ze strachu przed konsekwencjami w przypadku odmowy (szczególnie że ich szantażowano i zastraszano) godzili się na kolaborację. Szacuje się, że aktywnych operacyjnie było około dwustu tysięcy IM, co oznacza, że co sześćdziesiąty obywatel „Niemieckiej Republiki Dramatycznej" był szpiegiem. To wskaźnik bez precedensu, przekraczający nawet statystyki Gestapo (jeden Niemiec na dwa tysiące) i KGB w okresie rządów Stalina (jeden obywatel na sześć tysięcy)[63]. Kwatera główna Stasi przy Normannenstrasse, w dzielnicy Lichtenberg, była labiryntem korytarzy, gabinetów i podziemi, w których pracowało dwadzieścia tysięcy osób. Do ich służbowych obowiązków należało przesłuchiwanie i inwigilowanie swoich współobywateli oraz gromadzenie na ich temat baz danych, które osiągały gigantyczne rozmiary. Kiedy w 1990 roku komunistyczne Niemcy wydały swe ostatnie tchnienie, pozostawiły po sobie kłopotliwy spadek w postaci stu dziesięciu kilometrów akt, sześćdziesięciu milionów teczek, co według historyka Klausa-Dietmara Henkego stanowiło równowartość wszystkich niemieckich dokumentów od czasów średniowiecza. Orwellowski Wielki Brat w szpiegowskiej obsesji Stasi znalazł swą najpełniejszą realizację.

W trudach życia w państwie policyjnym Niemcy wschodni pocieszali się iluzją gospodarczego rozkwitu. Kiedy porównywali się z innymi poddanymi sowieckiego imperium, mieli powody, by uważać się za

wybrańców losu – byli najbogatszym narodem bloku demokracji ludowej. Niemcy Wschodnie szczyciły się najwyższym wskaźnikiem PKB, mimo że na początku nic tego nie zapowiadało. W przeciwieństwie do Niemiec Zachodnich, po drugiej wojnie światowej NRD nie korzystała z dobrodziejstw planu Marshalla ani z wydatnej pomocy z zewnątrz, jednak dzięki własnej determinacji zdołała odbudować prężną infrastrukturę przemysłową. „Jesteśmy drugą po ZSRR potęgą gospodarczą obozu socjalistycznego, szóstą w Europie, dziesiątą na świecie", lubił powtarzać – ze sporą dozą propagandowej przesady – namaszczony przez Moskwę przewodniczący Rady Państwa, Walter Ulbricht. Wysoki poziom usług i łatwa dostępność dóbr konsumpcyjnych w korzystnych cenach były chlubą wschodnioniemieckich władz. Jednak szalejąca w latach osiemdziesiątych recesja nie oszczędziła nawet olimpijczyków komunistycznego obozu. Chcąc zahamować rosnące zadłużenie zagraniczne, rząd Ericha Honeckera – jednego z budowniczych muru berlińskiego, polityka, który wspinając się po szczeblach kariery, został w końcu pierwszym sekretarzem SED – kosztem rynku wewnętrznego zwiększył eksport samochodów, telewizorów i sprzętu gospodarstwa domowego. W tym samym czasie Związek Radziecki wstrzymał sprzedaż do bratnich państw gazu i ropy po preferencyjnych cenach, zmuszając Niemcy Wschodnie do racjonowania źródeł energii oraz do ponownego sięgnięcia po bardziej szkodliwy dla środowiska węgiel. Triumfalne dane liczbowe, podawane wytrwale przez reżimową władzę, coraz bardziej oddalały się od rzeczywistości. Niektórych produktów zaczynało brakować lub czas oczekiwania na nie wydłużał się. Aby stać się właścicielem trabanta, flagowej marki NRD, małego plastikowego samochodu miejskiego z silnikiem dwusuwowym, zostawiającego za sobą dławiący siny obłok, należało czekać dziesięć, a nawet piętnaście lat. Podobnie rzecz się miała z urządzeniami AGD. W słynącej z braku poczucia humoru *Republik* zaczęły krążyć dowcipy ośmieszające wydajność socjalistycznego ustroju: „Kiedy będę mógł odebrać mojego cyklamenowego trabanta?". „Za dziesięć lat", odpowiada państwowy pośrednik. Klient jednak naciska. „Ale kiedy dokładnie? Rano czy po południu?". Zirytowany sprzedawca odpiera: „Co to w ogóle za pytanie? To dopiero za dziesięć lat. Po co to panu?". „Bo za dziesięć lat po południu mam odebrać lodówkę". Oceniając swoją stopę życiową, obywatele NRD mogli patrzeć z góry na sąsiadów w Polsce czy nawet na radzieckich zwierzchników. Sklepy spożywcze były dobrze

zaopatrzone. W wielkich delikatesach przy Unter den Linden widniała tabliczka z informacją: „W sprzedaży owoce i warzywa z Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej”. To jawna kpina, zważywszy, że w Warszawie nie było na nie szans. Mimo wszystko trudno powiedzieć, że Niemcy wschodni byli zadowoleni z życia. Nawyk porównań z bliźniakami z RFN był zbyt mocno zakorzeniony. Z ogłoszonego przez Honeckera wyścigu wycofano się wskutek oczywistej przewagi rywala. A przecież do porównań prowokowało wszystko, szczególnie w Berlinie, gdzie sąsiadowały ze sobą dwie witryny, jedna wystawna i pełna kapitalistycznych zbytków, druga – urządzona na modłę socjalistyczną. Na widok pierwszej kręciło się w głowie, druga tylko przygnębiała. Dwie strefy miasta zmuszone były do pełnej rezerwy koegzystencji. Oba państwa niemieckie pozostawały, owszem, w dobrych stosunkach handlowych, ale jak dwaj kuzyni, którzy choć się nie znoszą, to muszą razem robić interesy. Umowy z 1972 roku, normalizujące stosunki dwustronne, zezwoliły Niemcom z Zachodu na wyjazdy na Wschód. W drugą stronę to nie działało.

Mur był dotkliwym ciężarem, stale jątrzącą się raną. Postawiony w nocy 13 sierpnia 1961 roku „mur hańby” definitywnie przekreślał porozumienia aliantów z 1945 roku, gwarantujące swobodę przemieszczania się po terytorium dawnej niemieckiej stolicy. W Berlinie granica z kapitalistycznym światem przebiegała przez chodniki, ulice i place. Niemcy Wschodnie nie mogły dłużej tolerować ciągłych i masowych wypływów ludzi goniących za wolnością. Pod koniec lat pięćdziesiątych decyzję o emigracji na Zachód podjęły trzy miliony mieszkańców NRD. Złośliwi mówili, że Berlin Wschodni jest jak więzienie o zaostrzonym rygorze ze stale otwartą główną bramą. Betonowa bariera miała tę bramę zamknąć na spust. Zabezpieczono ją więc zasiekami, kozłami hiszpańskimi i polami minowymi. Stały nadzór nad terenem sprawowali funkcjonariusze VoPo. Z czasem mur zmienił się w wymyślną machinę wyposażoną w nowoczesny system alarmowy, fotokomórki i urządzenia samostrzelające. Wschodnioniemiecka propaganda zakazywała używania słowa „die Mauer” w szkołach i w mowie publicznej. Zalecanym określeniem było „antyfaszystowski wał ochronny”, którego celem była ochrona przed ewentualnym atakiem zachodnich imperialistów. W rzeczywistości mur nie służył celom obronnym, lecz izolacji własnych obywateli – w dziejach rzecz bez precedensu. Mimo to podejmowali oni

próby ucieczki, niejednokrotnie karkołomne: kopali tunele, ukrywali się w mikroskopijnym bagażniku wydrążonym pod silnikiem samochodu. Nie brakowało śmiałków zdecydowanych na ucieczkę amatorsko skonstruowanym balonem. Rocznie aresztowano setki niedoszłych zbiegów. Najmniej szczęścia mieli ci, których zestrzelono nad „strefą śmierci", ziemi niczyjej między dwoma Berlinami, gdzie obowiązywał nakaz strzelania do wszystkich uciekinierów, wprowadzony w życie w 1971 roku przez Honeckera, zaraz po objęciu przez niego władzy. Od strony zachodniej pomnik wrogości i niezgody był dobrze widoczny z wysokości platformy, z której słynni mężowie stanu (na przykład amerykański prezydent John F. Kennedy, który podczas historycznej wizyty w zachodniej części miasta w czerwcu 1963 roku zawołał „Ich bin ein Berliner") i turyści robiący pamiątkowe zdjęcia, mogli obserwować patrolujących mur „Voposów". Tymczasem dla mieszkańców Berlina Wschodniego betonowa zapora była niedostępna, a wkraczanie na tereny przyległe – *verboten*. Wyjątkiem była ludność dojeżdżająca do pracy.

Andreas, młody projektant maszyn, z okien swojego biura przy Leipziger Strasse codziennie podziwia życie toczące się po zachodniej stronie. W odległości kilkudziesięciu metrów widzi pracowników Axel Springer, wydawcy „Bild Zeitung", najlepiej sprzedającego się tabloidu w Niemczech Zachodnich, który główną siedzibę redakcji prowokacyjnie usytuował kilka metrów od muru. Andreas obserwuje dzieci i młodych ludzi na rowerach. Chciałby do nich przyjaźnie pomachać. Ze smutkiem wyznaje: „Zawsze, kiedy patrzę w tamtą stronę, ściska mnie w dołku". Żyje trochę jak w więzieniu. Miał się z niego wydostać dopiero po sześćdziesiątce. By móc pojechać do Berlina Zachodniego, choćby na krótko, poddani Honeckera musieli osiągnąć wiek emerytalny, a jeśli przypadkiem zdecydowali się nie wracać, to tylko z korzyścią dla enerdowskiego systemu ubezpieczeń społecznych.

Istniał też całkowicie legalny sposób na wymknięcie się czerwonej dyktaturze, która była trudnym do udźwignięcia ciężarem, źródłem miażdżącej opresji, również moralnej. Metoda wymagała nie lada odwagi, determinacji i brawury. W jej szczegóły wtajemniczył mnie Wolfgang Brehmer, lat 35, kiedy siedzieliśmy w kawiarni przy Ku'damm, eleganckiej ulicy Berlina Zachodniego, gdzie udało mu się zameldować. „Kiedyś chwyciłem za pióro i napisałem do przewodniczącego Honeckera, że nie uznaję socjalistycznych zasad funkcjonowania NRD, więc powołując się na

Akt Końcowy KBWE, gwarantujący wszystkim obywatelom Europy swobodne przekraczanie granic, zwracam się o pozwolenie na wyjazd z kraju". Na efekt nie musiał długo czekać. Kilka tygodni później został aresztowany i skazany na rok i osiem miesięcy więzienia. Dzięki kaucji wpłaconej przez rząd w Bonn, Wolfganga wypuszczono na wolność i wydalono na Zachód. Taką drogą co roku uwalniano setki więźniów politycznych NRD i oddawano ich w ręce władz RFN. Procedura wymagała pewnego wysiłku. Dobrze było, jeśli skazany miał w Niemczech Zachodnich krewnych lub przyjaciół, którzy w jego sprawie mogliby interweniować u władz. Istniał też stosowny taryfikator: kaucja za studenta wynosiła przeciętnie czterdzieści tysięcy marek, ale już za lekarza z dyplomem lub inżyniera – dużo więcej. Handel żywym towarem przynosił wiele korzyści obu stronom. Niemcy federalne kupowały sobie wierność i lojalność wobec kapitalizmu (jako antidotum na grasujących lewackich ekstremistów), Niemcy komunistyczne inkasowały cenną gotówkę, której tak bardzo potrzebowały do podreperowania topniejących finansów publicznych. Innymi słowy, aby przetrwać, NRD była gotowa zaprzedać własnych obywateli. Ludzie, których nie było stać na Zachód, musieli zadowolić się oglądaniem go w telewizji. Codziennie o siódmej wieczorem mieszkańcy NRD przełączali odbiorniki na częstotliwość dziennika RFN. Reżimowa cenzura, niezawodnie filtrująca wszystkie materiały drukowane, nie była w stanie zakłócić sygnałów radiowych i telewizyjnych z drugiej strony muru. Na początku lat siedemdziesiątych Stasi usiłowała przejąć kontrolę nad kątem nachylenia anten, ale ostatecznie poddała się w obliczu piętrzących się trudności. Enerdowska telewizja, chcąc nie chcąc, musiała nadawać swoje usypiająco nudne serwisy o dziewiętnastej trzydzieści, czyli pół godziny po emisji konkurencji z Zachodu. W terroryzowanych skrajnym rygorem kazamatach socjalistycznego obozu, wolność w eterze była jedynym i niezbywalnym strzępem swobody, którym można się było potajemnie cieszyć, żyjąc wzdłuż obstawionej przez wojsko granicy z Zachodem.

W środowiskach młodzieżowych nasilał się kontestacyjny klimat. Doszło do zawiązania ruchu, którego inspiracją była antywojenna propaganda reżimu. Nowa organizacja wzorce czerpała z zachodnich ruchów pacyfistycznych, a źródłem jej siły moralnej była otwarcie manifestowana wiara chrześcijańska. Wszystko zaczęło się we wczesnych latach osiemdziesiątych, kiedy nastąpiła eskalacja wyścigu zbrojeń. Dwa

atomowe supermocarstwa, Związek Radziecki i Stany Zjednoczone, wzajemnie obrzucały się oskarżeniami o zakłócanie równowagi strategicznej w imię zabezpieczania partykularnych interesów. Na terytorium Europy oba kraje instalowały kolejne pociski balistyczne średniego zasięgu. Cały Zachód ogarnęła fala protestów, szczególnie w RFN, gdzie siły NATO przygotowywały się do rozmieszczenia dużej części rakiet balistycznych Pershing i Cruise, w odpowiedzi na radzieckie SS-20. Pacyfiści na świecie wyszli na ulice z okrzykiem „Lieber rot als tot” („Lepiej być czerwonym niż martwym”). To podszyte autodestrukcją hasło było jednak zwodnicze, bowiem demonstranci nie byli świadomi skali opresyjności bloku komunistycznego, którego sfery rządzące prowadziły, co prawda, kampanie na rzecz pokoju, ale w duchu stalinowskim, czyli z wykluczeniem obywateli. Na Wschodzie pacyfizm nie miał zakorzenionej tradycji. Wyjątkiem była NRD, jedyny kraj satelicki, w którym pokój na świecie leżał mieszkańcom na sercu i byli oni żywo zainteresowani rozbrojeniem. Rozdzielonych murem Niemców jednoczył strach, mieli bowiem świadomość, że w przypadku konfliktu nuklearnego ich kraje będą głównym celem rażenia i to ich ludność będzie skazana na zagładę. Rzecznikiem pacyfistycznych tendencji mienił się Kościół ewangelicki, który mimo że pod rządami czerwonej dyktatury sukcesywnie tracił wiernych[64], to jednak ciągle miał zdolność dyskretnego ich mobilizowania – szczególnie młodych. Organizowane były spotkania i zgromadzenia, drukowano antyzbrojeniowe ulotki i plakaty. Na ulicach coraz częściej można było spotkać młodzież rozdającą charakterystyczny brunatny znaczek z napisem „Schwerter zu Pflugscharen” nawiązującym do wersetu z księgi proroka Micheasza: „Będzie On rozjemcą między licznymi ludami i wyda wyroki na narody potężne, odległe; i przekują miecze swe na lemiesze, a swoje włócznie na sierpy”[65] (ten sam wątek był inspiracją dla rzeźby radzieckiego artysty Jewgienija Wuczeticza, którą w latach pięćdziesiątych Moskwa przekazała w darze ONZ; obecnie jest ona przechowywana w nowojorskiej siedzibie Organizacji). W Berlinie i Lipsku, Erfurcie i Dreźnie ludzie modlili się o pokój. Wśród nich najwięcej było ewangelików. W listopadzie 1981 roku Synod Kościoła Protestanckiego zgłosił się do rządu Honeckera z wnioskiem o utworzenie ruchu na rzecz pokoju Sozialer Friedensdienst. Od 1964 roku w NRD istniała już szansa na odmówienie użycia broni. Wykorzystywali ją tak zwani Bausoldaten, poborowi, których zamiast na poligon, wysyłano na

budowy. Tak czy owak, wchodzili oni w struktury armii ze wszystkimi tego konsekwencjami: nosili mundury i odbywali służbę w koszarach. Stanowili niewielką grupę liczącą tylko kilkuset żołnierzy. Byli obiektem kpin towarzyszy broni, a przez dowódców traktowani podejrzliwie. Środowiska ewangelickie miały jednak dalej idące oczekiwania. Żądały prawa do odmowy służby wojskowej z powodów moralnych. Władze zorientowały się, że ruch na rzecz pokoju, nad którym objął pieczę, zaczyna wymykać się im spod kontroli. W styczniu 1982 roku pastor Rainer Eppelmann, który w młodości spędził osiem miesięcy w celi, ukarany za odmowę podpisania „lojalki" z socjalistycznym państwem, oraz Robert Havemann, z wykształcenia chemik, znany ze swojej krytyki systemu w NRD, stanęli na czele grupy, która opracowała tak zwany Apel Berliński. Miał on charakter wschodnioniemieckiego manifestu pacyfistycznego. W krajach demokracji ludowej był to pierwszy przypadek, kiedy wezwanie do rozbrojenia popłynęło nie ze strony państw członkowskich NATO, ale z kraju należącego do Układu Warszawskiego. Rząd w Berlinie najbardziej wyprowadzały z równowagi żądania demilitaryzacji we wszystkich sferach życia publicznego. Obywateli NRD od dziecka uczono pozytywnego stosunku do wojska. W szkołach podstawowych odbywały się ćwiczenia na miniczołgach i z użyciem strzelb pneumatycznych. Co roku młodzi partyjni adepci przechodzili szkolenie na poligonie. Mit obronności socjalizmu jako broni przeciwko imperialistycznej agresji był leitmotivem reżimowej propagandy, tym silniejszej, im bliżej było do granicy z nieprzyjacielem, a w tym przypadku chodziło o Niemcy Zachodnie. Volksarmee była najlepiej zorganizowaną strukturą wojskową Układu Warszawskiego. Imponujące oddziały sowieckie na terenie NRD, złożone m.in. z 5 armii lądowych (ok. 4 tysiące czołgów) i ponad trzystu tysięcy żołnierzy, mogły liczyć na wsparcie stu siedemdziesięciu tysięcy żołnierzy NRD. Apel Berliński, od razu nazwany „bombą pacyfistów", wstrząsnął gabinetami władzy. Pastor Eppelmann został aresztowany. Agenci Stasi przesłuchiwali go przez cztery dni, a przełożeni ukarali dyscyplinarnie. Hierarchowie Kościoła protestanckiego obawiali się czołowego zderzenia z władzą, bo czuli się jej zakładnikami. W marcu 1982 roku, kiedy wśród partyjnych dyspozycji znalazł się obowiązek wojskowy dla kobiet w razie stanów wyjątkowych, ewangelicki episkopat NRD oświadczył, że nie jest w stanie dłużej chronić młodych ludzi przed grożącym im niebezpieczeństwem, jeśli nadal będą sobie przypinać znaczek z kowalem przekuwającym miecze na

lemiesze. Porzucony przez protestantów sztandar buntu podniósł Kościół katolicki, który mimo mniejszej liczebności, miał w sobie dużą determinację. W liście do wiernych katolicki episkopat Niemiec Wschodnich stanowczo potępił decyzje rządu. Jeszcze silniej zaprotestował cztery lata później, kiedy państwo zamierzało zmienić księży w urzędników państwowych.

Jest rok 1986, przez ONZ ogłoszony Międzynarodowym Rokiem Pokoju. Idę na spotkanie z Rainerem Eppelmannem w Samariterkirche, w którym jest proboszczem. Rząd i kościelni hierarchowie zakazują rozmów z zagranicznymi dziennikarzami, ale on nic sobie z tego nie robi. Mówi: „Zachowuję spokój i nadal prowadzę swoją pracę z wiernymi. Musieliśmy zrezygnować z inicjatyw publicznych, ale ruch pacyfistyczny wciąż żyje. Czekamy na lepsze czasy". Opowiada o naganie, którą dostał za to, że w czasie jednego z kazań wymienił zakazane słowo „Solidarność" (dla obywateli wybierających się do Polski państwo wprowadziło obowiązek wizowy, zaostrzając w ten sposób kontrolę, która miała zapobiec rozprzestrzenianiu się epidemii buntu).

Tymczasem nasilało się społeczne niezadowolenie. 8 czerwca 1987 roku w Berlinie Wschodnim tysiące młodych przyszło pod Bramę Brandenburską, by posłuchać koncertu grupy Genesis, który odbywał się po drugiej stronie muru w ramach obchodów 750-lecia niemieckiej stolicy. Do rządzącego Kremlem ojca pierestrojki, tłum wołał: „Gorby, Gorby". Rozległo się też szokujące wówczas żądanie, którego nikt dotąd nie ośmielił się wypowiedzieć: „Otwórzcie bramę, zburzcie mur!". Kilka dni później podczas wizyty w Berlinie prezydent USA Ronald Reagan powtórzył ten apel, w ostatniej chwili zmieniając tekst przemówienia przygotowanego przez doradców z Białego Domu[66]. Spektakularny gest byłej hollywoodzkiej gwiazdy prasa komentowała ze zjadliwą złośliwością. Rządzących i opinię publiczną łączyło przekonanie, że to oczekiwania utopijne. Historia dowiodła, jak bardzo się mylili. Jak w klasycznym westernie, prostolinijny idealizm starego kowboja w ostatecznym rozrachunku okazał się zwycięski.

61 Został zburzony w pierwszej dekadzie XXI wieku, obecnie trwają prace nad odbudową zamku (przyp. red.).

62 Zachodnia opinia publiczna uświadomiła sobie koszmar tej rzeczywistości dzięki znakomitemu i wstrząsającemu filmowi *Życie na podsłuchu* w reżyserii Floriana Henckela von Donnersmarcka.

63 Dane te zestawiła Anna Funder w swojej książce *C'era una volta la DDR* (*Była kiedyś NRD*), Feltrinelli, Mediolan 2010, s. 55. Jej ustalenia potwierdził inny badacz archiwów Stasi, Włoch Gianluca Falanga, w książce *Il ministero della paranoia*, Carocci, Rzym 2012.

64 Od okresu powojennego do końca lat osiemdziesiątych liczba wyznawców Kościoła luterańskiego w Niemczech Wschodnich spadła z czternastu milionów do około trzech i pół. W tym samym czasie zmalała również diaspora katolicka – z dwóch milionów do niewiele ponad sześciuset tysięcy.

65 *Biblia Tysiąclecia*, Mi 4, 1–3 (przyp. red.).

66 Historię tego zaskakującego przemówienia opowiedział Romesh Ratnesar w *Tear Down This Wall. A City, a President and the Speech that Ended the Cold War*, Simon & Schuster, Nowy Jork 2009.

Rozdział VIII
Rumunia 1987. Ciemność, głód i terror

„Frumos, foarte frumos Italia!”. Włochy są piękne, najpiękniejsze! Szczera i bezpretensjonalna reakcja Coriny na wieść, skąd jestem, sprawia, że się wzruszam. Podobnie jak większość Rumunów, ta czterdziestoletnia nauczycielka – dumna ze wspólnych naszym narodom łacińskich korzeni – we Włoszech nigdy nie była. Dla niej to kraina cudów, którą widziała przelotnie w telewizyjnych migawkach czy na widokówkach. W jej domu, w przesiąkniętej wilgocią kuchni, na ścianie wisi duże zdjęcie wycięte z jakiejś włoskiej gazety, którą Corina wzięła nie wiadomo skąd. Nie przedstawia ono ani żadnego włoskiego zabytku, ani też typowej panoramy. Nic z tych rzeczy. To reklama salami Negronetto. Ułożone na półmisku krwistoczerwone plastry tchną aromatem dla Rumunów całkiem obcym – rodzina Coriny karmi się wyobraźnią. „Ostatni raz, kiedy postawiłam na stole coś, co przypominało mięso, był trzy tygodnie temu – kurze nóżki, tak wyschnięte, że moje dzieci nie były w stanie ich przeżuć”. Ta matka dwojga dzieci ma zmęczoną twarz i przedwcześnie posiwiałe włosy. Mąż Coriny, Emil, pozwala jej się wypłakiwać. Goszcząc mnie w swoim domu, sporo ryzykują. Na podstawie prezydenckiego dekretu z 1985 roku obywatel rumuński, który zamierza spotkać się z cudzoziemcem, musi to zrobić w obecności urzędnika państwowego albo przynajmniej zrelacjonować mu treść rozmowy.

Bukareszt, maj 1987 roku. Jestem do głębi poruszony widokiem głodnego i zastraszonego narodu. W Rumunii pod rządami Nicolae Ceauşescu ludzie nie mają co jeść. Dwadzieścia trzy miliony mieszkańców dyktator zmusił do życia w poniżeniu i pod surowym rygorem, pozbawiając ich elementarnych swobód. To pewnie dlatego uważał, że zasługuje na miano „Tytana Bałkanów”. Reglamentowane, często całkowicie nieosiągalne jest wszystko, nawet tak podstawowe produkty jak chleb, masło, oliwa, mąka i cukier. Ziemniaki sprzedaje się na sztuki, a jajka są rarytasem. Mleko w proszku, jeśli już jest, można dostać tylko w aptece po okazaniu recepty. Corina mówi: „Na szczęście moja teściowa jest na

emeryturze, więc ma czas chodzić po sklepach i stać w kolejkach, żeby coś upolować”. Kobieta wstaje o świcie i ustawia się w ogonku obok swoich przemarzniętych rówieśników. Wbijają wzrok w pustą, plastikową siatkę z nadzieją, że nim nastanie wieczór, uda się im cokolwiek do niej włożyć, choćby ochłap z wieprzowych podrobów, z których przyrządzą i tak niejadalne flaki.

Racjonowane są nie tylko produkty spożywcze. Również energia. W domach nie można używać żarówek silniejszych niż 40-watowe. W ich mizernym, bladożółtym świetle otoczenie wydaje się jeszcze bardziej upiorne. Miesięczne zużycie energii nie może przekroczyć 30 kWh na rodzinę. Tę uciążliwość pogarszają częste i niezapowiedziane przerwy w dostawie prądu. Włączanie kuchenki w ciągu dnia nie ma sensu, bo dopiero wieczorem gaz osiąga ciśnienie, przy którym można coś ugotować. Telewizja nadaje przez trzy godziny dziennie. Na ekranie dominują zachwyt nad „triumfem socjalizmu” i peany na cześć rządzącego krajem *Conducătora*. Zimą temperatura w mieszkaniach i w zakładach pracy nie może przekroczyć 12 stopni. „Nie otwieraj okna, bo zawieje przechodniów” – taki czarny humor krąży po Bukareszcie, gdzie przez wiele miesięcy w roku mieszkańcy chodzą w grubych kurtkach, futrzanych czapkach i rękawiczkach. Ciepła woda to rzadki luksus. Zaczynam to rozumieć podczas wizyty w domu Coriny i jej męża. Emil przeprasza za dokazujące dzieciaki. Usprawiedliwia swoje pociechy: „Szykują się do kąpieli, bo dziś przypada ten jedyny dzień w tygodniu, kiedy przez kilka godzin mamy ciepłą wodę. Od siedmiu lat zmagamy się z zimnem, ciemnością i głodem”.

Nie oznacza to, że wcześniej Rumunom wiodło się dużo lepiej. Warunki życia zaczęły się jednak pogarszać od początku lat osiemdziesiątych, kiedy Ceauşescu w manii wielkości postanowił jak najszybciej pozbyć się zagranicznych długów, które zaciągnął, wprowadzając w życie swoją rabunkową politykę industrializacji, zmierzającą do stopniowej transformacji archaicznego rolniczego kraju. Pracując na gospodarczy cud, Rumunia zadłużyła się na ponad dziesięć miliardów dolarów. Dyktator zapragnął zrzucić z siebie ten kłopotliwy balast. Najpierw nie skorzystał z pożyczki Międzynarodowego Funduszu Walutowego, następnie zarządził bezwzględny prymat eksportu, który miał pomóc w napompowaniu publicznej kasy. Niemal wszystko, co wychodziło z rumuńskich fabryk i wyrastało na polach, trafiało za granicę. W 1987 roku dzięki sprzedaży za granicę dług zmniejszył się o połowę, osiągając

niewiele ponad pięć miliardów dolarów. Reżimowa propaganda wywyższała sukces Ojca Narodu, przemilczając społeczną cenę obłędu przywódcy. Za hasłami o suwerenności narodu kryła się dojmująca rzeczywistość ludzi zmuszonych do wyrzeczeń i do życia w upokarzającej biedzie. Cierpiąca głód Rumunia była najważniejszym dostawcą mięsa do Związku Radzieckiego. Kraj, w którym brakowało ciepłej wody, nie mógł czerpać ze swoich naturalnych złóż gazu i ropy. Niegdyś jeden z największych spichrzów Europy, teraz oferował mieszkańcom 300 gramów chleba dziennie na osobę. W Rumunii do tego szokującego paradoksu doprowadziła obsesja jej przywódcy. W ciągu kilku lat kraj pogrążył się w skrajnym ubóstwie. Od 1980 roku poziom życia w kraju stopniowo pogarszał się, do roku 1983 obniżając się nawet o 40%. Śmiertelność noworodków wynosiła 8%, co na tle Europy stanowiło niechlubny rekord. Zważywszy, że urodzenia rejestrowano po nawet czterech tygodniach, w rzeczywistości mógł być jeszcze wyższy. Wcześniaki umierały w inkubatorach, bo władza odcinała prąd. Ludziom starszym odmawiano dostępu do leków, nawet racjonowanego. Emil opowiada o sąsiedzie, który kiedyś źle się poczuł, a ponieważ karetka w ogóle nie przyjechała, zmarł. „Jeśli chory przekroczył siedemdziesiątkę, żeby oszczędzić benzynę, nawet nie włączają silnika”. Regulował to jeden z prezydenckich dekretów. Pomimo rządowego programu zwiększania dzietności (każda kobieta w wieku rozrodczym musiała urodzić co najmniej czwórkę dzieci, a przerywanie ciąży było surowo karane), w Rumunii liczba aborcji przekraczała liczbę urodzeń, a wraz z pogorszeniem warunków sanitarnych obniżyła się oczekiwana długość życia.

Bukareszt wygląda jak miasto Trzeciego Świata. Brudne, zatłoczone i ogarnięte chaosem. Na ulicach wpadają na siebie błędnie krążący ludzie. Wyglądają jak wojenni uchodźcy. Na przystankach panuje tłok. Autobusy kursują rzadko i jeżdżą w ślimaczym tempie. Na ulicach ruch jest ograniczony. Nieliczne samochody to niemal wyłącznie limuzyny z przyciemnianymi szybami, którymi jeździ Wielki Wódz i jego świta. Szczęśliwi posiadacze starej, produkowanej w kraju Dacii spędzają długie godziny w kolejkach po benzynę i nie mogą zatankować więcej niż 30 litrów miesięcznie. W kraju najpowszechniejszym środkiem komunikacji są zaprzęgi, co tłumaczy duże ilości zalegających na drogach ekskrementów, jedynego nie dotkniętego deficytem towaru na terytorium socjalistycznych Karpat. Przed sklepami panuje niewiarygodny ścisk. Przy wejściu do

największego w Rumunii Magazinul Victoria ciągle tłoczy się co najmniej setka osób, mających nadzieję na zdobycie choćby jednej flanelowej koszuli czy pary syntetycznych butów. Na deptaku Nicolae Bălcescu, naprzeciw sklepu spożywczego, dostrzegam gromadkę młodych mam z dziećmi na rękach, które umożliwią im wykupienie podwójnej racji. Poza niedostatkiem żywności, Rumuni muszą znosić cynizm swojego przywódcy, który wytyka im spożywanie nadmiernej ilości kalorii i nadużywanie białek. Jest święcie przekonany, że przymusowy post jest najlepszą dietą. Dyktator ustanowił „dzień rybny" (raz w tygodniu sprzedaż mięsa jest zakazana). Powołał też komisję ekspertów, której zadaniem jest wprowadzenie w życie istnie rewolucyjnego planu. Na podstawie naukowych kalkulacji opracowano gotowe dania, zastępując nimi poszczególne produkty. Komunikat na ten temat znalazł się w dzienniku partii komunistycznej „Scinteia". Mój tłumacz profesjonalnie i z należnym dystansem stara się mi to przełożyć. Mircea jest emerytowanym nauczycielem włoskiego, „gorąco rekomendowanym" przez wydział prasy zagranicznej rumuńskiego MSZ. Zawsze, kiedy go pytam, co słychać, odpowiada: „Nie możemy narzekać, nie jest tak, jak mówicie we Włoszech". W Rumunii to zdanie nie ma podtekstów. Mircea lubi mówić o swoich (nielicznych) podróżach za granicę. Dwa lata temu towarzyszył rządowej delegacji podczas wizyty w Polsce, więc możemy podzielić się wrażeniami na temat Warszawy. Mówi z entuzjazmem: „Wspaniałe miasto! I jakie piękne sklepy! Cały ranek podziwiałem wystawy na Nowym Świecie". Nie mam odwagi wyprowadzić go z błędu. Nie będę wytykać ślepemu, że zazdrości jednookiemu.

Zwane niegdyś „Paryżem Bałkanów" miasto wieczorami tonie w niezmąconej ciszy i absolutnej ciemności. Nie świeci nic, żaden neon, ani jedna latarnia. W restauracji hotelu Bucureşti przy wątłym świetle z wysiłkiem studiuję menu, co w gruncie rzeczy jest pozbawione sensu, bo jedynym dostępnym daniem jest *ciorbă*, tradycyjna rumuńska zupa z mięsa i warzyw. Dostaję niedogrzaną i niezjadliwą breję. Udaje mi się przetrwać dzięki czekoladzie i ciastkom, które kupiłem w hotelowym sklepie dla cudzoziemców. Można tu dostać również papierosy, alkohol, perfumy i słodycze. Rzecz jasna – płatność tylko w dolarach. Turyści z Zachodu są w Rumunii przedstawicielami innego gatunku człowieka. Traktuje się ich jak przybyszy z obcej planety. Kiedy rankiem wychodzę z hotelu, natychmiast otacza mnie wianuszek żebraków, w większości ludzi

starszych, biednie ubranych, z pełnym smutku wzrokiem, przez który przeziera zażenowanie. Proszą o mydło, pastę do zębów, paczkę Kentów, papierosów, które w Rumunii mają status waluty wymienialnej. Czuję bezradność. Jestem naocznym świadkiem podeptanej godności, upokorzenia i życia narodu przegranego, tkwiącego w stanie materialnej i bliskiej zniewoleniu moralnej podległości. „Nasz kraj funkcjonuje całkowicie wbrew naturze. Nawet najokrutniejsze totalitarne władze dbają o to, by jakoś nakarmić swoich niewolników, żeby mogli być ciągle wydajni", mówił Paul Goma, rumuński dysydent mieszkający w Paryżu, po okresie wieloletniej niewoli w rodzimych więzieniach, do których trafił za krytykę reżimu. „Możemy powiedzieć, że dzisiaj w Rumunii relacje między państwem i narodem są gorsze niż między niewolnikami i ich zarządcą" [67].

Czym można wytłumaczyć obojętny stosunek Europy i bagatelizowanie sytuacji w Rumunii, która przecież nie leży na drugim końcu świata, lecz w odległości godziny drogi samolotem z Paryża czy Rzymu? Jak to możliwe, że cywilizowane władze utrzymywały normalne stosunki dyplomatyczne i handlowe z państwem funkcjonującym wbrew naturze [68]? Takie pytania nasuwały się po przyjeździe do Bukaresztu. Odpowiedź jest prosta, choć trudna do zaakceptowania. Omamiony ekscentryzmem polityki zagranicznej rumuńskiego dyktatora Zachód udawał, że nie dostrzega anomalii w polityce wewnętrznej. Ceauşescu wyrobił sobie renomę niezmordowanego obrońcy narodowej suwerenności, kokietował kapitalistów, dystansując się od Moskwy. Rumunia była członkiem Układu Warszawskiego, ale jej przywódca zdobył reputację komunisty niezależnego, a jego odważne posunięcia na arenie międzynarodowej robiły wrażenie. Podczas praskiej wiosny Rumunia jako jedyne państwo członkowskie odmówiła wysłania do Czechosłowacji swoich wojsk. Ceauşescu na tym nie poprzestał. Hardy i nieprzewidywalny, regularnie wyprowadzał z równowagi kremlowskich zwierzchników. Punktem zapalnym były też relacje dyplomatyczne z Izraelem (Ceauşescu utrzymywał je nawet po wojnie sześciodniowej, kiedy wszyscy pozostali członkowie Układu je zerwali) czy bliskie relacje Bukaresztu z Chinami Mao w czasie radziecko-chińskiego zimnowojennego rozłamu. Kraj zyskał opinię uwiedzionej przez Zachód „innej Rumunii", a ten uległ złudzeniu, że udało mu się znaleźć sposób na zachwianie stabilności bloku sowieckiego. Dowodem międzynarodowej pozycji kraju był między innymi fakt, że Stany Zjednoczone w 1975 roku przyznały mu klauzulę najwyższego

uprzywilejowania w stosunkach handlowych, lekceważąc łamanie praw człowieka i bezlitosny ucisk. Rumunię ponadto promowano jako wakacyjny raj. Plaże nad Morzem Czarnym wypełniały hordy zachodnich turystów, odkrywających walory krajobrazowe tego kraju, jednak nie zdawali sobie oni sprawy, w jakich warunkach żyje lokalna ludność. Poważany przez Amerykanów, wkupiony w łaski Zachodniej Europy, hołubiony przez Chińczyków i z trudem tolerowany przez Rosjan, Ceauşescu widział w sobie de Gaulle'a Europy Wschodniej.

Teoria „rumuńskiej frondy" była wszelako wytworem zręcznej kampanii dezinformacyjnej, stanowiącej „zasłonę chroniącą prawdziwe plany obrony przed zachodnimi obserwatorami"[69]. Wobec państw sojuszniczych Geniusz Karpat z zamiłowaniem grał rolę pyskatego sztubaka, ale z Moskwą nigdy nie zerwał, a z czasem Rumunia wręcz zacieśniła gospodarcze stosunki z ZSRR. Nicolae Ceauşescu był komunistą wojującym, ślepo wierzył w siłę tej ideologii i pozostał jej wierny. Kontynuując co do zasady linię swojego poprzednika, Gheorghe Gheorghiu-Deja[70], jednocześnie kroczył drogą nacjonalizmu i stalinizmu. Przyszły *Conducător*, syn ubogich rolników, za młodu zapisał się do partii komunistycznej. Walczył przeciwko monarchii i faszystowskiej dyktaturze generała Iona Antonescu. Kilkakrotnie trafiał do więzienia. Podczas odsiadywania jednego z wyroków miał – w tym miejscu warto użyć tego słowa – szczęście dzielić celę z Gheorghiu--Dejem. Jako polityk dojrzewał u jego boku, wspinał się po kolejnych szczeblach partyjnej hierarchii i w końcu został jego następcą. Kiedy w 1965 roku Gheorghiu-Dej zmarł, Ceauşescu stanął na czele partii. Marzyła mu się transformacja zacofanej rolniczej Rumunii w kraj uprzemysłowiony, oparty na takim modelu socjalizmu, jaki przyświecał Stalinowi przy budowaniu ZSRR. *Nea Nicu*, Wujek Nicu był dla Rumunów tym, kim dla Rosjan *batiuszka*. Nowy lider, mający naród po swojej stronie i cieszący się jego posłuchem, po krótkim okresie umiarkowanych reform i względnych swobód obywatelskich wprowadził rządy absolutne, które z czasem zmieniły się w otwartą tyranię. Despotyzm Ceauşescu przyjął formę komunistycznej monarchii, w której suweren miał rangę bóstwa. Wokół swojej osoby wykreował kult jednostki, którego nie powstydziłby się sam Stalin, a porównać go można było tylko z kultem Kim Ir Sena w Korei Północnej i Envera Hodży w Albanii. „Wielki Sternik", „Tytan Bałkanów", „Geniusz Karpat", „Dunaj Myśli" – takie i im podobne wyrazy uwielbienia, niektóre na granicy śmieszności,

pojawiały się na co dzień w rumuńskiej prasie obok zwyczajowego *Conducător*. Na jego cześć pisano hymny i poematy. Nazwisko Ceauşescu biografowie wymieniali jednym tchem obok najwybitniejszych postaci w dziejach: Aleksandra Wielkiego, Juliusza Cezara i Napoleona. W domu rodzinnym dyktatora w Oltenii (jednym z najuboższych i najbardziej opustoszałych regionów kraju) urządzono muzeum poświęcone wielkiemu myślicielowi, erudycie, mistrzowi, architektowi...

Dyktatura rumuńska miała charakter klanowy. Obok najwyższego przywódcy rządy w państwie sprawowała pazerna i zdemoralizowana dynastia, która tworzyła trzon partyjnych struktur. Czterdzieści najważniejszych stanowisk w państwie zajmowali wyłącznie krewni i najbliżsi znajomi prezydenta. Żona Elena, okrzyknięta „Matką Ojczyzny" i „Towarzyszką Doktor Akademik" (państwowa propaganda wmówiła narodowi, że pierwsza dama zdobyła dyplom inżyniera i szczyci się szeregiem akademickich tytułów) była wicepremierem i przewodniczącą Narodowej Rady Nauki i Technologii, a poza tym członkiem Stałego Biura Politycznego KC RPK. Pozostałe funkcje podzieliły między sobą dzieci, bratankowie, krewni i powinowaci. Stworzyli klan o powiązaniach niemal mafijnych, kontrolujący wszystkie sprawy w państwie. Funkcjonariusze partyjni, którzy nie przynależeli do ścisłego kręgu, usiłowali wkupić się w łaski Ukochanego Towarzysza z nadzieją, że kiedyś wejdą do elity. Satrapa z Bukaresztu ufał tylko najbliższym współpracownikom, a system rządzenia opierał się na podejrzliwości. Obok nepotyzmu, sojusznikiem totalitarnych rządów Ceauşescu była Securitate – tajne służby specjalne, które kontrolowały wszystkie sfery życia w kraju; państwo w państwie, armia wiernych i całkowicie oddanych woli *Conducătora*. Codzienne życie w Rumunii podlegało ustawicznej obserwacji szpiegów i donosicieli. Tajniacy patrolowali teren przed hotelami dla cudzoziemców, ustawiali się w kolejkach przed sklepami, by podsłuchiwać skargi i żale obywateli. Byli wszechobecni i trzymali w szachu cały naród. Agenci Securitate nie byli tak dyskretni, jak ich koledzy ze Stasi, i nie mogli poszczycić się aż tak dużą wydajnością. Niekiedy zachowywali się dość ostentacyjnie i nawet nie starali się pozostać anonimowi[71], co zwróciło moją uwagę już pierwszego dnia pobytu w Bukareszcie. Chodził za mną krok w krok podejrzany typ. Nawet nie próbował się ukrywać. Co więcej, zdarzało nam się – ku mojemu rozbawieniu – ucinać pogawędki. Nie powiem, że się zaprzyjaźniliśmy, ale mieliśmy dobre relacje. Wieczorami, kiedy po kolejnej tragikomicznej

scenie kierowałem się w stronę pokoju, żegnając się, życzyliśmy sobie dobrej nocy. Ale pod czujnym okiem agentury żyli nie tylko cudzoziemcy. Dotyczyło to wszystkich Rumunów. Nicolae Ceauşescu zamierzał prześwietlić najbardziej intymne sfery życia swoich poddanych i poznać treść ich rozmów, więc, podjudzany przez żonę, drugi czarny charakter reżimu, nakazał w całym kraju – od stolicy po najbardziej odludne wioski – wszystkie aparaty telefoniczne wymienić na nowe, wyposażone w podsłuchy. Kulminacją paranoi było zgromadzenie próbek charakteru pisma całej populacji, co miało pomóc w zidentyfikowaniu autorów anonimów napływających do Radia Wolna Europa (finansowanej przez Amerykanów stacji, która nadawała na całą Europę Wschodnią), będących skargami na zubożenie materialne i duchowe społeczeństwa [72].

Patologicznej presji nie ulegali tylko najodważniejsi. Każdy najdrobniejszy przejaw krytyki spotykał się z interwencją wszystkowiedzących agentów Securitate. Winowajca mógł na przykład usłyszeć: „Uważaj, bo twoje dziecko będzie miało nieszczęśliwy wypadek”. Elementy zakwalifikowane jako „aspołeczne” albo gorzej „antysocjalistyczne”, zasilały szeregi robotników budujących kanał Dunaj–Morze Czarne i były zmuszane do wykonywania ciężkich robót. „Wielki Architekt” ogłosił program tak zwanej systematyzacji wsi, który polegał na wyburzaniu starej zabudowy i zastępowaniu jej koszmarnymi blokami z wielkiej płyty. W drewnianych domach na prowincji ludzie cieszyli się ostatnimi okruchami wolności, a tego reżim nie był w stanie przełknąć. Na fali ideologii stworzenia „nowego człowieka”, Nieustraszonego Żołnierza Komunizmu, zmuszono ludzi do życia w betonowych molochach, w których każdy krok mieszkańców był uważnie obserwowany przez stróża. Desperacja w narodzie osiągnęła takie rozmiary, że zdarzały się przypadki samobójstw. Wielki Wódz w porywie rekonstrukcyjnego szału nie mógł oczywiście pominąć stolicy. Śródmieście Bukaresztu zmieniło się w potężny plac budowy. Setki dźwigów, koparek i buldożerów równały z ziemią dzielnicę, wznosząc na jej miejscu nową cytadelę władzy, monstrualny kompleks pałaców, nad którym górował gigantyczny Dom Ludowy, wieńczący Bulwar Zwycięstwa Socjalizmu (Bulevardul Victoria Socialismului [73]). Trzecią Rzeszę Hitlera budował architekt Albert Speer, Stalin stworzył podwaliny socrealizmu, tymczasem marzeniem Ceauşescu było cesarskie forum łączące cechy stylów od asyryjskiego i babilońskiego do neogotyckiego. W urbanistycznym amoku wypatroszył centrum miasta

i doprowadził do zniszczenia bezcennych dzieł sztuki. Zastąpił je koszmarną scenografią, która nie pozostawiała złudzeń co do tego, że jej twórca stracił poczucie rzeczywistości. Chciałem tę makabreskę zobaczyć na własne oczy. Wybrałem się tam pewnego niedzielnego poranka. Zastałem tysiące robotników wykonujących mrówczą pracę. Nadzorowali ich mundurowi. Mijałem młodych ludzi, którzy maszerowali miarowo z łopatami na barkach. Tak zwani wolontariusze w rzeczywistości byli przymusową siłą roboczą na rzecz państwa. Wdałem się w dyskusję z milicjantem, który zabronił mi fotografować. Z myślą o budowaniu lansowanej przez propagandę Złotej Epoki zacierano ślady przeszłości. Od roku 1985 prace toczyły się dniem i nocą, również w niedziele. Według szacunków, obrócono w pył jedną czwartą architektonicznego dziedzictwa stolicy. Po trzynastu cerkwiach zostały zwały gruzu. Spycharek nie wstrzymano nawet przed średniowiecznym klasztorem Vacaresti, nie oszczędzono dwóch zabytkowych synagog. Wśród nielicznych ocalałych obiektów była szesnastowieczna cerkiew Mihai Vodă, którą przewieziono na kołach przy użyciu skomplikowanego mechanizmu. Cerkiew zamknięto potem dla wiernych i tak stała się symbolem tragicznego losu religii w kraju. Jak wiara przenosi góry, tak komunizm przenosił świątynie. Prawosławni patriarchowie byli zdruzgotani, ale w obliczu zagłady obiektów kultu publicznie nikt nie bił na alarm. Biskup prawosławny Nifon Mihăiţă w imieniu patriarchy przyznał, że to wysoka, ale nieunikniona cena modernizacji i urbanizacji kraju. W Rumunii nikt nawet nie pisnął, lecz poza jej granicami odczuwalny był pewien niepokój. UNESCO zamierzała wysłać do Bukaresztu komisję ekspertów, a amerykański Kongres zwrócił się do prezydenta Reagana z wnioskiem o cofnięcie Rumunii klauzuli najwyższego uprzywilejowania w handlu.

Był to pierwszy wyraźny sygnał początku końca idylli w kontaktach z Zachodem. Wujkowi Nicu osunęła się aureola, dzięki której na tle innych członków socjalistycznego obozu prezentował się jako lider odważny i niezależny. Zrzucił maskę, pod którą kryło się jego prawdziwe oblicze nowego Drakuli[74]. Przeciwstawianie się Moskwie nie było już tak łatwe, odkąd na Kremlu zasiadał Michaił Gorbaczow. Radziecki przywódca, który objął władzę w 1985 roku, zamierzał zreformować komunizm przy pomocy pierestrojki i głasnosti, jednak te nowoczesne slogany zderzyły się z brutalną rzeczywistością zwyrodniałego ustroju. Za czasów „starego dobrego” Breżniewa Ceauşescu mógł z łatwością krytykować ZSRR

i odrzucać dogmat ograniczonej suwerenności krajów bloku socjalistycznego. Jednak kiedy nowy sekretarz generalny KPZR głosił potrzebę zmian i rozpoczynał dialog z Zachodem, bukareszteński tyran napotykał trudności obiektywne; teraz to nie on był komunistycznym heretykiem i beniaminkiem kapitalistów, lecz ojciec pierestrojki. Obaj politycy odnosili się do siebie z dużą rezerwą, a nawet z wrogością. W rumuńskiej prasie informacje o wypowiedziach sowieckiego lidera ukazywały się z kilkudniowym opóźnieniem, w okrojonej i złagodzonej wersji. Reformy? „My przeprowadziliśmy je dużo wcześniej, nim Moskwa zaczęła o nich w ogóle mówić”, powiedział mi urzędnik MSZ w Bukareszcie, wzruszając ramionami. Głasnost? „Akredytowaliśmy setki zagranicznych dziennikarzy, czego jeszcze chcecie?”.

Maj 1987. Gorbaczow odbywa w Rumunii oficjalną wizytę. Wydarzenie budzi ciekawość i jest z uwagą śledzone przez zachodnie mass media. Z tej okazji reżim otwiera drzwi zachodnim reporterom. To zjawisko bez precedensu, więc skwapliwie korzystam z udogodnień, by móc na własne oczy zobaczyć rozciągnięty nad Karpatami hermetyczny i represyjny socjalizm stalinowski. Pierwsze oficjalne spotkanie na szczycie między Ceauşescu i Gorbaczowem odsłania kłębiący się pod powierzchnią konflikt.

Wcześniej Ceauşescu już kilkakrotnie skrytykował linię programową radzieckiej głowy państwa. W obliczu nadciągającej do imperium fali pierestrojki, *Conduçator* zamanifestował swoją nacjonalistyczną postawę i bronił przed Węgrami przyznanej Rumunii w 1947 roku Transylwanii, regionu zamieszkiwanego przez zwartą mniejszość węgierską. Dążenia do jednorodności etnicznej realizowano kosztem praw mniejszości. Ceauşescu prowokował zatargi z Węgrami. Konflikt dyplomatyczny między obu bratnimi krajami na forum międzynarodowym wybuchł podczas konferencji KBWE w Wiedniu, kiedy węgierskie władze, obok rządów zachodnich, głosowały za przyjęciem rezolucji potępiającej prześladowanie mniejszości etnicznych w Rumunii. Węgry były najbardziej zaangażowanym w reformy krajem bloku, działającym w pełnej zgodności z przeprowadzaną w ZSRR pierestrojką. Innymi słowy, konflikt między Ceauşescu a Gorbaczowem był wielowarstwowy, a zatem trudny do przezwyciężenia. Serwisy informacyjne na ten temat jednak milczały. Mówiono ogólnie o obustronnej woli kontynuowania współpracy na wszystkich płaszczyznach

i podkreślano, że rozmowy obu przywódców przebiegają pod znakiem wzajemnego szacunku i przyjaźni.

Kiedy przyjrzeć się pozornie drugorzędnym szczegółom oficjalnego spotkania przywódców, za fasadą poprawności można dostrzec pewne dysonanse. Znakomitego gościa przyjęto zgodnie z zasadami protokołu, ale w sposób całkowicie pozbawiony spontaniczności. Za szpalerem służb porządkowych ustawiono ludzi, do których należało machanie chorągiewkami i skandowanie ustalonych haseł. Żadnych uścisków rąk, żadnych ponadprogramowych rozmów Gorbaczowa ze zwykłymi ludźmi, choć kremlowski przywódca podczas swoich oficjalnych podróży miał to w zwyczaju. Tłum, owszem, wołał głośno jego nazwisko, ale przedtem zawsze wymieniano nazwisko Ukochanego Towarzysza. Największą konsternację wywołał kulminacyjny moment wizyty. Gdy Gorbaczow rozpoczął swoje przemówienie przed starannie wyselekcjonowanym gronem prominentów i członków aparatu partyjnego zebranych w monumentalnej Sali Kongresowej Domu Ludowego w Bukareszcie, po każdym zdaniu słuchacze podnosili się i wołali: „Ceauşescu, Gorbaczow!”. Tę szopkę kontynuowano również podczas wystąpienia *Conducătora*, ale jemu wyraźnie sprawiała ona przyjemność. Gorbaczow był zdegustowany. Zaczął zdradzać irytację, bo co chwila mu przerywano. W końcu stracił cierpliwość, uciszył publiczność i kazał jej usiąść. Zaskoczeni delegaci, zmuszeni do słuchania w milczeniu, spoglądali badawczo na kipiącego ze złości Ceauşescu, który z trudem nad sobą panował. Kiedy Gorbaczow mówił: „Towarzysze, rozumiem wasze troski i trudności, z jakimi borykacie się każdego dnia”, atmosfera w Sali Kongresowej gwałtownie się ochłodziła. Wypowiedź przywódcy ZSRR stała w ewidentnej sprzeczności ze słowami Wodza Narodu, który w przemówieniu powitalnym jak zawsze rozwodził się nad szczęściem i dobrobytem rumuńskiego narodu.

Jak bardzo naród był szczęśliwy i zadowolony ze swojego dostatniego życia, gość mógł się na własne oczy przekonać ostatniego dnia wizyty w Bukareszcie, kiedy u boku *Conducătora* uczestniczył w uroczystym otwarciu wielkich nowych delikatesów. Dwie głowy państwa na wycieczce w supermarkecie! Na półki wypełnione wszelkimi dobrami tysiące mieszkańców mogły tylko popatrzeć. W ich kraju taki widok nie był codziennością. Kiedy tylko rządowe delegacje zniknęły, ludzie rzucili się do sklepu jak potępieńcy, którzy nagle znaleźli się w konsumpcyjnym raju. Zostali powstrzymani przez siły porządkowe, przeciwko najbardziej

opornym użyto pałek. Uginające się półki były tylko ekspozycją pokazową dla radzieckiego gościa. Naród rumuński nie mógł liczyć nawet na iluzję dobrobytu. Pod rządami pełnego buty dyktatora nie było miejsca na manifestację niezadowolenia, ale pod powierzchnią wrzał gniew, bo podstawowe potrzeby nazbyt długo były lekceważone. Do erupcji mogło dojść w każdej chwili. 15 listopada 1987 roku w Braszowie robotnicy z Fabryki Ciężarówek „Czerwony Sztandar” (Steagul Roşu) wyszli na ulicę z protestem wobec reżimu i podpalili siedzibę RPK. Rewoltę brutalnie stłumiono. Ale to był dopiero początek. Głodna i upokorzona ludność nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

67 *Romania dietro la facciata: intervista a Paul Goma* (*Rumunia za fasadą. Wywiad z Paulem Gomą*), CSEO, Bolonia 1982, s. 14–15.

68 W tej dziedzinie Włochy były w niechlubnej czołówce. W latach 1978–1988 Ceauşescu mógł zredukować zagraniczne zadłużenie między innymi dzięki aktywnej wymianie handlowej z moim krajem: siedem bilionów lirów to na zachodnim rynku wynik rekordowy.

69 W swoich wspomnieniach wyjawia to Ion Mihai Pacepa, były szef Securitate, który pod koniec lat siedemdziesiątych zdezerterował i zbiegł do Stanów Zjednoczonych (*Czerwone horyzonty. Prawdziwa historia zbrodni, życia i upadku Nicolae Ceauşescu*, Litera, Warszawa 1990, s. 142).

70 Gheorghe Gheorghiu-Dej (1901–1965), rumuński przywódca komunistyczny, kolejno sekretarz generalny PCR, premier i przewodniczący Rady Państwa (przyp. tłum.).

71 Bywało, że w tej ostentacji kryła się metoda (przyp. tłum.).

72 Dzięki agentom lokowanym w RWE część z tych listów trafiała w ręce Securitate (przyp. tłum.).

73 Dom Ludowy (rum. Casa Poporului), obecnie Palatul Parlamentului (Pałac Parlamentu); Bulevardul Victoria Socialismului dziś nosi nazwę Bulevardul Unirii (przyp. red.).

74 Drakula to literacki przydomek Włada Palownika, znanego ze szczególnego okrucieństwa wołoskiego hospodara dawnej Transylwanii. W swojej ojczyźnie jest on bohaterem, a poza jej granicami budzi postrach jako hrabia-wampir.

CZĘŚĆ DRUGA

1989. ROK, W KTÓRYM HISTORIA POGNAŁA NAPRZÓD

Rozdział I
Warszawa. Nowi rycerze Okrągłego Stołu w poszukiwaniu Świętego Graala demokracji

„Nigdy nie mów nigdy”. Generał Jaruzelski, w nieodłącznych ciemnych okularach, wypowiada te słowa, a na jego twarzy tli się uśmiech, co nie jest częstym zjawiskiem. Przewodniczący Rady Państwa zgodził się spotkać z zagranicznymi dziennikarzami, a to ewenement. W warszawskiej siedzibie Polskiej Agencji Interpress, w burej kamienicy z widokiem na plac Zwycięstwa będącej tradycyjnym punktem zbornym korespondentów światowych mediów, przy ogromnej frekwencji odbywa się konferencja prasowa. Generał mówi o Solidarności i pluralizmie związkowym, używając słów, których przez lata swoich rządów unikał jak ognia – to już rzecz bez precedensu. Pytam go: „Panie generale, co się stało? Zarzekał się pan, że to rozdział definitywnie zamknięty, a teraz otwiera go pan na nowo?”. Jaruzelski odpowiada tytułem filmu o Jamesie Bondzie: „Nigdy nie mów nigdy. Każdy polityk powinien o tym pamiętać. Okoliczności się zmieniły, my się zmieniliśmy, zmienili się też nasi potencjalni partnerzy”. Przełom ten zapisano czarno na białym w czterostronicowej rezolucji przyjętej przez Plenum KC PZPR. Miała ona historyczne znaczenie. Rząd wyraził w niej gotowość do wprowadzenia pluralizmu związków zawodowych i do uznania Solidarności według procedur, które miały być przedmiotem rozmów przy Okrągłym Stole z udziałem przedstawicieli społeczeństwa.

Warszawa, 19 stycznia 1989 roku. Od ogłoszenia stanu wojennego i zdelegalizowania niezależnych związków zawodowych Lecha Wałęsy minęło prawie osiem lat. Tyle czasu było trzeba, by rząd przyjął do wiadomości fiasko swoich wysiłków zmierzających do ustabilizowania sytuacji w kraju. Władze państwa polskiego wykonały zatem krok wstecz, przedstawiając go jednak jako krok naprzód, zwycięstwem socjalizmu reformatorskiego, kamuflując oczywistą klęskę socjalizmu militarnego.

Generał miał przed sobą niełatwe zadanie – musiał pokonać silny opór najwyższej nomenklatury partyjnej. Wielu członków KC kategorycznie sprzeciwiało się ponownej legalizacji opozycyjnych związków, bo stały się one bohaterami ich sennych koszmarów. Toczące się w dniach 16–18 stycznia obrady drugiej części X Plenum KC PZPR były najdłuższymi i najbardziej burzliwymi w ciągu ostatnich lat. Przebiegały w napięciu i wyjątkowo dramatycznej atmosferze, potęgowanej demonstracjami tysięcy młodych ludzi, którzy protestowali przed domem partii. Rozdrażniony nieustępliwością znacznej części aktywu partyjnego Jaruzelski zagroził, że wraz z najbliższymi współpracownikami poda się do dymisji. W końcu członkowie KC, przyparci do muru perspektywą nagłej i niosącej wiele zagrożeń pustki na najwyższych szczeblach władzy, jednogłośnie (przy czterech głosach wstrzymujących się) udzielili generałowi i jego ekipie wotum zaufania. Batalia miała ciąg dalszy, kiedy rozpoczęły się dyskusje nad oficjalnym stanowiskiem wobec pluralizmu politycznego i związkowego. Ostatecznie przyjęto je 143 głosami „za”, 32 „przeciw”, przy 14 wstrzymujących się. Jaruzelskiego nie poparł więc jeden członek KC na czterech. Zrezygnowani i niezdolni już do efektywnych działań polscy komuniści wrócili do punktu wyjścia. Musieli wbrew sobie stanąć twarzą w twarz z tym samym przeciwnikiem, z którym zmierzyli się osiem lat wcześniej. To był moment, w którym dokonał się przełom i nie było szansy odwrotu. Wielki przewrót demokratyczny 1989 roku zaczął się od tego drobnego pęknięcia w zbroi czerwonej dyktatury – od kontrowersyjnej, przez wielu oprotestowanej i pod wieloma względami niejednoznacznej decyzji o rozpoczęciu rokowań z opozycją. Jaruzelski i jego ekipa „reformatorska” widzieli w tym szansę dla ratowania ustroju i otwarcia go na jakąś odmianę pluralizmu. Tymczasem zostali zmuszeni do kapitulacji, która stałą się początkiem końca wszystkich komunistycznych dyktatur Europy. W ciągu poprzednich kilku lat I sekretarz i jego ludzie sięgali po różne metody, by wykluczyć z gry Lecha Wałęsę, stosując na zmianę bezwzględne represje i wyciągając rękę: Jaruzelski najpierw ogłosił stan wojenny, potem otworzył się na dialog ze społeczeństwem; kiedy ograniczał swobody związkowe, powoływał się na pobudki patriotyczne. Jesienią 1986 roku ustami generała Kiszczaka ogłosił kolejną amnestię dla więźniów politycznych, dzięki której wyszło na wolność ostatnich dwustu dwudziestu pięciu opozycjonistów. Władza opracowała szeroko zakrojony program reform gospodarczych i politycznych, o których miało

zdecydować referendum rozpisane na listopad 1987 roku. Plan ten poparło ponad 60% głosujących, ale ze względu na niską frekwencję nie uzyskano wymaganej pozytywnej odpowiedzi od ponad połowy uprawnionych. Zgodnie z prawem wyniki głosowania nie mogły zostać uznane, ponieważ nie były głosem większości społeczeństwa. Referendum, które miało legitymizować linię polityczną Jaruzelskiego, okazało się jego miażdżącą porażką. Polacy na układ z nim nie poszli. Komunizm bardzo już im ciążył i nawet ambicje reformatorskie generała spotkały się z ogromnym sceptycyzmem. Polska była po stronie Solidarności, która będąc związkiem nielegalnym, aktywnie działała w podziemiu[75]. Istniała nie tylko w sercach rodaków, ale znajdowała też odzwierciedlenie w ich społecznej aktywności. Powstawały niezależne inicjatywy, organizacje kulturalne i różne stowarzyszenia zawodowe. Wydawano drukiem różnorodne źródła informacji alternatywnych wobec oficjalnych. Władze nie były w stanie tego procesu zahamować i w końcu musiały dać za wygraną. Przyznał to otwarcie jeden z czołowych prominentów PZPR Mieczysław Rakowski, który w tak zwanym *Tajnym referacie* napisał, że „opozycja antypezetpeerowska, nierzadko również skrajnie antysocjalistyczna, została milcząco (i nie tylko) przez nas uznana za obiektywnie istniejącą”[76]. W 1987 roku, kiedy do Polski z trzecią pielgrzymką przybył Jan Paweł II, znów zaczęło rozbrzmiewać hasło „Solidarność żyje!”. Tym razem Jego Świątobliwość miał szansę odwiedzić Gdańsk i Szczecin, gdzie w 1980 roku podpisano porozumienia, które powołały do życia niezależny ruch związkowy. Papież wspominał o nich w swoich przemówieniach, do robotników kierował podziękowania za walkę o pokój i podkreślał znaczenie Solidarności. „To słowo zostało wypowiedziane tutaj w nowy sposób i w nowym kontekście. I świat nie może o tym zapomnieć. To słowo jest waszą chlubą, ludzie polskiego morza”[77]. Kulminacyjny moment wizyty miał miejsce w robotniczej dzielnicy Zaspa, gdzie papieża przywitał owacjami wielotysięczny tłum wiernych. Na zakończenie mszy Jan Paweł II powiedział: „Codziennie się modlę za moją Ojczyznę i modlę się za ludzi pracy, i modlę się za to szczególne, wielkie dziedzictwo polskiej Solidarności”[78]. Podczas kolejnego pobytu na Wybrzeżu, dwanaście lat później, w 1999 roku zaznaczył, że mówił nie tylko do nich, ale również w ich imieniu. Jan Paweł II czuł się wyrazicielem woli polskiego narodu i jako taki upominał władze, że nie można iść naprzód i mówić o żadnym postępie, jeśli w imię społecznej solidarności nie będą do końca szanowane

prawa człowieka. Między papieżem a generałem relacje były napięte, co było odczuwalne nawet w oficjalnych przemówieniach. Z ust generała papież usłyszał: „Wasza Świątobliwość wkrótce pożegna Ojczyznę, zabierze ze sobą jej obraz w sercu. Lecz zabrać przecież nie może jej realnych problemów”[79]. Jaruzelskiego ciągłe upomnienia wyraźnie już irytowały. Podczas gdy pierwsza wizyta duszpasterska Ojca Świętego w Polsce w 1979 roku była pielgrzymką nadziei, a druga pielgrzymką odrodzenia, to odwiedzając kraj po raz trzeci, Jan Paweł II ponownie odwołał się do fundamentów moralnego i społecznego oporu, który w ciągu dwóch najbliższych lat miał zostać ukoronowany zwycięstwem.

W 1988 roku w polskich środowiskach robotniczych znów odżyły antypaństwowe nastroje. Podobnie jak poprzednio, punktem zapalnym stały się podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby. Dekretem rządu z 1 lutego produkty spożywcze podrożały o 40%, transport publiczny o 50%, benzyna o 60%. Emeryci i rodziny wielodzietne na żywność wydawały średnio 80% swoich dochodów. Inflacja osiągała rekordowe wskaźniki. Za dolara na czarnym rynku płacono dwa tysiące złotych, chociaż jeszcze na początku stycznia było to tysiąc pięćset złotych. Zagraniczne długi państwa, które w 1981 roku wynosiły dwadzieścia pięć miliardów dolarów, zwiększyły się do trzydzieści pięć miliardów, a według prognoz pod koniec dziesięciolecia miały osiągnąć rekordowe czterdzieści miliardów. Nie mówiono już o kryzysie, lecz o zapaści. Sytuacja gospodarcza kraju nosiła jej wyraźne znamiona. Wydawało się, że trudno będzie o skuteczne panaceum. W wielu zakładach pracy robotnicy znów zwarli szeregi i zażądali podwyżek płac. Rząd powstrzymywał ferment starą jak świat metodą kija i marchewki. Z jednej strony wychodził naprzeciw żądaniom strajkujących, z drugiej używał wobec nich siły. W maju fala strajków osiągnęła kulminację – tysiące robotników okupowało Stocznię Gdańską. Nie zadowolili się kilkuzłotową jałmużną, żądali ponownego zalegalizowania Solidarności. Na pierwszy rzut oka wydarzenia jako żywo przypominały Sierpień ’80: na bramie stoczni zawisł wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej i papieża Polaka, a obok było widać zafrasowaną twarz Wałęsy i jego doradców zabiegających o rozmowy. Z bliska sprawy wyglądały nieco inaczej. Tym razem na zewnątrz nie stał popierający robotników tłum, lecz gęsty kordon milicyjnych jednostek bojowych wysłanych do stłumienia protestu. W murach stoczni nie było członków Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i gotowych do negocjacji przedstawicieli rządu. Po dziewięciu

dniach Wałęsa ogłosił koniec strajku, mimo że niczego nie uzyskał, a robotnicy w pątniczym pochodzie opuścili stocznię i udali się do kościoła św. Brygidy. Tę bitwę Solidarność przegrała, ale nie był to koniec wojny. Impas trwał już siódmy rok. Komunistyczny rząd deklarował reformy i wolę porozumienia społecznego, ale odmawiał dialogu z przedstawicielami związków, a to z ich ideałami utożsamiała się przytłaczająca większość Polaków. Kiedy zapytałem Wałęsę, co myśli o odnowie, czyli haśle powtarzanym jak mantra przez reżimową propagandę, skomentował to ironicznie: „Wiele pięknych słów, jak »demokracja« i »pluralizm« zmienia swoje znaczenie, jeśli obok nich występuje przymiotnik »socjalistyczny«". Nie mogąc liczyć na poparcie społeczeństwa, Jaruzelski próbował wykorzystać zmianę politycznego kursu w ZSRR. W lipcu 1988 roku Gorbaczow przyjechał z oficjalną wizytą do Polski, wykonując kilka symbolicznych gestów, które miały istotne znaczenie dla dialogu. W Krakowie sekretarz generalny KC KPZR odwiedził Bazylikę Mariacką. Był pierwszym przywódcą radzieckim, który przekroczył próg polskiego kościoła. W Szczecinie rozmawiał z przedstawicielami Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego. Zapewniał: „Wasze reformy są naszymi reformami". Nie zwracał się do Solidarności, tylko do towarzysza Jaruzelskiego, wykorzystując okazję do publicznego wyrażenia aprobaty dla generała. W kraju hasłami propagandowymi były teraz „odnowa" i „przebudowa" (przebudowa to polski odpowiednik pierestrojki). W Warszawie Gorbaczow spotkał się z intelektualistami, w gronie których było wielu przyjaciół niezależnych związków. Zachęcił ich, by byli realistami. Według Andrzeja Wielowieyskiego, jednego z najbardziej cenionych przedstawicieli polskiej inteligencji katolickiej, odpowiedzialnego za opracowanie „paktu antykryzysowego" między Solidarnością a rządem, przemówienie rozczarowywało. W przekonaniu opozycjonisty wypowiedź Gorbaczowa łudząco przypominała słowa, którymi przed wybuchem powstania styczniowego car Aleksander II zniechęcał Polaków do jakichkolwiek zrywów niepodległościowych: „żadnych marzeń, panowie". Inaczej mówiąc, jeśli oczekujecie zmian, idźcie za radzieckim przykładem i nie porywajcie się na ekscentryczne plany odżegnujące się od socjalizmu. W gruncie rzeczy to na tym opierało się przesłanie Gorbaczowa. Skądinąd, klimat przemian w Moskwie miał dla Warszawy niebagatelne znaczenie, bowiem definitywnie oddalał groźbę sowieckiej interwencji. Co do innych

kwestii, należało porzucić złudzenia – rzecznik rządu Jerzy Urban, z właściwą sobie arogancją – nam, dziennikarzom, dobrze już znaną – dobitnie powtórzył, że Solidarność należy do przeszłości.

Wbrew oficjalnym deklaracjom, ścisłe grono współpracowników Jaruzelskiego zdawało sobie sprawę, że sytuacja stała się nie do przyjęcia. Gospodarka pogrążona była w stagnacji, a społeczne niezadowolenie narastało. Protesty robotników były dopiero na początkowym etapie – w sierpniu 1988 roku kraj zalała kolejna fala strajków, znacznie bardziej nasilonych. Również tym razem epicentrum konfliktu była Stocznia Gdańska. Szef resortu spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak groził godziną milicyjną i zastosowaniem innych nadzwyczajnych środków dla przywrócenia porządku. W tym czasie, za kulisami, doradcy Wałęsy i Jaruzelskiego rozpoczęli burzliwe pertraktacje. 31 sierpnia, dokładnie po ośmiu latach od podpisania Porozumień Gdańskich, Polska wkroczyła na drogę dialogu. Kiszczak i Wałęsa odbyli w Warszawie ponad trzygodzinne spotkanie i zawarli umowę o globalnych negocjacjach między rządem a opozycją. Tak zapadła decyzja o spotkaniu przy Okrągłym Stole. Rząd w oficjalnym komunikacie uprzedził, że szczegóły rozmów będą jeszcze doprecyzowane. Konferencja Episkopatu, która w pewnym sensie była gwarantem porozumienia między Kiszczakiem a Wałęsą, we własnym komunikacie dodała, że rozmowy będą dotyczyły reform i pluralizmu związków zawodowych oraz że nie będzie żadnych tematów tabu. Obaj interlokutorzy mieli barwne życiorysy. Kiszczak, człowiek z bliskiego kręgu Jaruzelskiego, współautor stanu wojennego, i Wałęsa, siła napędowa wolnych związków, po raz pierwszy spotkali się 9 listopada 1982 roku, kiedy przywódca opozycji przebywał w ośrodku internowania w Arłamowie. Kilka dni później został zwolniony, bo reżim uznał go za postać bez znaczenia. Jednak dla społeczeństwa był legendą, popartą międzynarodowym uznaniem, które w 1983 roku przypieczętowała Pokojowa Nagroda Nobla. Wrócił do pracy w stoczni na stanowisku elektryka. „Zwycięstwo będzie nasze”, powtarzał mi, ilekroć przeprowadzałem z nim wywiad. To „człowiek z żelaza”, zdecydowany toczyć swoją walkę z oderwanym od życia reżimem. Był cierpliwy i opanowany, ale nie zamierzał ustąpić nawet o krok. Dokładnie w rocznicę powstania Solidarności, człowiek, o którym ustrojowa propaganda mówiła „zwykły obywatel Lech Wałęsa”, został liczącą się stroną w rozmowach ze zmuszonym do negocjacji z opozycją rządem. Były więzień polityczny

stanął oko w oko ze swoim prześladowcą, jednak w tym przypadku gra toczyła się nie o wolność jednego człowieka, lecz o wolność całego narodu. Rozpoczął się trudny pojedynek, w którym stosowano również nieczyste zagrywki. Sześćdziesięciotrzyletni Kiszczak był zatwardziałym komunistą z pierwszego rozdania. Robił błyskotliwą karierę w służbach specjalnych, w końcu został generałem broni, stając się najbliższym współpracownikiem Wojciecha Jaruzelskiego, u boku swojego towarzysza pełniąc rolę ważnego stratega. Od lata 1981 roku był ministrem spraw wewnętrznych, potem członkiem Biura Politycznego KC PZPR i WRON-u. Naczelny organizator kampanii represyjnej przeciwko Solidarności, dobrze się prezentujący i dumnie noszący wojskowy, zapracował na reputację „twardej sztuki" (prasa anglosaska nazywała go *gentleman-jailer*[80]). Z punktu widzenia reżimu był więc człowiekiem idealnie nadającym się do pertraktacji z wrogami ustroju. Wałęsa był dobrej myśli, mimo że odwołując strajk, naraził się grupie robotników nieufnych wobec negocjacji z rządem. Następnego dnia, po spotkaniu z ministrem Kiszczakiem, z jego ust usłyszałem: „Dialog był jedyną drogą wyjścia z gospodarczej zapaści i politycznego marazmu. Nie chciałem z nim rozmawiać o przeszłości, lecz o przyszłości. Nie targa mną żądza odwetu. W ostatnich latach wszyscy się czegoś nauczyliśmy. Teraz musimy patrzeć przed siebie". Lech Wałęsa dążył przede wszystkim do ponownego zalegalizowania Solidarności. Wierzył, że jest już bardzo blisko celu. Mówił to profetycznym tonem podczas pielgrzymki na Jasną Górę, stojąc na czele pięćdziesięciu tysięcy polskich ludzi pracy. „Za rok wrócimy tu podziękować Matce Bożej za odzyskanie wolności naszego związku". W nadchodzących miesiącach miały się odbyć tajne spotkania i mozolne negocjacje. Prowadzono je między innymi w obiekcie rządowym w ukrytej w lesie willi w podwarszawskiej Magdalence. Ekipa Jaruzelskiego liczyła się z tym, że reformy gospodarcze nie będą możliwe do przeprowadzenia bez zmian politycznych. Doszło do przetasowań personalnych. Na początek do dymisji podał się gabinet Zbigniewa Messnera, którego obarczano odpowiedzialnością za fiasko reform gospodarczych. Na jego miejsce powołano ekipę Mieczysława Rakowskiego, jednego z najbliższych współpracowników I sekretarza. Ale najlepsze miało dopiero nadejść. Pierwszoligowy członek Politbiura, Marian Orzechowski, w artykule zamieszczonym w „Trybunie Ludu" napisał wprost, że „klucz do rozwiązywania polskich problemów i dylematów znajduje się ciągle

w rękach partii. Jego wykorzystanie dla dobra klasy robotniczej, narodu i socjalistycznego państwa zależy przede wszystkim od: odwagi partii w świadomym »samoograniczeniu« jej władztwa i zakresu sterowania procesami społecznymi (...)”[81]. W tej urzędniczej frazie krył się absolutny przełom w marksistowsko-leninowskiej doktrynie – rezygnacja partii z monopolu władzy. Komuniści ostro zaoponowali. Alfred Miodowicz, zapalczywy przewodniczący OPZZ, zażądał telewizyjnej debaty z Lechem Wałęsą. Odbyła się ona 30 listopada na oczach milionów niedowierzających Polaków. „Nie bójcie się pluralizmu. (...) To ostatnia okazja przeprowadzenia reform”, mówił Wałęsa tonem spokojnym, ale bardzo stanowczym. Przeciwnik wyjąkał tylko: „Mimo braku pluralizmu idziemy w tym kierunku”. Tu gdański elektryk wygłosił kąśliwą ripostę: „Idziecie krok po kroku piechotą, a tu samochodami świat jedzie, jak będziecie tak szli, to będziemy mieli efekty za dwieście, trzysta lat”. Lider Solidarności, na siedem lat odsunięty na boczny tor, nieoczekiwanie został zrehabilitowany, stając się niekwestionowanym zwycięzcą telewizyjnego pojedynku.

Polska zima z przełomu lat 1988 i 1989 była ekscytująca i nieco surrealistyczna. Bez zastanowienia pojechałem do Warszawy. Biegałem po urzędach, dopóki nie uzyskałem pozwolenia na pobyt. Poszczęściło mi się, bo znalazłem mieszkanie w samym centrum miasta, przy ulicy Królewskiej, przylegającej do placu Zwycięstwa. Obserwując wydarzenia, czułem się jak wciągnięty do filmu, który zaskakiwał mnie ciągłymi zwrotami akcji. Codziennie następował jakiś przełom i nikt nie znał zakończenia. Biuletyny podziemnej Solidarności były swobodnie kolportowane, a z przywódcami opozycji chcieli rozmawiać nawet dziennikarze prasy reżimowej. Wałęsa zmobilizował elity intelektualne niezależnego ruchu związkowego i przywódców podziemia. Z ich udziałem utworzył Komitet Obywatelski. Jego zadaniem było opracowanie strategii postępowania przy Okrągłym Stole. Po drugiej stronie barykady stał Jaruzelski. Po tym, jak z trudem nakłonił Komitet Centralny, by wyraził zgodę na negocjacje, musiał przekonać jeszcze państwowy związek zawodowy, który odmawiał zasiadania przy jednym stole z Solidarnością. W tej pełnej paradoksów Polsce doszło również do tego, że w Hucie Warszawa komunistyczna organizacja związkowa ogłosiła protest przeciwko rozmowom przy Okrągłym Stole. OPZZ wydrukowało ulotki wzywające do postawienia się władzy. Konfrontacja nie odbywała się tylko między rządem a wolnymi

związkami, konflikt interesów dotknął również partię komunistyczną. Po długich dyskusjach został spacyfikowany nawet przewodnik „betonów", Alfred Miodowicz, który nie miał już innego wyjścia, jak tylko przystąpić do rokowań.

Obrady przy Okrągłym Stole rozpoczęły się 6 lutego. W Sali Kolumnowej Pałacu Namiestnikowskiego, w którego białym neoklasycystycznym gmachu podpisany był też Układ Warszawski, utworzono podwalinę pod porozumienie nie mające precedensu w historii krajów bloku komunistycznego. Wokół masywnego dębowego stołu, z bukietem białych i czerwonych goździków w środku, zajęło miejsca pięćdziesiąt siedem osób, wśród których byli przedstawiciele rządu, opozycji, członkowie partii i ludzie Solidarności, intelektualiści i duchowni. Na Krakowskim Przedmieściu zgromadził się głośny, ale pokojowo nastawiony tłum. Powiewały transparenty z wyrazami poparcia dla niezależnych związków. Po raz pierwszy od wielu lat głośno wypowiadane słowo „Solidarność" nie wywołało interwencji służb porządkowych, które tym razem stały na uboczu i tylko prosiły manifestantów o utworzenie przejścia kolejnym delegacjom. Czarne limuzyny rządowe witano gwizdami. Wałęsa i jego ludzie przyszli pieszo. Byli wyraźnie przejęci. Z trudem przeciskali się przez wiwatujący tłum, bo każdy chciał uścisnąć im dłoń. Nie zabrakło wojowniczo nastawionej młodzieży, skandującej: „Precz z komuną!".

Przy stole, który był miejscem historycznych rozmów, dominowały przede wszystkim oczekiwania i nadzieje, ale można było wyczuć też klimat nieufności. Lech Wałęsa mówił: „Wypowiadamy uroczyste słowa, a Polsce teraz potrzebne są fakty, potrzebne są odważne decyzje i mądre, energiczne działanie. Przez całe 40-lecie płynęły słowa i co z tego wynikło?". Przywódca wolnego związku z determinacją dążył do osiągnięcia nadrzędnego dla niego celu: „Chcemy Solidarności i mamy do niej prawo". Obok Wałęsy siedzieli jego dwaj zaufani doradcy, Mazowiecki i Geremek. Na liście dwudziestu pięciu delegatów Solidarności znaleźli się też Kuroń i Michnik, wielokrotnie aresztowani „ekstremiści", których rząd nie chciał dopuścić do obrad, ale ostatecznie musiał ustąpić. Spośród intelektualistów przy Okrągłym Stole znalazł się Jerzy Turowicz, redaktor naczelny krakowskiego katolickiego „Tygodnika Powszechnego". Liczną delegacją z ramienia rządu kierował generał Czesław Kiszczak. W swojej

mowie apelował o „kredyt zaufania”, który wspomoże „racjonalny kompromis, leżący w interesie wszystkich Polaków”.

W charakterze obserwatora uczestniczył w obradach, rzecznik Episkopatu Polski i późniejszy biskup Alojzy Orszulik, dowodząc, że Kościół katolicki w negocjacjach odgrywa ważną rolę.

Okrągły Stół widziany z góry przypomina wielki pierścień. Przedstawiające go zdjęcie wywołało żywy rezonans na całym świecie, nie wyłączając Europy Wschodniej. W tym samym czasie węgierski parlament podczas nadzwyczajnego posiedzenia głosował nad ustawą o politycznym pluralizmie, która była ostrożną próbą otwarcia drogi innym ugrupowaniom. Państwa bloku sowieckiego zaczęły się od siebie oddalać, bo część z nich szukała nowych kierunków rozwoju, inne zaś jeszcze bardziej zamykały się przed zmianami. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy otrzymałem zaproszenie do Teatru Powszechnego w Warszawie na sztukę Václava Havla[82], którego komuniści niedawno skazali na dziewięć miesięcy więzienia. Moje zdumienie było jeszcze większe, kiedy na widowni, w pierwszym rzędzie, obok wielu przedstawicieli Solidarności, dostrzegłem premiera Rakowskiego. Działy się rzeczy naprawdę niepojęte. Radziecki tygodnik „Nowoje Wremia” opublikował wywiad z Lechem Wałęsą (gdański elektryk z moskiewskim dziennikarzem spotkał się w rozmównicy jednego z warszawskich klasztorów).

Władze zaczęły uznawać przywódcę Solidarności za osobę publiczną. Na drzwiach pokoju numer 175 w Hotelu Europejskim widniała tabliczka z informacją, że mieści się tu biuro prasowe Lecha Wałęsy. W korytarzach tego niegdyś znakomitego, dziś już podupadłego hotelu[83] wisiały zdjęcia z manifestacji organizowanych przez Solidarność, która formalnie wciąż działała poza prawem. Równolegle do obrad Okrągłego Stołu kontynuowano rozmowy w Magdalence. O pluralizmie związkowym i politycznym oraz o gospodarczych i społecznych reformach dyskutowały trzy zespoły robocze. Opozycja żądała przede wszystkim relegalizacji niezależnego związku. Władze były na to gotowe, jednak pod warunkiem, że będzie on nadal powiązany z systemem ustrojowym, co było jawną próbą osłabienia wpływów przeciwnika. Na tym tle doszło do konfliktu. Władzom zależało, żeby przyspieszone wybory zostały przeprowadzone jak najszybciej, ale udział kandydatów Solidarności miał być w nich ograniczony. Była to polityczna cena, którą musiała zapłacić opozycja.

Z ostatecznie zawartego kompromisu wynikało, że w czerwcu odbędą się częściowo wolne wybory do Sejmu oraz do Senatu, nowo przywróconej izby, do której będą mogli kandydować wszyscy obywatele polscy. 65% sejmowych mandatów (299 miejsc na 460 posłów) zarezerwowano dla członków PZPR i partii satelickich, pozostałe 35% dla „bezpartyjnych", czyli kandydatów opozycji. Senatorowie (100 mandatów) mieli być wybrani w całkowicie wolnych wyborach. Była to pierwsza w pełni demokratycznie wybrana izba reprezentantów w komunistycznym kraju. Przewidziano również przywrócenie urzędu prezydenta i rozszerzenie jego uprawnień. Głowę państwa miał wybrać nowy parlament.

Obrady Okrągłego Stołu zakończono podpisanym 5 kwietnia porozumieniem. Hasło przewijające się podczas protestów Polaków w ostatnich latach – „Nie ma wolności bez Solidarności" – Lech Wałęsa powtórzył podczas przemówienia końcowego. Tłumaczył: „To jest prawda, do której doszliśmy dzięki rozmowom przy Okrągłym Stole". W dziejach Polski rozpoczął się nowy etap, mimo że jego kształt wciąż stał pod znakiem zapytania. W przekonaniu Jaruzelskiego socjalizm można było pogodzić z pluralizmem, a doktrynę marksistowską z realizacją swobód obywatelskich i politycznych. W osiągniętym z komunistyczną władzą porozumieniu Solidarność widziała jednak początek procesu gruntownych przemian. Bronisław Geremek, uznany historyk i strateg wolnych związków, stwierdził, że Polsce taka kulawa demokracja na razie musi wystarczyć. Wokół obrad przy Okrągłym Stole krążyła spiskowa teoria, w świetle której układ był zgniłym kompromisem, zawierał ustępstwa na niekorzyść związkowców i był wynikiem manipulacji wywiadu, knującego intrygi z najbardziej wpływowymi doradcami Wałęsy, tak zwaną żydokomuną w osobach Geremka, Michnika i Kuronia. Innymi słowy, Solidarność rzekomo wyparła się swoich ideałów i podzieliła się władzą z wrogiem, zamiast z nim walczyć[84]. Od samego początku krążyły również rozmaite spekulacje wokół tego, co naprawdę wydarzyło się w Magdalence. Najdalej idące insynuacje płynęły z wąskich środowisk radykałów, którzy nie popierali dialogu z komunistami. Wałęsa za każdym razem wszystko kategorycznie dementował: „Już setki razy przysięgałem, że żadne układy i żadna zdrada nie została tam popełniona w mojej obecności. (...) Nie daliśmy się w nic wrobić". W argumentacji powołał się również na fakt, że w Magdalence obecni byli kościelni hierarchowie: „To nie przypadek, że zawsze starałem się, aby w takich rozmowach brali udział przedstawiciele

Kościoła jako autorytety i świadkowie, aby właś- nie w takich sytuacjach nie zarzucano nam działań nieprzejrzystych czy nawet zdrady”[85].

Nie było „dobrej” Solidarności 1980 roku i „złej” Solidarności 1989 roku. Ruch zawsze miał charakter pokojowy, był otwarty na debatę z władzą, ale konsekwentnie bezkompromisowy wobec żądań wolności i niezależności dla związku. Swoją determinacją zmusił rząd do negocjacji, co w państwie totalitarnym było nie do pomyślenia. Skądinąd, jeśli z perspektywy czasu porównać to, co wolne związki zdołały wyegzekwować od Jaruzelskiego wiosną 1989 roku z upadkiem komunistycznych reżimów pod koniec tamtego roku, postulaty Solidarności mogą się wydać umiarkowane i bardzo ostrożne. Nie wolno jednak zapominać, że stalowa czerwona dyktatura uważana była wówczas za niepokonaną, a droga do wolności wydawała się długa i wyboista. Nowi rycerze Okrągłego Stołu nie przewidywali, że Świętego Graala demokracji w ciągu kilku miesięcy będą mieć w zasięgu ręki. Kierując się tylko intuicją, postanowili przyjąć te niewielkie ustępstwa władz za dobrą monetę. W tygodniach poprzedzających czerwcowe wybory, w całej Polsce, od wielkich miast po najmniejsze wioski, powstawały Komitety Obywatelskie Solidarności, które – mimo skromnych środków – z zapałem angażowały się w kampanię przedwyborczą. W ugiętej pod ciężarem komunizmu całej Europie Wschodniej była ona czymś absolutnie unikatowym. W powszechnej mobilizacji wzięły udział parafie, KIK-i, organizacje studenckie i środowiska kulturalne. Powstał pierwszy na Wschodzie Europy niezależny dziennik o wiele mówiącym tytule „Gazeta Wyborcza”. Jej naczelnym został Adam Michnik, historyk, publicysta, opozycjonista, który miał za sobą wiele lat politycznej odsiadki. Kraj był obwieszony plakatami zachęcającymi do oddania głosu na Solidarność. Jeden z nich miał szczególną wymowę i stał się symbolem tej nadzwyczajnej kampanii. Przedstawiał Gary’ego Coopera w roli szeryfa Willa Kane’a, bohatera słynnego westernu *W samo południe*, ze znaczkiem Solidarności na piersi, który pewnym krokiem wychodzi na decydujące starcie, uzbrojony tylko w kartę do głosowania, najważniejsze narzędzie demokracji[86].

Spotkaniom przedwyborczym towarzyszyły rozmaite wydarzenia artystyczne. W kampanii wzięły udział międzynarodowe gwiazdy: Jane Fonda, Nastassja Kinski, Yves Montand oraz ikona amerykańskiego folku, Joan Baez. Wystąpił też Stevie Wonder, więc nie mogłem przegapić okazji,

żeby go posłuchać na żywo. Niewidomy gwiazdor śpiewał w duecie z Jackiem Kuroniem, korpulentnym jegomościem z przepalonym nikotyną głosem. Przy aplauzie rozbawionej widowni wykonali razem *I Just Called to Say I Love You*. Na tle tego radosnego festynu komunistyczna agitacja wydawała się jeszcze bardziej ponura. PZPR zagwarantowała sobie większość w parlamencie, ale nie doceniła potęgi Solidarności i jej siły jednoczenia ludzi. Kiedy partyjni prominenci to zrozumieli, było już za późno na odwrót.

75 Według relacji Bogdana Borusewicza, jednego z czołowych działaczy Solidarności, w okresie po jej delegalizacji w podziemnych komórkach aktywnych było tysiące członków. W lutym 2009 roku (był wtedy marszałkiem Senatu) powiedział mi: „Udało nam się wtedy nawiązać kontakt z sowieckimi dysydentami i maszyny drukarskie do podziemnych drukarni wywieźliśmy aż do Mongolii!”.

76 M.F. Rakowski, *Uwagi dotyczące niektórych aspektów politycznej i gospodarczej sytuacji PRL w drugiej połowie lat osiemdziesiątych*, „Myśl”, Warszawa 1988, s. 27. Dokument powstał jesienią 1987 roku, na rok przed nominacją Rakowskiego na szefa rządu.

77 Gdynia, 11 czerwca 1987, przemówienie podczas spotkania z ludźmi morza na skwerze Kościuszki, w: *Jan Paweł II w Polsce*, PAX, Warszawa 1991, s. 628 (przyp. tłum.).

78 Słowo Ojca Świętego po zakończeniu mszy świętej dla ludzi pracy, w: op. cit., s. 663 (przyp. tłum.).

79 Przemówienie generała wygłoszone podczas ceremonii pożegnania Jana Pawła II na lotnisku Okęcie 14 czerwca 1987 roku, w: op. cit., s. 734 (przyp. tłum.).

80 W swobodnym tłumaczeniu „oprawca-dżentelmen” (przyp. tłum.).

81 „Trybuna Ludu”, 6 września 1988.

82 25 listopada 1989 roku odbyła się re-premiera dwóch jednoaktówek Václava Havla, *Audiencja i Protest*, w reż. Feliksa Falka. Poprzednio zostały wystawione w 1981 roku, w tej samej reżyserii i obsadzie (przyp. tłum.).

83 W 2014 roku rozpoczęła się rewitalizacja hotelu połączona z gruntowną przebudową (przyp. tłum.).

84 Taką tezę przedstawiła grupa młodych historyków z powołanego do życia w 1998 roku Instytutu Pamięci Narodowej. Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk w 2008 roku wydali książkę *SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii*, w świetle której Lech Wałęsa w latach siedemdziesiątych współpracował z bezpieką. Lider Solidarności z całych sił zaprzeczał temu zniesławiającemu go oskarżeniu, a fałszywość zarzutów została później uznana przez sąd. Autorzy publikacji powołują się na sfabrykowane lub nieistniejące źródła, więc ich autentyczność jest wątpliwa. Gdyby zarzuty miały być prawdziwe, trudno zrozumieć, dlaczego SB nie wykorzystała tej wiedzy w latach 1980–1981, by już wtedy skompromitować przywódcę opozycyjnej Solidarności.

85 L. Wałęsa, *Droga do prawdy. Autobiografia*, Świat Książki, Warszawa 2008, s. 270.

86 Podczas uroczystości z okazji przystąpienia Polski do NATO w marcu 1999 roku minister spraw wewnętrznych Bronisław Geremek wspomniał o plakacie jako o jednej z pamiątek drogi, która doprowadziła Polskę do wolności.

Rozdział II
Polska. Eutanazja ustroju

W korytarzach warszawskiego Liceum im. Juliusza Słowackiego, w którym znajduje się jedna z obwodowych komisji wyborczych, panuje ożywienie. Ustawiła się długa kolejka. Wielu wyborców swój patriotyczny obowiązek woli wypełnić wygodnie przy stole, a nie na stojąco w kabinie. Ordynacja jest dość skomplikowana, a kart do głosowania wiele, jednak już samo oddawanie głosów nie nastręcza trudności. Członkowie komisji wyborczej cierpliwie objaśniają znaczenie kolorystyki kart do głosowania. Białe zawierają nazwiska kandydatów do Sejmu i są odrębne dla każdego mandatu z danego okręgu, różowe są przeznaczone dla Senatu. Oddzielnie wydrukowano tak zwaną listę krajową. Widnieją na niej nazwiska grubych ryb z PZPR i jej formacji satelickich. Aby oddać ważny głos, należy wykreślić nazwiska odrzuconych kandydatów. Rozglądam się i wszędzie widzę to samo: zamaszyste ruchy długopisów wymazujących wszystkie nazwiska z listy krajowej. Polacy dokonują eliminacji z wielkim spokojem i znajdują szczególną przyjemność w robieniu tego całkowicie jawnie. Głosując na kandydatów z puli bezpartyjnej, ludzie wymieniają opinie. Mężowie porozumiewają się z żonami, dzieci z rodzicami. Ktoś pyta głośno: „Czy to jeden z naszych?”. Nie trzeba wyjaśniać, że „nasi” to kandydaci wysunięci przez Solidarność. Niektórzy są wzruszeni, bo głosują pierwszy raz w życiu, mimo że mają czterdzieści i więcej lat. Dominuje odświętna atmosfera. Jest tu gromadka dzieci, które przyszły z rodzicami prosto z niedzielnej mszy. Głosowanie przebiega bez najdrobniejszych zakłóceń, panuje porządek i dyscyplina. Podobnie jest w innych komisjach wyborczych. My, przedstawiciele zagranicznych mediów, legitymujący się akredytacją umożliwiającą śledzenie wyborów, jesteśmy witani niezwykle serdecznie.

Warszawa, 4 czerwca 1989 roku, niedziela. Chociaż dzień jest pochmurny, to napełnia Polaków nową nadzieją. Przeczucie, że niebawem wszystko się zmieni, potwierdzają wyniki głosowania. Pierwsze częściowo wolne wybory w powojennej Polsce przypieczętowują koniec czerwonej

dyktatury, do którego doprowadziła pełna determinacji ofensywa Solidarności. Po przeszło czterdziestu latach monopartyjnych komunistycznych rządów obywatele dostali szansę wyboru, mimo że częściowo ograniczonego. Głosowanie okazało się plebiscytem rozstrzygniętym na korzyść opozycji i policzkiem wymierzonym dotychczasowej władzy. Ludzie Solidarności zdobyli wszystkie 161 mandatów przeznaczonych dla kandydatów bezpartyjnych w Sejmie. Już w pierwszej turze wyłoniono 160 posłów, z poparciem oscylującym między 70 a 80% (ostatni mandat opozycja wywalczyła 18 czerwca, w drugiej turze). W całkowicie wolnych wyborach do Senatu Solidarność była o krok od pełnego zwycięstwa, zdobywając 99 mandatów na 100 (92 w pierwszej turze, 7 w drugiej). Zwycięstwo opozycji dla komunistów oznaczało fiasko na całej linii – w pierwszej turze zdobyli oni zaledwie 5 z 299 tworzonych z myślą o koalicji rządzącej mandatów poselskich. Ci, którzy nie otrzymali bezwzględnej większości głosów, przeszli do tury drugiej. Najbardziej spektakularną klęskę poniosła lista krajowa zawierająca nazwiska 35 tuzów reżimu: m.in. premiera Rakowskiego i ministra Kiszczaka, członków Biura Politycznego PZPR i innych bliskich współpracowników Jaruzelskiego – Józefa Czyrka i Stanisława Cioska. Nie weszli do parlamentu, mimo że nie mieli kontrkandydatów; uzyskali liczbę głosów ledwo przekraczającą próg wyborczy. Opracowując ordynację wyborczą, władze były tak pewne swoich kandydatów, że nie przewidziały dla nich drugiej tury wyborów, czym dowiodły, że w ogóle nie wzięły pod uwagę, iż ogromna większość wyborców będzie z satysfakcją wykreślać nazwiska z listy krajowej. Do Sejmu dostał się tylko członek Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego Mikołaj Kozakiewicz oraz prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego Adam Zieliński (obaj pod wieloma względami krytyczni wobec rządu). Ustrój, który nigdy nie działał z woli narodu, został bezapelacyjnie odrzucony, całkowicie zdyskredytowany już podczas pierwszego oficjalnego starcia. Poczucie przegranej malowało się na twarzy Jana Bisztygi, rzecznika prasowego KC PZPR, któremu przypadło w udziale niewdzięczne zadanie skomentowania wyniku wyborów w telewizji. „Koalicja zdecydowała się na demokratyczne – w porównaniu z wszystkimi poprzednimi – wybory. Podejmując tę decyzję, mieliśmy świadomość ryzyka, jakie niesie demokracja, i to ryzyko zostało wkalkulowane w niekorzystny dla nas wynik wyborów”. Trzeba jednak przyznać, że skali tej porażki nie przewidział żaden z członków partyjnej nomenklatury, a byli

nawet tacy, którzy naiwnie wierzyli w całkiem odwrotny finał. Do nich należał generał Wojciech Jaruzelski. W swoich wspomnieniach wyznał: „Byliśmy autentycznie przekonani, że uda nam się zwyciężyć czerwcowe wybory. Nasza pewność była tak głęboka, że dopuściliśmy wolne wybory do Senatu (...). Co za ślepota! Czterdzieści pięć lat rządów pozbawiło nas wszelkiej obiektywnej zdolności autokrytycyzmu. Całkowicie straciliśmy kontakt z rzeczywistością” [87].

Wynikiem wyborów zaskoczona była również Solidarność. Poparcie dla jej kandydatów przekroczyło nawet najbardziej optymistyczne prognozy. Opozycjoniści znokautowali wszystkich konkurentów, i to nie tylko ponure figury z szeregów partii, ale też przedstawicieli innych grup opozycyjnych: radykałów, nacjonalistów i chadeków (ci ostatni, mimo że cieszyli się rekomendacją prymasa Glempa, zostali niemal całkowicie pominięci przez katolicki elektorat). Polacy zbytnio się nie patyczkowali. Głosowali nie tyle na konkretnych kandydatów, ile na cały blok solidarnościowy, bo widzieli w nim ucieleśnienie antykomunizmu. W głównej siedzibie Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, mieszczącej się w kawiarni Niespodzianka (jakże adekwatna nazwa!), panowała, owszem, atmosfera radosnego fetowania, ale jednak daleka od triumfalizmu. Zwycięstwo trudno było przyjąć z euforią, rodziło bowiem pewne niepokoje. Ich przedmiotem była, między innymi, niska frekwencja wyborcza. Do urn poszło 62% wyborców. Oznaczało to, że dziesięć milionów z dwudziestu siedmiu milionów uprawnionych do głosowania zostało w domu. Naród najwyraźniej był już zmęczony i powątpiewał w możliwość zmian politycznych oraz wyjścia z pustoszącej kraj zapaści gospodarczej. Przywódców opozycji paradoksalnie niepokoiła też druzgocąca klęska partii komunistycznej, której wyborcy wymierzyli surową karę, czy wręcz ją upokorzyli. Obawiano się, że nomenklatura i aparat partyjny zechcą się odegrać, choć odpowiedzialnością za klęskę obciążały one reformatorską ekipę Jaruzelskiego, widząc w nim głównego „winnego” przystąpienia do dialogu z Solidarnością. W Niespodziance wyczuwalne były sprzeczne emocje. Wszyscy mieli świadomość, że chociaż komuniści przegrali wybory, to w ich rękach nadal były wojsko, milicja i służby specjalne. Lęk przed represjami – powtórką ze stanu wojennego – pogłębiały dramatyczne wiadomości dobiegające z Chin. W dniu, w którym Polacy zasmakowali wolności, na drugiej półkuli czerwonej planety, w Pekinie, brutalnie stłumiono demokratyczną

manifestację studentów. Wieczorem 4 czerwca na ekranach telewizorów harmonijne obrazy tłumnie oddających głosy Polaków zostały zakłócone przez wstrząsające relacje z masakry na placu Tiananmen. Podczas gdy w Warszawie Jaruzelski próbował wymazać stan wojenny z pamięci narodu, w Pekinie Deng Xiaoping od reform przechodził do strzelaniny. Wyglądało na to, że komunizm znalazł się na rozstajach i albo podporządkuje się woli ludu, albo odrzuci ją brutalnymi metodami, doprowadzając do rozlewu krwi. Dlatego po wyborach Solidarności zależało, żeby jak najszybciej dać władzom do zrozumienia, że opozycja uważa okrągłostołową ugodę za wiążącą i liczy na kontynuowanie dialogu.

Jeden z największych dylematów dotyczył dalszych losów odrzuconych polityków z listy krajowej. Nie mieli oni szans na drugą turę, więc ich mandaty były nadal nie obsadzone, a zgodnie z konstytucją w Sejmie powinno zasiąść 460 posłów. Obiekcje rozstrzygnęła zmiana ordynacji wyborczej, która dopuściła do drugiej tury osoby nie wybrane w pierwszym podejściu. Ten manewr wywołał dyskusję, gdyż oznaczał ingerencję w regulamin w trakcie trwania wyborów. Solidarność zgłosiła zastrzeżenia, ale ostatecznie osiągnięto porozumienie. Do dogrywki przystąpili kandydaci z drugiego szeregu, gdyż przegrani z listy krajowej wycofali się z dalszego kandydowania. O każdy mandat walczyło dwóch komunistów, więc faktycznie rywalizacja miała charakter całkowicie wewnątrzpartyjny, co zniechęcało wielu wyborców. Wałęsa apelował do rodaków, by nie bojkotowali drugiej tury. Przypominał, że posłów na Sejm będą wybierać między zwolennikami reform a stalinistami, a to niebagatelna różnica. Mimo wszystko, do urn nie poszło wielu Polaków. Głosu nie oddała rekordowa liczba 75% uprawnionych, dwukrotnie więcej niż w pierwszym podejściu. Uchylanie się od głosowania jest zawsze manifestacją obojętności, jednak w tym wypadku mieliśmy również do czynienia z wyrazem zbiorowej dezaprobaty wobec ustroju. Namówić Polaków do głosowania na komunistów nie udało się nawet samemu Wałęsie. 299 mandatów zarezerwowanych dla kandydatów obozu rządzącego ostatecznie rozdzielono na podstawie liczby uzyskanych ważnych głosów. Oznacza to, że zgodnie z ustaleniami przy Okrągłym Stole, posłowie PZPR i partii satelickich w Sejmie mieli stanowić 65-procentową większość, nie mogli jednak liczyć na kredyt społecznego zaufania. Odwrotnie posłowie Solidarności – choć przy Okrągłym Stole przyznano im tylko 35%, to dzięki dużej liczbie głosów niemal wszyscy

kandydaci zostali wyłonieni w pierwszej turze, bo to ich naród uznał za swoich godnych reprezentantów. Odwrócenie zakładanego porządku jednocześnie ekscytowało i wywoływało pewien niepokój. W Sejmie Solidarność dysponowała większością „moralną" (niepotwierdzoną na poziomie politycznym), zaś w Senacie, uprawnionym do odrzucania regulacji prawnych uchwalonych przez izbę niższą, opozycja zdobyła 99 mandatów na 100, zyskując w ten sposób możliwość wetowania kluczowych decyzji dotyczących kraju. Największe znaczenie miał fakt, że w Polsce dobiegła końca epoka monopartyjnych rządów. Nikt nie wiedział, jak będzie wyglądać rozpoczynający się właśnie etap. W nowej rzeczywistości Polacy poruszali się trochę jak dzieci we mgle.

Nowa Polska, mimo że jeszcze potrzebowała dookreślenia, to już spotkała się z żywymi reakcjami na arenie międzynarodowej i była na niej wyczekiwana. Hołd „marzeniom o wolności, odrodzonym wraz z Solidarnością" jako pierwszy złożył amerykański prezydent George Bush senior, który 10 lipca – kilka tygodni po historycznych wyborach – przybył do Warszawy z bezprecedensową wizytą. Nie przywiózł ze sobą dolarów, na co liczyli niektórzy Polacy. Zaoferował za to częściowe umorzenie gigantycznego długu, jaki upadający socjalizm zaciągnął na Zachodzie. Zadeklarował też swoją pomoc dla sektora prywatnego. „Wujek z Ameryki" groszem nie sypnął, ale wykonał przyjacielski gest. Wizyta prezydenta USA miała charakter oficjalny, jednak amerykańska głowa państwa kierowała swoje wystąpienia raczej do Solidarności i Wałęsy niż do Jaruzelskiego i elit rządzących. Kulminacyjnym momentem podróży był Gdańsk, gdzie George'a Busha przywitały tłumy Polaków. Amerykański prezydent gościł na obiedzie u Lecha Wałęsy, w jego domu w dzielnicy Oliwa, do którego lider Solidarności niedawno się przeprowadził. Wałęsa, jakby na swoje usprawiedliwienie, mówił: „Wcześniej zajmowaliśmy ciasne mieszkanko, ale zarobiłem na sprzedaży mojej autobiografii i udało mi się kupić ten stary dom". Dodał też: „Muszę go jeszcze urządzić. Tak jak i całą Polskę". Dwaj przywódcy przechadzali się po ogrodzie jak starzy przyjaciele. Zdjęcie polskiego elektryka przyjaźnie gawędzącego z szefem Białego Domu obiegło cały świat. Momentem o najsilniejszej symbolice było przemówienie Busha na placu przy bramie Stoczni Gdańskiej, w cieniu trzech krzyży upamiętniających ofiary Grudnia '70. „Ten pomnik jest dla was tym, czym dla nas Statua Wolności", mówił prezydent, wywołując owacyjne reakcje zgromadzonych. Mówił: „Odważni robotnicy gdańscy,

nie jesteście sami. Ameryka jest z Wami!”. Na zakończenie historycznego spotkania Wałęsa wyraził swoje wielkie nadzieje: „Po słowach, które usłyszeliśmy z ust prezydenta Busha, wiemy, że Polska może zostać Ameryką Europy Wschodniej”. Przedstawiciele zachodnich mediów uśmiechali się z przekąsem, słuchając wygórowanych ambicji tego nieco nieokrzesanego robotnika z łatami na pośladkach[88] (zwrócił na to uwagę jeden z moich kolegów). Odparłem: „A jeśli się nie myli?”. Dwadzieścia lat później prasa finansowa i gospodarcza nazywała Polskę „tygrysem Wschodu”, bo jako jedyny kraj regionu wyszła obronną ręką z globalnego kryzysu. Wałęsa nie był megalomanem. Odważył się wypowiedzieć na głos swoje marzenia, a one się później spełniły.

Latem 1989 roku miało również miejsce inne doniosłe wydarzenie. Po długich i żmudnych negocjacjach państwo polskie wznowiło stosunki dyplomatyczne z Watykanem, które prosowiecki rząd w Warszawie zerwał jednostronnie w 1945 roku. Otwarcie się na Stolicę Apostolską nieprzypadkowo zbiegło się z okresem, w którym komunistyczna dyktatura musiała stanąć twarzą w twarz z politycznym trzęsieniem ziemi. Szokujące wyniki wyborów narzuciły nowy układ sił między rządem a opozycją, ale zachwiały również relacjami wewnątrz komunistycznych elit. Pomruki niezadowolenia dobiegały z szeregów SD i ZSL, tradycyjnych sojuszników PZPR, które teraz się od niej odcinały, otwarcie wyrażając swoją krytykę. Obrońcami porozumień Okrągłego Stołu byli już chyba tylko członkowie drużyny Lecha Wałęsy. Niektóre ugrupowania ze środowisk opozycyjnych i spoza nich oskarżały go o wspieranie skompromitowanego i chwiejącego się reżimu. Solidarność miała przed sobą nieprzewidziane wcześniej i trudne do podjęcia decyzje. Trzeba było wybrać prezydenta, którego urząd miał zastąpić Radę Państwa, skupiając w jednej osobie kompetencje związane z bezpieczeństwem i obronnością. Nazwisko kandydata nie pojawiło się przy Okrągłym Stole, ale początkowo było oczywiste, że funkcja będąca gwarancją politycznej stabilności i respektowania paktu z ZSRR, w kraju, w którym – mimo przełomowych zmian – ciągle panował ustrój socjalistyczny, przypadnie w udziale Wojciechowi Jaruzelskiemu. Generał się wahał. Z wielu stron spotykał się z wrogością i zamierzał się wycofać, ale ostatecznie wyraził wolę kandydowania. Prezydenta wybierało Zgromadzenie Narodowe zwykłą większością głosów, podczas wspólnego posiedzenia obu izb. Wyniki głosowania były niepewne, ponieważ niektórzy członkowie SD i ZSL zapowiedzieli, że generała nie poprą.

Posłowie i senatorowie Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego „Solidarność” stanęli przed dylematem. Nie chcieli oddawać głosu na komunistycznego dyktatora, ale z drugiej strony obawiali się jego porażki, bo ona mogłaby pociągnąć za sobą nieprzewidziane polityczne scenariusze. 19 lipca, na zakończenie wyjątkowo burzliwego posiedzenia, Wojciech Jaruzelski przewagą jednego głosu został wybrany na prezydenta PRL. Spośród parlamentarzystów opozycji siedmiu oddało nieważny głos, obniżając tym samym wymaganą ich liczbę, wielu innych wstrzymało się, a „za” zagłosował tylko sędziwy senator z prowincji[89]. Kto mógłby przypuszczać, że opuszczony przez swoje oddziały generał zostanie niemal cudem ocalony przez ludzi, których jeszcze nie tak dawno wysyłał za kratki. „Właściwie to Solidarność go wybrała”. Takie przekonanie panowało wśród wzburzonej opinii publicznej, niedowierzającej, że doszło do tak wstydliwej kompromitacji. W Polsce paradoksy były coraz częstszym zjawiskiem – konający komunizm był sztucznie utrzymywany przy życiu przez swoich przeciwników, prezydent obejmował urząd wbrew swojej woli, a wybrali go ci, którzy w gruncie rzeczy go nie chcieli; mniejszość parlamentarna reprezentowała większą część społeczeństwa. Wreszcie rzecz najbardziej absurdalna: naczelna partia, która nie wiedziała, w jakim kierunku zmierza, musiała udawać, że rządzi.

Nad Polską zawisło widmo kryzysu władzy. Po wyborze Jaruzelskiego na prezydenta, stanowisko I sekretarza KC przypadło Rakowskiemu, a swój dotychczasowy urząd premiera Jaruzelski „oddał” w ręce Kiszczaka. W ten typowy dla hermetycznych ustrojów sposób odbyła się wymiana stołków, która jednak tym razem powieść się nie mogła. Generał Kiszczak siedział przy Okrągłym Stole jako najważniejszy interlokutor Wałęsy, więc wedle wszelkich przesłanek był prawowitym kandydatem do uformowania rządu uwzględniającego również opozycję, a to było warunkiem pokonania kryzysu społeczno-ekonomicznego, który powoli niósł zagrożenie otwartego buntu. Solidarność była gotowa wywiązać się z zadania, ale oczekiwała dowodu odcięcia się od przeszłości, którym dla niej było zniesienie wiodącej roli partii. Do tego postulatu przyłączyło się – dość oportunistycznie – ZSL, które ze swoimi 76 posłami w kontekście parlamentarnej większości było języczkiem u wagi. Przez dwa tygodnie ciągnęły się żmudne rokowania, które nie dały wymiernych rezultatów. W końcu Kiszczak był zmuszony złożyć broń. Po czerwcowych wyborach była to kolejna porażka polskich komunistów.

W obliczu przeciągającego się impasu inicjatywę musiała przejąć Solidarność. Już 3 lipca rozwiązanie podsunął naczelny „Gazety Wyborczej” Adam Michnik w artykule, który szumnie zatytułował „Wasz prezydent, nasz premier”. Postulat brzmiał trochę jak prowokacja, bo dopuszczał układ między odchodzącą władzą a młodą demokracją, dla wielu trudny do przyjęcia. Opozycja początkowo pomysł przyjęła chłodno i sceptycznie. W opinii Michnika:

> Kontrakt zawarty przy Okrągłym Stole mógł ewoluować, wzorując się na modelu przemian w Hiszpanii generała Franco, dzięki czemu miał szansę być układem otwierającym drogę demokracji. Solidarność była legendą, była potęgą. Byliśmy też świadomi wagi Kościoła i autorytetu papieża, którego stabilizująca rola pozwoliła nam pokonać tę trudną drogę [90].

Michnik przypominał też, że jednym z najzagorzalszych oponentów takiej konfiguracji był Mazowiecki. Przekorny los sprawił, że to właśnie on został premierem, i to, w czym widział niebezpieczną utopię, zdołał przekuć w pozytywną rzeczywistość.

Sierpień jest w Polsce synonimem cudów. W sierpniu wydarzył się cud nad Wisłą, kiedy dowodzone przez Piłsudskiego oddziały Wojska Polskiego pokonały Armię Czerwoną. W sierpniu 1980 roku zapoczątkowano wolny ruch związkowy, a w 1988 roku odbyło się brzemienne w skutki spotkanie Kiszczaka z Wałęsą. Kiedy 19 sierpnia 1989 roku prezydent PRL Wojciech Jaruzelski desygnował na premiera Tadeusza Mazowieckiego, katolickiego intelektualistę Solidarności, internowanego w czasie stanu wojennego, wieść ta spadła jak grom z jasnego nieba na Komitet Centralny PZPR, którego zapatrywania podczas debaty nad kryzysem politycznym nie zostały wzięte pod uwagę przez głowę państwa. Dla kierowniczej roli partii był to już akt zgonu. Jaruzelski stwierdził: „To, co uważaliśmy za naszą siłę, okazało się naszą słabością. Dominacja partii nie wydała owoców ani w dziedzinie gospodarki, ani polityki. Jej prymat, rozumiany jako coś oczywistego, należy już do przeszłości”. Te mocne słowa można porównać do kamiennej płyty na mogile ustroju. Oznaczają one definitywny koniec tego etapu w dziejach.

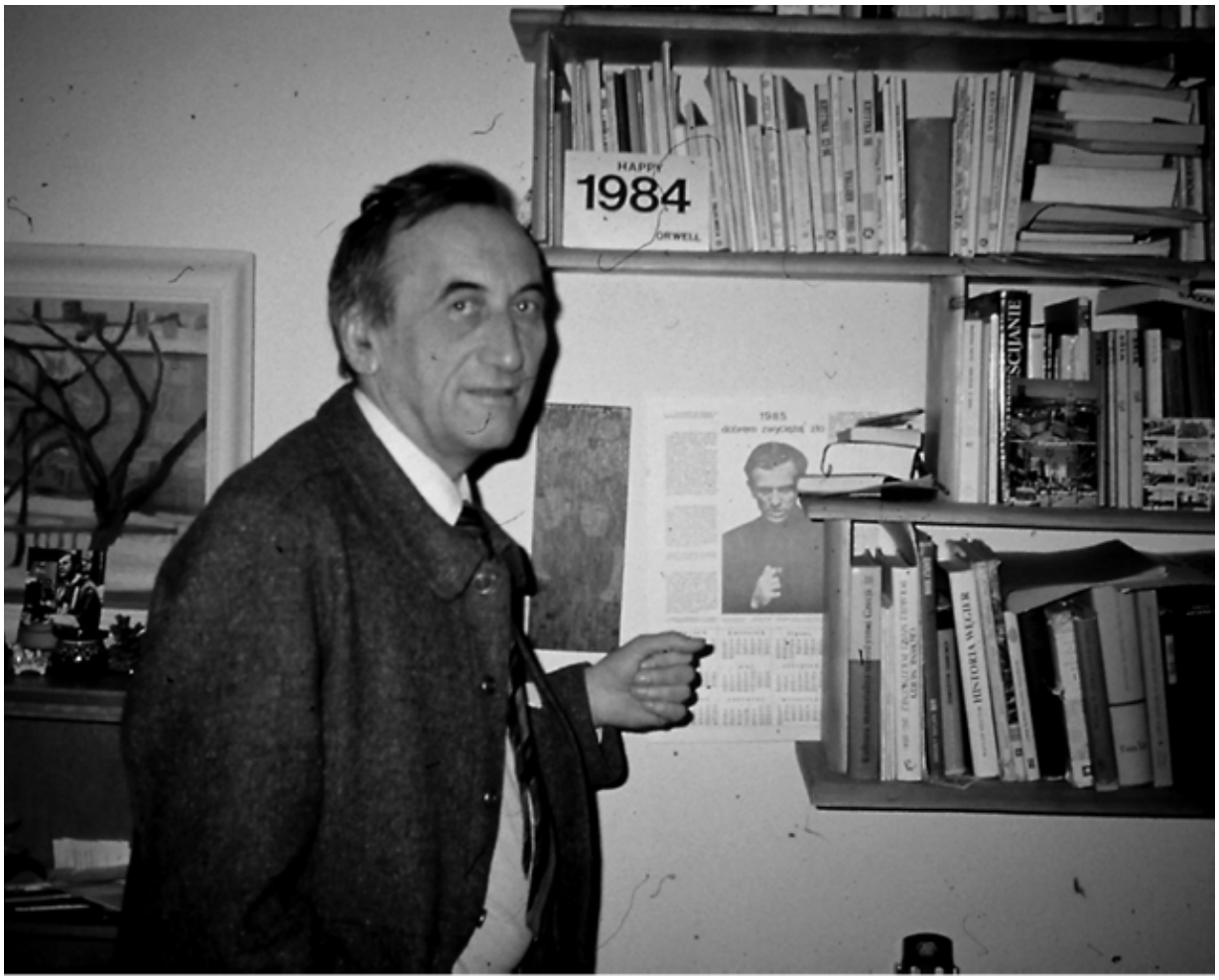

Tadeusz Mazowiecki, przyszły polski premier, w swoim warszawskim mieszkaniu kilka dni po tym, jak zamordowano ks. Jerzego Popiełuszkę

W spektakularny sposób Solidarność wydostała się z podziemia wprost na szczyty władzy. Za tempem przemian nie mogli nadążyć nawet sami bohaterowie przewrotu. Do największych niedowiarków należał nowo powołany premier, sześćdziesięciodwuletni Tadeusz Mazowiecki, którego większa część aktywności społecznej polegała na walce z komunizmem. Przyjaciel Karola Wojtyły, najbliższy doradca Wałęsy, intelektualista trwający przy robotnikach nawet w momentach krytycznych, stanął na czele nowego rządu polskiego. Poznałem go w 1980 roku podczas strajku w Stoczni Gdańskiej i od tamtej pory był dla mnie ważnym punktem odniesienia, pomocnym w śledzeniu losów opozycji i ich zrozumieniu, bezcennym źródłem wiarygodnych informacji, ale nade wszystko serdecznym przyjacielem. Często odwiedzałem go w jego niewielkim mieszkaniu przy ulicy Marszałkowskiej, gdzie po śmierci drugiej żony Ewy

w 1970 roku mieszkał z najmłodszym z trzech synów. Spędzaliśmy długie godziny na rozmowach przy dobrym włoskim winie i w chmurze dymu z jego zabójczych papierosów. Tadeusz był człowiekiem o niezwykle łagodnym usposobieniu. Jako uczony miał silnie ugruntowane przekonania i potrafił je wyrażać w pokojowy sposób. Był obdarzony wybitnymi zdolnościami mediacyjnymi, ale w moim przekonaniu jego temperament nie licował z logiką władzy. W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych jako młody człowiek był posłem na Sejm z ramienia ruchu katolickiego „Znak". Do polityki wszedł w czasie poststalinowskiej odwilży pod rządami Gomułki. Doświadczenie to przyniosło mu rozczarowanie i zarzekał się, że więcej go nie powtórzy. Między innymi dlatego odmówił kandydowania w czerwcowych wyborach, choć przyjaciele wywierali na niego presję. Nalegał też Wałęsa. Mazowiecki całym sobą zaangażował się w negocjacje przy Okrągłym Stole, oferując swoją prawniczą wiedzę w przewodzonym przez siebie zespole do spraw pluralizmu związkowego. Bał się zbytniej polityzacji i dlatego wolał trzymać się z daleka od parlamentu. Ponownie stanął na czele „Tygodnika Solidarność". Swobodniej czuł się wśród stoczniowców niż w sejmowych ławach. Desygnowanie na premiera świętował w gdańskim kościele św. Brygidy, który dla wszystkich był już „parafią" Solidarności. Podczas uroczystości tysiące wiernych wypełniły neogotycką świątynię i plac przed nią, a syreny z pobliskiej Stoczni Gdańskiej przeplatały się z dźwiękami odśpiewanego pełnym głosem hymnu państwowego. Zebrani zgotowali przyszłemu premierowi żywą owację i wszędzie było widać biało-czerwone goździki. Ekspansywny proboszcz kościoła św. Brygidy, ks. Henryk Jankowski, Mazowieckiego przedstawił wiernym jako „premiera wolnej Polski". Obok niego Wałęsa nieudolnie ukrywał łzy wzruszenia. Uniósł rękę Tadeusza i triumfalnie ogłosił: „Jego nominacja jest największym zwycięstwem naszego kraju od czasu konferencji jałtańskiej". W tamtą niedzielę, 20 sierpnia, ktoś zauważył, że dokładnie rok wcześniej Mazowiecki jeszcze trwał u boku otoczonych kordonem milicji strajkujących robotników w stoczni, a teraz miał zostać premierem. Wszyscy chcieli go uścisnąć. Śpiewano mu *Sto lat*. Można było odnieść wrażenie, że to ferwor narodu przesądził o wybraniu go na premiera.

W oczekiwaniu na sejmowe głosowanie, które miało zatwierdzić jego nominację, Mazowiecki pracował w redakcji „Tygodnika Solidarność". Jej siedziba znajdowała się na poddaszu zniszczonej kamienicy w Śródmieściu

Warszawy. Któregoś z tych dni weszliśmy razem do ciasnej i telepiącej się windy, zostawiając na zewnątrz koczujących dziennikarzy, operatorów telewizyjnych i fotoreporterów, którzy przybyli tam z całego świata, by zarejestrować choć jedną wypowiedź albo zrobić zdjęcie pierwszemu szefowi niekomunistycznego rządu w kraju bloku sowieckiego. Do Mazowieckiego dotarły setki próśb o udzielenie wywiadu. Wszystkie grzecznie odrzucił. „Zrobiłem wyjątek dla ciebie i... dla korespondentki »Le Monde«", powiedział jak gdyby w odruchu usprawiedliwienia. Odpowiedziałem żartem: „Nie ma sprawy, nie obrażę się, jeśli porozmawiasz też z innymi". Miałem u niego dług wdzięczności za to wyróżnienie, które stało się obiektem zawiści wielu moich kolegów[91]. Nieco natarczywie zapytałem go, dlaczego zmienił zdanie. Zawsze był przeciwny angażowaniu się Solidarności w poważną politykę, a teraz przymierza się do kierowania rządem. Wyznał: „Myślałem, że sytuacja w Polsce będzie zmieniać się powoli i stopniowo, ale musiałem zrewidować swoje przekonania. W ostatnich tygodniach doszło do gwałtownego przyspieszenia, którego nikt z nas się nie spodziewał". Jako prawdziwy patriota, Mazowiecki poważnie traktował symbolikę wydarzeń, żywiąc przekonanie, że „nie bez znaczenia jest fakt, że pierwszy premier niekomunistycznego rządu jest katolikiem, Kościół bowiem zawsze był głosicielem fundamentalnych praw człowieka". Był świadom, że ma do wykonania *mission impossible* polegającą na wyprowadzeniu kraju nie tylko z komunizmu, ale również z gospodarczej zapaści. „Będę kierować się zasadą mówienia opinii publicznej całej prawdy, niezależnie od wszystkiego. W działaniach przyświecać mi będą słowa Jana Pawła II, które wypowiedział w styczniu 1981 roku, kiedy po raz pierwszy przyjął w Watykanie delegację Solidarności: »Wasza walka ma na celu dobro wspólne. To walka o coś, a nie przeciwko komukolwiek«". Potem, już bardziej na luzie, opowiedział mi kilka smakowitych anegdotek. Wyjawił, że kiedy w marcu 1987 roku, po raz pierwszy od stanu wojennego, otrzymał pozwolenie na wyjazd z kraju, pojechał do Watykanu. Jan Paweł II przywitał go zabawnym komentarzem: „Jak to dobrze, że nie tylko Jaruzelski mnie odwiedza[92], ale też mój przyjaciel Tadeusz Mazowiecki". Może nawet sam papież nie przypuszczał, że to dysonujące zestawienie postaci stanie się w Polsce faktem, i to na najwyższym szczeblu władzy. Inna dykteryjka (zabronił mi ją opisać) związana była z dniem, w którym Tadeusz udawał się do Pałacu Prezydenckiego, by przyjąć nominację na

Prezesa Rady Ministrów. W połowie drogi jego „maluch” stanął i trzeba było wezwać taksówkę (w owym czasie w Polsce nie było to takie proste). Ostatecznie na spotkanie z Jaruzelskim dotarł przeraźliwie spóźniony.

24 sierpnia Mazowiecki zjawił się w Sejmie, by oficjalnie objąć urząd, o którym zdecydowała ogromna większość głosów. Podczas głosowania nad jego kandydaturą rękę „za” podniosło również wielu posłów z PZPR. Premier zwrócił się do narodu z prostym, treściwym i odważnym exposé. Nie ukrywał, że kraj czekają bolesne reformy, które mają przywrócić mu godność. Podkreślił, że „Polski nie stać już na ideologiczne eksperymenty”. Zastrzegał: „Rząd, który utworzę, nie ponosi odpowiedzialności za hipotekę, którą dziedziczy. (...) Przeszłość odkreślamy grubą linią. Odpowiadać będziemy jedynie za to, co uczyniliśmy, by wydobyć Polskę z obecnego stanu załamania”.

Tymi słowami nowo powołany premier wyznaczył definitywny kres epoki komunizmu. Określenie „gruba linia”, które dość szybko w powszechnym przekazie zmieniło się w „grubą kreskę”, będące symbolem odcięcia się od przeszłości, stało się przedmiotem trwającej dłuższy czas ostrej polemiki. Mazowieckiego oskarżano o zbytnią pobłażliwość wobec dawnych komunistów. Polityka oparta na formule „grubej kreski” okazała się grzechem pierworodnym III Rzeczpospolitej, państwa o cechach pseudodemokratycznych, skażonego dawną totalitarną nomenklaturą. Słowa, które padły 24 sierpnia 1989 roku, płynęły z jednej podstawowej troski: „Zasadę walki, która prędzej czy później prowadzi do wyeliminowania przeciwnika, musi zastąpić zasada partnerstwa. Nie przejdziemy inaczej od systemu totalitarnego do demokratycznego”. Wiele lat później Mazowiecki, w poruszającym akcie samoobrony, tłumaczył, że chodziło mu o dążenie do narodowego pojednania, inspirowane etosem solidarności, pokojową walką polskich ludzi pracy i nauczaniem Jana Pawła II”[93].

Tadeusz Mazowiecki, lider nierozumiany przez wielu swoich rodaków, zmarł 28 października 2013 roku w wieku 86 lat. Na trwałe wszedł do galerii najważniejszych postaci w dziejach dwudziestowiecznej Europy. W jego pogrzebie wzięły udział tłumy, jak gdyby w geście rehabilitacji, oddając ostatni hołd politykowi uczciwemu i pełnemu pokory. Był jak Cyncynat[94], który uratował kraj, nie oczekując niczego dla siebie.

Latem 1989 roku nowa polska rzeczywistość musiała przeprowadzić rozrachunek z upadłym systemem władzy. Na obszarze wewnętrznym,

podczas formowania nowego rządu PZPR stawiała twarde warunki groźbą i szantażem. Udało się jej zatrzymać resorty siłowe – spraw wewnętrznych i obrony (dostały się one w ręce weteranów Kiszczaka i Siwickiego) oraz inne, o mniejszym znaczeniu strategicznym. Na zewnątrz, bratni Związek Radziecki polskich eksperymentów nie blokował, ale też im nie sprzyjał. Kreml z Gorbaczowem na czele nie wysyłał już czołgów, zadowolił się wydelegowaniem przewodniczącego KGB, generała Władimira Kriuczkowa, żeby odbył rozmowę z premierem-katolikiem. Po spotkaniu szef radzieckiego wywiadu powiedział: „Spodobał mi się. To niezłomny człowiek". Z kolei Mazowiecki wyznał mi, że Kriuczkow „to komunista ze starej szkoły i jego głównym zmartwieniem było to, że w Polsce rządzić teraz będzie antykomunizm". Dnia 12 września nowo ukonstytuowany rząd otrzymał w Sejmie wotum zaufania. „Będę wierny ideałom Sierpnia '80", mówił premier w deklaracji programowej. Zakończył ją formułą, która w PRL była nie do pomyślenia: „Tak mi dopomóż Bóg". Gorącymi oklaskami nagrodziły go obie strony sejmowej sali – przyjaciele z Solidarności i dawni wrogowie z szeregów PZPR. Premier uśmiechał się ze wzruszeniem. Następnie uniósł palce w kształcie litery „V", która była symbolem walki z komunistycznym reżimem. Zwieńczył tym samym to niewiarygodne odwrócenie politycznego porządku, które budziło wiele żywych emocji, ale też troski i nadzieje[95]. W Europie Wschodniej to Polska utorowała drogę demokracji. Za nią miały pójść inne kraje.

87 W. Jaruzelski, *Les chaînes et le refuge. Mémoires suivis d'un entretien avec Adam Michnik* (*Kajdany i schronienie. Wspomnienia uzupełnione rozmową z Adamem Michnikiem*), Lattès, Paryż 1992, s. 319–320.

88 Wł. *avere le pezze al sedere*, nosić łaty na pośladkach, określenie prostego biedaka (przyp. tłum.).

89 Stanisław Bernatowicz (1910–2005) reprezentował województwo suwalskie (przyp. red.).

90 W. Jaruzelski, *Les chaînes et le refuge...*, op. cit., s. 366.

91 Pierwszy wywiad, jakiego udzielił Mazowiecki dziennikowi włoskiemu niedługo po jego nominacji na szefa rządu, ukazał się w dzienniku „Avvenire" 24 sierpnia 1989.

92 Generał był w Watykanie z oficjalną wizytą w styczniu tego samego roku (przyp. red.).

93 W swojej książce *Rok 1989 i lata następne* (Prószyński Media, Warszawa 2012) Tadeusz Mazowiecki wypowiedział się na temat krytyki „grubej kreski", podkreślając, że jego intencją nie było wykluczenie bohaterów dawnego reżimu i rzucenie liny ratunkowej członkom PZPR (o co go później oskarżano), lecz uniknięcie wewnętrznego konfliktu w kraju w momencie, w którym obóz komunistyczny był jeszcze silny, w Polsce stacjonowały radzieckie wojska, a mur berliński nadal stał.

94 Cyncynat, Lucius Quinctius Cincinnatus, ur. ok. 520 p.n.e., zm. po 429 p.n.e., wódz rzymski, który w 458 p.n.e. pokonał Ekwów, a zaraz potem złożył władzę i wrócił do pracy na roli; uważany przez starożytnych za wzór rzymskich cnót obywatelskich (przyp. tłum.).

95 W ciągu kilku miesięcy rząd Mazowieckiego, pod kierunkiem ministra finansów Leszka Balcerowicza – autora terapii szokowej, zwanej „planem Balcerowicza” – przekształcił przetrzebioną gospodarkę socjalistyczną w wydajną gospodarkę rynkową kosztem ogromnych poświęceń ze strony narodu, który mimo trudności, zdawał się popierać zwrot. Wywiązał się jednak wewnętrzny konflikt w łonie Solidarności, kulminację osiągając w tak zwanej „wojnie na górze”, w której jedną ze stron był Lech Wałęsa, w grudniu 1990 roku z woli narodu obdarzony urzędem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej (pokonał Mazowieckiego już w pierwszej turze). To jednak całkiem inna historia wiążąca się z burzliwą transformacją demokratyczną w Polsce (czy szerzej – w krajach bloku sowieckiego), i jako taka wymaga oddzielnej rozprawy.

Rozdział III
Berlin. Zburzenie czerwonej bastylii

W niewyobrażalnym tłumie, który przelewa się na drugą stronę muru, na ramionach ojca kołysze się mały chłopiec. Malec zdumiony patrzy na świat po drugiej stronie betonowej granicy, który nagle rozrósł się i nabrał kolorów. Patrzy w górę, jak gdyby na Zachodzie ładniejsze było też niebo, takie naprawdę błękitne, a nie stalowoszare. Z dnia, w którym runęła czerwona bastylia i uwolniła więźniów despotycznego i absurdalnego reżimu, ta scena, jakby żywcem wyjęta z filmu Rainera Wernera Fassbindera, utkwiła mi w pamięci najbardziej. W roku 1989 za żelazną kurtyną wrzało niezadowolenie, ale nikt nie przypuszczał, że mogą to być ostatnie dni „muru hańby".

Czwartek, 9 listopada, godzina dwudziesta. Właśnie wróciłem z NRD i szykuję się do wyjazdu do Moskwy. Dzwoni telefon. To Giuliano Ragno, szef działu zagranicznego mojej gazety. Wrzeszczy mi w słuchawkę: „Wracaj do Berlina! Zburzyli mur!". Doniesienia agencyjne były raczej mgliste – mówiły oględnie o złagodzeniu obostrzeń w podróżowaniu na Zachód dla obywateli NRD, ale Giuliano ma niezawodną intuicję. Mówi z ekscytacją: „Jedź tam natychmiast!". Docieram na miejsce następnego ranka. Nie mogę uwierzyć własnym oczom, tak samo, jak ten chłopiec na Invalidenstrasse, kilkaset metrów od Reichstagu, dawnego gmachu parlamentu cesarskiego (teraz znajduje się w nim muzeum Bundestagu, a niebawem ma stać się siedzibą parlamentu zjednoczonych Niemiec). Mur właściwie ciągle jest na swoim miejscu. Elementy konstrukcyjne nie zniknęły i wciąż otaczają je zasieki, kozły hiszpańskie i miny przeciwpiechotne, czyli wszystkie te zabezpieczenia, które przez ostatnich dwadzieścia osiem lat strzegły dostępu do najtrudniej przekraczalnej granicy Europy. W ciągu jednej nocy cała twierdza zmieniła się w złudzenie optyczne, scenografię dreszczowca, w którym nikt już nie chciał grać. Teraz na scenie rozgrywa się inny spektakl. Tysiące berlińczyków świętują i wołają: „Wahnsinn!" (Ale obłęd!). Są wśród nich ludzie, którzy naprawdę przecierają oczy ze zdumienia. W piątek, 10 listopada, w wątłym jesiennym

słońcu miasto budzi się oblężone przez tłum manifestujący swoje szczęście. Ze Wschodu nadciągają całe rodziny, młodzi ludzie w parach lub w grupach, całe klasy uczniów. Autobusami, samochodami, na rowerach lub pieszo, ale wszyscy z tym samym pragnieniem posmakowania zakazanej dotąd wolności. Niektórzy płaczą ze wzruszenia, inni wznoszą palce w kształcie litery „V”. Zachodni sąsiedzi ubogich krewnych ze Wschodu witają owacyjnie, kobiety dostają kwiaty, a mężczyźni piwo. Panuje klimat przyjaźni i solidarności. Berlin opanowuje zgiełk i nieskrępowana radość. Ruch uliczny jest całkowicie sparaliżowany. Szerokie arterie zatykają potężne korki, a w nich warkoczące i smrodliwe trabanty obok mercedesów i bmw. Na pierwszej stronie poczytnego niemieckiego tabloidu „Bild”, który tego ranka ma swoje wydanie specjalne, widzę nagłówek: „To najwspanialszy chaos, jaki mogliśmy sobie wymarzyć. Dziękujmy Bogu!”. Na Ku’damm jestem świadkiem banalnej stłuczki z zaskakującym finałem: niepozorny „trabi” uderza w luksusowego mercedesa, z którego wysiada dystyngowany dżentelmen. I co robi? Przyjaźnie obejmuje przejętego sprawcę i mówi z sympatią: „Ist schon gut!”[96]. Kierowca trabanta patrzy osłupiały. Najwidoczniej razem z murem rozprysła się germańska oschłość. Teraz „Wessi” bratają się z „Ossi” (w latach dziewięćdziesiątych w zjednoczonych Niemczech określenie „Ossi” użyte w stosunku do „tych ze Wschodu” miało konotacje negatywne). Obywatele NRD w tej barwnej i pełnej blasku rzeczywistości, która do tej pory pozostawała poza ich zasięgiem, czują się pewnie trochę jak Marsjanie po lądowaniu na obcej planecie. Przechodnie zatrzymują się przy sklepowych witrynach i przyklejają nosy do szyb. Wszyscy ustawiają się w kolejkach do banków, by odebrać swoje 100 marek[97]. Niektórzy od razu udają się do największego w Europie domu towarowego KaDeWe[98], by w końcu sobie kupić upragnione dżinsy. Inni wchodzą do Gedächtniskirche, Kościoła Pamięci, który po drugiej wojnie światowej częściowo odbudowano z ruin. Podziwiają witraże i się modlą. Niektórzy przybysze ze Wschodu w pierwszej kolejności wchodzą na drewnianą platformę, by z góry popatrzeć na mur, do którego na Wschodzie nie mogli się nawet zbliżyć. Słuchają opowieści przewodnika jak przygodni turyści. Obserwowanie własnego więzienia z zewnątrz może być nawet źródłem przyjemności. Grupa młodzieży fotografuje się na Checkpoint Charlie, pod słynną tablicą „Uwaga! Opuszczasz sektor amerykański”. Mówią, że przekroczyli granicę bez żadnych problemów i formalności. Siejący

postrach „Voposy” w magiczny sposób stali się mili i nagle zaczęli się uśmiechać. Mur można przekroczyć ze zwykłym dokumentem tożsamości. „Jeden z nas niczego przy sobie nie miał, więc go zatrzymali, ale natłok był tak wielki, że został wypchnięty do przodu. Policjant coś burknął pod nosem, ale w końcu machnął ręką”, dowiaduję się od młodych ludzi.

Masowe zasiedlanie rozdzielonego murem miasta rozpoczęło się poprzedniego dnia wieczorem. 9 listopada w centrum prasowym Berlina Wschodniego przy Mohrenstrasse dobiegała końca konferencja prasowa Güntera Schabowskiego, rzecznika prasowego SED. W owym czasie we wschodnioniemieckich sferach rządowych panowało rozprężenie. Po fali dymisji i przetasowań personalnych władza była kompletnie zdezorganizowana. Nic nie wskazywało na to, że lawinowe ucieczki obywateli na Zachód uda się powstrzymać. Usiłując stłumić społeczne niezadowolenie, reżimowe władze uchwaliły nową ustawę regulującą podróżowanie za granicę. Nie zmieniła ona wiele, bo dużą część dawnych restrykcji zachowano. Na zakończenie kolejnej nudnej i rutynowej konferencji berliński korespondent włoskiej agencji ANSA, Riccardo Ehrman, zapytał rzecznika: „Panie Schabowski, nie sądzi pan, że przyjęta kilka dni temu ustawa wyjazdowa może okazać się błędem?”. Rzecznik przed udzieleniem odpowiedzi wyciągnął z kieszeni zawierającą wytyczne kartkę, którą dostał kilka godzin wcześniej. Wyjaśnił, że pozwolenia będą wydawane po złożeniu wniosku na podstawie ważnego dokumentu tożsamości. Znany ze swojej dociekliwości włoski dziennikarz i obecni na sali dziennikarze naciskali rzecznika kolejnymi pytaniami o otwarcie muru. Ktoś zapytał: „Od kiedy?”. Po chwili zastanowienia Schabowski bąknął: „Według mojej wiedzy, natychmiast”. W rzeczywistości rozporządzenie miało wejść w życie następnego dnia rano, ale ogarnięte kryzysem Politbiuro najwyraźniej nie zadało sobie trudu, by poinformować o tym swojego rzecznika. W jego odpowiedzi kryła się ewidentna sprzeczność: wyjazdy na Zachód nadal wymagały zgody władz, była ona tylko łatwiejsza do uzyskania. Ale jak ustawa mogła wejść w życie ze skutkiem natychmiastowym, skoro wszystkie urzędy już były zamknięte? Była siódma wieczorem. Te trzy słowa – „Ist das sofort” – zmieniły bieg historii. Konferencję transmitowano na żywo w telewizji, więc oświadczenie rzecznika usłyszały miliony obywateli NRD, co dało efekt bomby z samozapłonem. Mówili o tym wszyscy, dzwonili do rodziny i znajomych, w barach wrzały dyskusje. Tysiące Niemców udawało się w kierunku

przejść granicznych, powodując dezorientację „Voposów”, których przecież ciągle obowiązywał *Schiessbefehl*, czyli nakaz strzelania do każdego, kto podejmie próbę przekroczenia muru. *Grenztruppen*, funkcjonariusze straży granicznej, na widok napierającego na punkty kontrolne tłumu, grali na zwłokę, bo nie wiedzieli, co mają robić. Z góry napływały mętne polecenia. W obliczu decyzyjnego zawieszenia, ostatecznie postanowili wypuścić falę goniących za wolnością obywateli.

9 listopada 1989 r. „Mur stoi, ale ludzie stąd idą”

Wśród historyków do dziś trwają spory, gdzie i kiedy otwarto pierwsze przejście graniczne. Jedna z najczęściej spotykanych teorii mówi, że stało się to przy Bornholmer Strasse, w północnej dzielnicy Berlina, niedługo przed godziną dwudziestą czwartą[99]. Oficer Stasi, *Oberstleutnant* Harald Jäger, zniecierpliwiony brakiem wytycznych i pod presją napływającego tłumu, zarządził podniesienie szlabanów. Pogranicznicy zaczęli przepuszczać ludzi. Zdaniem innych badaczy mur pękł już o wpół do dziewiątej wieczorem przy Waltersdorfer Chaussee, na południowo-wschodnich peryferiach miasta[100]. Jedno z najdonioślejszych wydarzeń w dziejach powojennej Europy wymaga więc dodatkowych wyjaśnień.

Można wręcz odnieść wrażenie, że mur runął przez czysty przypadek, którego nikt nie mógł przewidzieć. Radziecki ambasador w Berlinie wyglądał przez okna swojej rezydencji przy Unter den Linden i – nie mając pojęcia, co się wydarzyło – zdumiony obserwował strumień ludności kierujący się w stronę Bramy Brandenburskiej, która znajdowała się w rejonie niedostępnym, na linii demarkacyjnej między Wschodem i Zachodem. Dokładnie w tym samym momencie w Bonn, najbliższy doradca Helmuta Kohla, Eduard Ackermann, zatelefonował do kanclerza, który odbywał oficjalną wizytę w Warszawie, mówiąc, że właśnie w tej chwili mur zaczyna „przeciekać". Ackermann wspominał później, że kanclerz kilkakrotnie się dopytywał, czy to na pewno prawda. Zdaniem funkcjonariusza wschodnioniemieckiego MSW, Gerharda Lautera, komunistyczny reżim, decydując się na wprowadzenie nowych *Reiseregelungen*, nie zdawał sobie do końca sprawy z konsekwencji. Lauter twierdzi, że to z jego inicjatywy w projekcie nowych regulacji dotyczących wyjazdów z kraju znalazł się zapis mówiący o tym, że pozwolenia będą wydawane na podstawie zwykłych wniosków, zaś tytuł rezolucji uchwalonej przez Komitet Centralny mówił tylko o „nowych możliwościach emigracji". Z kolei Egon Krenz – w tym gorączkowym okresie sekretarz generalny SED – kilka lat później wyjawił, że według wstępnych założeń mur miał być otwarty tylko czasowo, jako wentyl bezpieczeństwa, obliczony na chwilowe zamknięcie ust wschodnioniemieckim obywatelom. Oczywiście nie można tu mówić o demokratycznej decyzji, bo gest był po prostu desperacką próbą ratowania niemieckiego komunizmu. Czerwona nomenklatura z reformatorskimi aspiracjami oczywiście nie dążyła do zlikwidowania muru, bo mogłoby się to okazać prostą drogą do jej załamania. Zachód też był nieprzygotowany. Może się to wydać niewiarygodne, ale w Berlinie Zachodnim, w centralnym ośrodku zimnej wojny, obstawionym tajniakami z międzynarodowych wywiadów (tutaj toczyła się akcja wielu filmów szpiegowskich), zaskoczeni zostali nawet agenci CIA, a wszystkie ich prognozy okazały się chybione. „W 1989 roku nie mieliśmy pojęcia, że rozstrój w NRD doprowadzi do zawalenia się muru", przyznał otwarcie w swoich wspomnieniach Robert Gates, w owym czasie szef CIA[101]. To dobry materiał na film o szpiegu, który nie wiedział...

To, że „Panzer-Kommunismus" pękał w szwach, odczuwalne było już latem, kiedy trwał masowy exodus ludności na Zachód. Podczas jesiennych

demonstracji w wielu miastach NRD kryzys nie pozostawiał już wątpliwości. Ustrój był bliski rozsadzenia od wewnątrz, a detonatorem okazała się nieostrożna wypowiedź rządowego rzecznika. „Kleine Frage, grosse Wirkung[102]" – tak kilka miesięcy później skomentował to zajście Willy Brandt, wybitny niemiecki socjaldemokrata, twórca nowej polityki wobec Wschodu, podczas spotkania z Riccardem Ehrmanem, który od tamtej pory zawsze był „tym" dziennikarzem, który zagiął Schabowskiego[103]. Dwadzieścia lat później Ehrman wyjawił, że to historyczne pytanie nie było jego własną inicjatywą i że podsunął mu je szef wschodnioniemieckiej agencji informacyjnej ADN Günter Pötschke, ale przede wszystkim członek KC SED. Kiedy rozmawiali przed konferencją, nakłonił go, by zadał pytanie o pozwolenia na wyjazd z kraju. Zupełnie jak gdyby świadomie chciał sprowokować coś, co dla reżimu miało okazać się zgubą[104]. Swój udział w obaleniu muru mają też więc jednocześnie: trochę już sfrustrowany komunista, skrupulatny dziennikarz i nieco rozkojarzony rzecznik prasowy. Ale mur z pewnością nie runął przez przypadkowe zrządzenie losu, lecz dzięki działającej w historii „chytrości rozumu", o której mówił Hegel. Ludzie wierzący nazywają to Opatrznością.

W ten sposób gwałtowny poryw wolności zakończył dwadzieścia osiem lat koszmaru i w przeciągu kilku godzin położył kres podziałom, ludzkim dramatom, represjom, przemocy i niepotrzebnym ofiarom. W ciągu trzech dni i trzech nocy Berlin, przez Chruszczowa sarkastycznie nazywany „odciskiem na amerykańskiej stopie, który można do woli deptać", stał się pępkiem nowego świata. Śpiewom, tańcom i toastom nie było końca. Naród świętował bez przerwy do niedzieli 12 listopada. Znalazłem się w pijanym szczęściem tłumie, przy którym karnawał w Rio wyglądał jak prowincjonalna parada. W mieście pokonałem dziesiątki kilometrów pieszo, bo ulice były zablokowane samochodami z tablicą rejestracyjną NRD, na stacjach metra panował tłok jak na stadionach, a taksówek nie dało się złapać, bo albo były nieosiągalne, albo tkwiły gdzieś w korku. Euforia i beztroska wypełniały wszystkie zakątki w mieście, biedną dzielnicę Moabit i pełną przepychu dzielnicę Charlottenburg, tureckie bary na Kreuzbergu i wykwintne restauracje na Ku'damm. Wszędzie rozlegały się śmiechy i krzyki. Centralnym punktem świętowania była Brama Brandenburska, gdzie ludzie śpiewali i tańczyli wzdłuż muru na oczach „Voposów", którzy nie mieli już czego pilnować.

Zaczęło się zbiorowe niszczenie muru. Ludzie uderzali tym, co akurat mieli w zasięgu: młotkami, ostrymi narzędziami, kilofami, niektórzy nawet gołymi rękami. Każdy chciał usunąć choćby jedną cegłę z barykady, która była już tylko nic nieznaczącym pomnikiem zimnej wojny. Nie oparłem się pokusie zabrania ze sobą takiego fragmentu (trzymałem go w domu, dopóki nie dowiedziałem się, że zawiera azbest i może być szkodliwy dla zdrowia). Wyburzanie muru miało charakter zbiorowego rytuału. Każdy na swój sposób był jego bohaterem, uczestnikiem tego tak potrzebnego dzieła zniszczenia. Z biegiem czasu w ludziach oczywiście odezwała się żyłka handlowa i opatrzone wątpliwymi certyfikatami autentyczności kawałki muru stały się banalnymi souvenirami.

Po okresie biernego przyglądania się exodusowi obywateli, jedyną rzeczą, która została enerdowskim komunistom, było zdemontowanie bariery dzielącej Berlin na pół. Po 9 listopada *Bausoldaten*, którzy zbudowali mur, a potem go umacniali, wydrążyli dziesięć nowych przejść, między innymi na wysokości Potsdamer Platz, jednego z najbardziej reprezentacyjnych placów Europy, który został podzielony przez wytyczoną po drugiej wojnie wewnątrzniemiecką granicę. Najstarsi berlińczycy z nostalgią patrzyli na toczące się prace: przynosili stare, pożółkłe zdjęcia, przedstawiające pełne przepychu kamienice, samochody, tramwaje i spieszących dokądś ludzi. Pewna fotografia przedstawiała sygnalizator świetlny, jeden z pierwszych w XX wieku. Przed wojną plac Poczdamski był strategicznym punktem niemieckiej stolicy, a po zbudowaniu muru stał się ziemią niczyją przylegającą do „strefy śmierci”. W niedzielę 12 listopada jątrząca się od wielu lat rana podziału przestała krwawić. Tymczasem przez przejścia graniczne między obu częściami Niemiec ciągnęły wielokilometrowe sznury samochodów należących do mieszkańców NRD. Szacowano, że każdego dnia do Niemiec Zachodnich wjeżdżało pół miliona przybyszy ze Wschodu. Nie byli już „Flüchtlings”, zbiegami, lecz „Besuchers”, odwiedzającymi, gdyż większość z nich wracała do swoich domów, bo zrozumieli, że mur stał się nic nieznaczącą ruiną. Od tamtej pory nic już nie było takie, jak dawniej.

Mur runął w ciągu jednej nocy, ale szczeliny pojawiały się w nim od pewnego czasu. W okresie bezpośrednio poprzedzającym zburzenie wymykały się już spod kontroli. Jeszcze na początku 1989 roku, 19 stycznia, przewodniczący Rady Państwa Erich Honecker solennie zapowiedział, że mur berliński będzie stał kolejnych pięćdziesiąt, a nawet

sto lat, jako gwarancja stabilności Europy. To proroctwo historia zweryfikowała bardzo szybko. Mieszkańcy coraz częściej porywali się na ucieczki z kraju, choć desperackie próby przedostania się na drugą stronę znienawidzonej barykady regularnie powodowały ofiary śmiertelne. Lawinowo rosła liczba wniosków emigracyjnych. W styczniu 1989 roku władze Berlina Wschodniego zdecydowały o złagodzeniu obostrzeń w ruchu emigracyjnym na Zachód (do tamtej pory pozwolenia wydawano tylko osobom, które osiągnęły wiek emerytalny). Wyglądało to na pierwszy krok ku normalności, który władze wykonały z okazji nadchodzącego czterdziestolecia ustanowienia państwa, ale były to tylko pozory. W ciągu trzech poprzednich lat różnymi sposobami wydostało się na Zachód sto tysięcy mieszkańców. Na początku 1989 roku kolejnych sto tysięcy figurowało na oficjalnych listach oczekujących. Przyszli emigranci dumnie to manifestowali. Na ulicach pojawiało się coraz więcej samochodów z przekreślonymi na tablicy rejestracyjnej dwoma ostatnimi literami z akronimu DDR, z prowokacyjnie zostawioną literą „D”, oznaczającą Niemcy Federalne. W Berlinie Wschodnim krążyło powiedzenie, że z miasta uciekłyby nawet latarnie uliczne, gdyby tylko mogły. Rozpatrywanie wniosków trwało i wielu Niemców nie było w stanie wytrzymać przedłużającego się oczekiwania, więc szukali innych dróg wydostania się z kraju.

Jedną z dróg ucieczki okazały się Węgry, które były popularnym celem wakacyjnych podróży Niemców ze Wschodu. Wewnątrz bloku socjalistycznego kraj ten mógł się poszczycić stosunkowo dobrą kondycją gospodarczą i relatywnie dużym marginesem swobody (cieszył się przy tym opinią „najweselszego baraku w całym obozie”). Władze w Budapeszcie na odważnych reformach gospodarczych nie poprzestały i wyraźnie zmieniły kurs w polityce wewnętrznej. W 1988 roku doprowadzono do dymisji Jánosa Kádára, prosowieckiego dyktatora, który rządził krajem od zakończenia rewolucji w 1956 roku, krwawo stłumionej przez radzieckie oddziały. Symboliczną datą, wyznaczającą narodziny nowych, demokratycznych Węgier, był 16 czerwca 1989 roku, kiedy dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób wzięło udział w ekshumacji i w uroczystym ponownym pochówku Imre Nagya, przywódcy antyradzieckiej rewolty, w 1958 roku skazanego na śmierć. Byłem na placu Bohaterów w Budapeszcie podczas ceremonii i słyszałem rozbrzmiewający z głośników nagrany głos straconego premiera. Tamtego dnia pogrzeb

polityka zbiegł się z jego politycznym zmartwychwstaniem. Wartę honorową przy grobie Nagya pełnili członkowie kierownictwa partyjnego. Widok był niezwykły i nieco surrealistyczny. 8 lipca 1989 roku Sąd Najwyższy zrehabilitował Nagya. Dwa dni wcześniej umarł Kádár. Ten uderzający zbieg okoliczności przypieczętował finał rozgrywającego się nad Dunajem thrillera. Rzeczywistość znów przerosła wszelkie wyobrażenia.

Węgierskim władzom zależało na odcięciu się od przeszłości. Została podjęta decyzja o likwidacji tak zwanego żelaznego płotu ustawionego na granicy z Austrią. Demontaż drutu kolczastego i wież strażniczych, rozpoczęty 2 maja 1989 roku i pokazany przez stacje telewizyjne całego świata, miał nie tylko znaczenie symboliczne. Jego konsekwencje można było odczuć natychmiast. Przez niestrzeżone alpejskie przejścia graniczne, drogami na uboczu, przez leśne gęstwiny i rozległe wiejskie tereny ciągnące się wzdłuż węgiersko-austriackiej granicy, przedostawały się setki Niemców ze Wschodu, w gorączkowej gonitwie za wolnością. Wcześniej byli w Budapeszcie lub udawali wypoczywających nad jeziorem Balaton turystów. Wypływ ludności nasilał się w porze letniej, kiedy tysiące wschodnioniemieckich uchodźców zasiedlały kempingi w okolicach Sopronu, miasta granicznego położonego około 70 km od Wiednia. Korzystali z pierwszej nadarzającej się okazji ucieczki. Ci, którym nie udało się wymknąć przez Węgry, szturmowali zachodnioniemieckie ambasady w Warszawie i Pradze. Rozpoczęła się największa fala emigracyjna od czasu wzniesienia muru. Według danych rządu w Budapeszcie, pod koniec lipca na obszarze Węgier znajdowało się sześćdziesiąt tysięcy obywateli NRD, którzy planowali przedostać się do Austrii. 19 sierpnia w Sopronie, z inicjatywy demokratycznej opozycji węgierskiej, odbył się piknik paneuropejski i na znak solidarności z Niemcami ze Wschodu na kilka godzin otwarto przejście graniczne, tysiącom uchodźców stwarzając okazję ucieczki do Austrii, bo straż graniczna została wycofana. 10 września węgierski minister spraw zagranicznych Gyula Horn w telewizyjnym wystąpieniu ogłosił wprowadzenie ruchu bezwizowego z Austrią. Decyzję motywował względami humanitarnymi. Był to pierwszy wyłom w murze. Pęknięta nad Dunajem burta wywołała powódź, która dla środkowoeuropejskiego komunizmu skutki miała katastrofalne. W ciągu kilku godzin węgiersko-austriacką granicę przekroczyło kilkanaście tysięcy Niemców ze Wschodu.

Napierającego tłumu nie można było w żaden sposób powstrzymać. Wydarzenia wywołały paniczne reakcje w NRD. Rząd wystosował kategoryczny protest do węgierskich władz, oskarżając je o wspieranie nielegalnej emigracji i domagając się natychmiastowego zamknięcia granic. Głosy oburzenia dobiegały też z Czechosłowacji i Rumunii (oba kraje łączyła dezaprobata dla pierestrojki). Układ Warszawski pogrążył się w poważnym kryzysie. Po stronie Węgrów stanął Tadeusz Mazowiecki, przedstawiciele władz ZSRR decyzję Budapesztu uważali za nietypową dla przyjętej polityki, a stanowisko RFN skrytykowali. W Moskwie odbyło się nadzwyczajne spotkanie reprezentantów państw członkowskich, na którym poddano ocenie węgierskich „winowajców".

Niemiecka Republika Demokratyczna stała na krawędzi katastrofy. Długi na Zachodzie rosły, państwu groziło gospodarcze bankructwo, a władze były już całkiem bezradne wobec zmasowanego wypływu swoich obywateli. W świetle raportu zachodnioniemieckiego wywiadu, wniosek o pozwolenie na emigrację złożyło milion sześćset tysięcy Niemców wschodnich. Wnioski z reguły dotyczyły całych rodzin, więc faktycznie liczba ta mogła być trzy-, a nawet czterokrotnie wyższa. Oznaczało to, że co trzeci poddany Honeckera miał w planach przeprowadzkę do kapitalistycznych sąsiadów. Choć fala uchodźstwa nasilała się, to jednak równolegle rosła liczba mieszkańców, którzy pragnęli zostać w kraju i wpłynąć na zmianę politycznej rzeczywistości. Jesienią 1989 roku te dwie tendencje współistniały bardzo wyraźnie. Hasło „Pozwólcie nam wyjechać!" rozbrzmiewało na przemian z deklaracją „My zostajemy!". Ruch antyustrojowy stał się jawny, a jego działacze bezpieczne schronienie znaleźli w Kościele. To nie tylko metafora – przed okrucieństwem represji opozycjoniści ukrywali się w kościołach i zborach ewangelickich, prowadzonych przez pastorów, którzy w walce z dyktaturą zdecydowanie opowiadali się za rozwiązaniami pozbawionymi przemocy. Spotkania modlitewne na rzecz pokoju organizowane przez ruch pacyfistyczny w NRD, zostały pod różnymi postaciami reaktywowane. Sercem protestu był wielki lipski kościół św. Mikołaja (Nikolaikirche), gdzie w każdy poniedziałek odbywały się modlitwy, tak zwane *Friedensgebete*, które przyciągały stale rosnącą rzeszę młodych ludzi, nie uginających się przed środkami represyjnymi Stasi. Bunt rozprzestrzeniał się po całym kraju. Na początku października przez Drezno przejeżdżały „pociągi wolności", transportujące na Zachód rodaków, którzy przez kilka minionych tygodni

koczowali przed ambasadą RFN w Pradze – placówka dyplomatyczna wyglądała jak obóz uchodźców. Tłoczyli się oni w każdym kącie, sypialnie urządzono w gabinetach. W obliczu paraliżu minister spraw zagranicznych RFN Hans Dietrich Genscher wydał wszystkim zachodnioniemieckie paszporty. Przyznanie biletów wjazdowych do upragnionego kapitalistycznego raju pogłębiło frustrację tych obywateli NRD, którzy nadal byli zmuszeni do wegetowania w komunistycznym koszmarze. Na terenie drezdeńskiego dworca wybuchły zamieszki. Sfrustrowana ludność szturmowała pociągi z uchodźcami. W kraju rządzonym przez modelową dyscyplinę rozgrywały się sceny niewyobrażalne. W Berlinie, w Lipsku, Karl-Marx-Stadt i innych miastach na ulicę wyszły tysiące demonstrantów. Protestami zakłócali oficjalne obchody czterdziestolecia NRD. 7 października, dokładnie w rocznicę utworzenia państwa, w Berlinie urządzono imponującą paradę, w której wziął udział nawet sam Gorbaczow. Podczas ceremonii ojciec pierestrojki wygłosił przemówienie. Nie wykraczało ono poza kanon odświętnej retoryki, a mimo to jego nazwisko entuzjastycznie skandował wielotysięczny tłum, na znak sprzeciwu wobec administracji państwowej, blokującej wszelkie reformy. Na spotkaniu z dziennikarzami przywódca Kremla użył słów, które zabrzmiały jak otwarta krytyka towarzysza Honeckera, a ich sens można oddać powiedzeniem: „Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi”. Rocznicowe obchody psuły też antyreżimowe demonstracje, bez skrupułów tłumione przez policję. Komunistyczne Niemcy powoli stawały się beczką prochu. Pojechałem do Berlina z Budapesztu (w węgierskiej stolicy śledziłem burzliwy przebieg kongresu, podczas którego Węgierska Socjalistyczna Partia Robotnicza ogłosiła swój ideologiczny, polityczny i organizacyjny koniec, przekształcając się w partię socjaldemokratyczną). Nad wodami Dunaju zachodziła czerwona gwiazda i zaczynały rozkwitać goździki[105]. Wobec kotłującego się Berlina Wschodniego to doniosłe wydarzenie zeszło jednak na dalszy plan. Nigdy dotąd dwie stolice obozu socjalistycznego nie wydały mi się tak od siebie odległe, choć optymistyczny i kroczący w stronę demokracji Budapeszt i deprymujący, zastygły w archaicznym komunizmie Berlin, dzieliła godzina drogi samolotem.

Wieczorem poszedłem do Gethsemanekirche. Ten ewangelicki kościół był już symbolem nowej opozycji demokratycznej. Zatknięte na kratach albo postawione na schodkach świeczki i lampki rozświetlały noc w jednym z dogorywających reżimów komunistycznych w Europie. Przed

kościołem był tłum, więc nie mogłem dostać się do środka. Zebrali się głównie ludzie młodzi. Różnokolorowa gromada przypominała mi z jednej strony koncert rockowy, z drugiej alternatywny wiec przedwyborczy. Punki, anarchiści, zieloni, młodzież w dyskotekowych strojach spontanicznie dyskutowali, klaskali i krzyczeli. Panujący klimat wolności przywodził mi na myśl Polskę. Tam jednak świadomość była bardziej wyostrzona, umacniana przez katolicką wiarę. W Berlinie miał raczej miejsce chaotyczny bunt, do pewnego stopnia mający korzenie w charakterystycznych dla Kościoła protestanckiego działaniach humanitarnych wobec Trzeciego Świata. Opozycjoniści, owszem, spotykali się pod gotyckimi sklepieniami świątyń, ale niewielu deklarowało się jako wierzący. Głos zabierali członkowie wielu rozmaitych subkultur, tworzących pstrokatą mieszaninę strojów i emblematów, ale przyświecał im wspólny cel. W przeciwieństwie do rodaków, którzy brali nogi za pas i uciekali na Zachód, oni zamierzali zostać w kraju i wpłynąć na jego przemianę. Nie domagali się rozwiązania NRD, chodziło im tylko o wolność słowa i o demokratyczny przełom. Pierwszy tego symptom miał miejsce 9 października. W kościele św. Mikołaja w Lipsku zebrało się siedemdziesiąt tysięcy manifestantów i tym razem służby porządkowe nie użyły przeciwko nim pałek i armatek wodnych. Po raz pierwszy od rozpoczęcia fali protestów władze zrezygnowały z użycia siły i zadeklarowały gotowość do rozmów. Ten dzień przesądził o losach Niemieckiej Republiki Demokratycznej[106]. Było to dokładnie miesiąc przed zburzeniem muru.

Wydarzenia nabierały zawrotnego tempa. 18 października Erich Honecker, budowniczy muru i przez prawie dwadzieścia lat gospodarz szesnastu milionów Niemców, został odsunięty od władzy. Stracił funkcję sekretarza generalnego SED i przewodniczącego Rady Państwa[107]. Zastąpił go Egon Krenz, którego rządy były już prostą drogą do rozwiązania Niemiec Wschodnich, choć ludziom zapadł w pamięć chyba tylko jego koński uśmiech. W pierwszych dniach listopada milion obywateli przeszło przez Alexander Platz, domagając się wolnych wyborów i wznosząc plakaty z wizerunkiem Krenza w przebraniu wilka z bajki o Czerwonym Kapturku, podpisanym: „Babciu, babciu, jakie ty masz wielkie zęby!”. Niebawem do dymisji podało się całe Politbiuro. Elity intelektualne i przedstawiciele ugrupowań opozycyjnych wystosowali do społeczeństwa apel o zbudowanie „socjalizmu demokratycznego”, a rodaków wezwali do

pozostania w kraju. Jak na ironię, manifest opublikowano 9 listopada, kilka godzin przed otwarciem muru. Ale to właśnie ci ludzie byli bohaterami zrywu, który później nazwano „pokojową rewolucją". Bez nich mur prawdopodobnie jeszcze by stał. W obliczu jego spektakularnego upadku opozycja musiała zmienić swoje oczekiwania wobec przemian NRD, które miały uczynić kraj demokratycznym nie tylko z nazwy, bo teraz jedynym scenariuszem – od tej pory realizowanym już bardzo dynamicznie – było dużo dalej idące *Wiedervereinigung*, zjednoczenie Niemiec. Wiadomość ta obiegła świat 19 grudnia, kiedy w Dreźnie kanclerza Kohla witano okrzykami: „Wir sind ein Volk!" (jesienią manifestanci wołali: „Wir sind das Volk![108]"). Kulminacja roku 1989 w NRD miała miejsce 22 grudnia podczas uroczystego otwarcia Bramy Brandenburskiej, udekorowanego uściskiem dłoni Hansa Modrowa, premiera Niemiec Wschodnich, i kanclerza Kohla, który dziesięć miesięcy później był już niekwestionowanym przywódcą zjednoczonych Niemiec. Historia nabrała rozpędu i rozpoczętego procesu nikt już nie mógł powstrzymać.

96 Niem. „nic się nie stało" (przyp. tłum.).

97 RFN wypłacała Niemcom ze Wschodu po 100 DM na osobę, tzw. Begrüssungsgeld, pieniądze na powitanie (przyp. tłum.).

98 Kaufhaus des Westens (przyp. tłum.).

99 Tak twierdzi wielu historyków, m.in. Hans-Hermann Hertle, który przez wiele lat prowadził na ten temat badania.

100 Tę informację podała niemiecka publiczna stacja telewizyjna ZDF w filmie dokumentalnym wyemitowanym w 2009 roku z okazji dwudziestej rocznicy upadku muru.

101 R. Gates, *From the Shadows. The Ultimate Insider's Story of Five Presidents and How They Won the Cold War*, Simon & Schuster, New York 2007.

102 Niem. „Małe pytanie, wielki efekt" (przyp. tłum.).

103 Tego samego wieczoru Riccarda Ehrmana, „dziennikarza, który zadał pytanie", przy przejściu granicznym na Friedrichstrasse Niemcy nosili na rękach.

104 Według badań niemieckich historyków, całe zajście mogło być ukartowane przez władze, które chciały ogłosić rozporządzenie w możliwie dyskretny sposób, kamuflując w ten sposób swoją porażkę, więc – posługując się szefem agencji ADN – podpuściły włoskiego dziennikarza, żeby zapytał o pozwolenia na wyjazdy z kraju (przyp. tłum.).

105 Czerwony goździk jest symbolem Włoskiej Partii Socjalistycznej (przyp. tłum.).

106 Tę arcyciekawą tezę postawiła młoda włoska badaczka Paola Rosà. W swojej książce *Lipsia 1989. Nonviolenti contro il Muro* (*Lipsk 1989. Na mur bez przemocy*), Il Margine, Trydent 2009, wskazała na decydującą rolę pastorów i ruchu oporu o religijnym podłożu.

107 Po krótkotrwałych aresztowaniach, Honecker znalazł się w radzieckim szpitalu, by wreszcie w marcu 1991 roku uciec do Moskwy. W NRD wytoczono mu proces i obwiniono m.in. za śmierć

obywateli zabitych podczas próby przekroczenia muru (Honecker do końca zapewniał, że jego budowa pozwoliła uniknąć trzeciej wojny światowej). Władze ZSRR odmówiły jego ekstradycji. Ostatecznie w 1992 roku trafił do Niemiec, ale proces zawieszono ze względu na zły stan zdrowia Honeckera, choć ta decyzja wywołała wiele kontrowersji. Były przywódca wyemigrował do Chile, gdzie zmarł w 1994 roku.

108 Różnica polega na użyciu najpierw rodzajnika nieokreślonego „ein” (jakiś, pewien, także liczebnik „jeden”), a następnie rodzajnika określonego „das" (przyp. tłum.).

Rozdział IV
Praga. Aksamitna rewolucja przeciwko stalowej dyktaturze

W Czechosłowacji żywą tradycję ma legenda o św. Agnieszce Przemyślidce, patronce Czech. To jedna z tych bohaterek dawnych dziejów, którym w wierzeniach ludowych przypisuje się moc sprawiania cudów. Legendę tę usłyszałem od księdza Josefa Zvěřiny, myśliciela skupionego na teologii „innego świata", czyli europejskiego Wschodu, „przesiąkniętego nienawiścią władzy do Kościoła". Ksiądz Josef ma głowę wielką jak rolnik z jego ojczystych Moraw, a oczy żywe jak u dziecka. Ten przenikliwy intelektualista o szerokiej perspektywie, zdolny do niezależnego myślenia i ironicznego dystansu, został wykluczony z oficjalnego obiegu kulturalnego. Na własnej skórze doświadczył dwóch dwudziestowiecznych reżimów totalitarnych. Był więźniem obozu koncentracyjnego, potem na czternaście lat zamknęli go komuniści. Tak jak wielu katolickich duchownych w kraju, nie ma państwowej zgody na posługę. Czas wykorzystuje na pogłębianie wiedzy i pisanie. Jego *List do chrześcijan Zachodu* (1970) jest wyrazem dalekowzrocznej optyki związanej z „Kościołem milczenia". Skierowany był do wszystkich, którzy wierzyli, że wiarę i marksizm można pogodzić. Ksiądz Zvěřina miał inną koncepcję zaangażowania obywateli w politykę: „Kłamstwu i nienawiści kres możemy położyć tylko drogą głośnego wypowiadania prawdy i praktykowania miłości bliźniego". Ideologicznie była ona pokrewna Karcie 77, do której Zvěřina przyłączył się już na samym początku. Wszystkie te okoliczności przyczyniły się do odebrania mu paszportu. Jego dom w położonej na wzgórzu praskiej dzielnicy Smíchov był zawsze otwarty dla gości, przyjaciół i dziennikarzy. Spotkanie z tym człowiekiem było dla mnie jak powiew świeżego powietrza w miazmatach reżimu. Potrafiłem słuchać go godzinami bez znużenia. Śmiał się na wspomnienie o tym, jak swoje pierwsze rozprawy teologiczne pisał na papierze toaletowym, bo w celi nie miał do dyspozycji nic innego. O św. Agnieszce mówił, że ta żyjąca w XIII wieku czeska księżniczka odrzuciła dynastyczne

konwenanse, odmawiała zamążpójścia kolejnym dziedzicom królewskich dworów i poświęciła się życiu zakonnemu, służbie ubogim oraz trędowatym. „Była osobą skromną i szlachetnego ducha, prostą i upartą, trochę tak jak my...”, zażartował. Dopiero w XIX wieku została błogosławioną, ale przez chrześcijan była czczona już wcześniej, mimo że jej proces beatyfikacyjny, a później kanonizacyjny ciągnął się przez stulecia. „Ludzie mówią, że Agnieszka potrafiła się nie spieszyć. Mamy takie popularne powiedzenie: kiedy Kościół oficjalnie uzna ją za świętą, wydarzy się cud”. Tak w połowie lat osiemdziesiątych mówił Josef Zvěřina.

Kanonizację bł. Agnieszki Czeskiej Jan Paweł II zapowiedział na początku 1989 roku. Uroczystości zaplanowano na 12 listopada. Słowiański papież z pewnością znał legendę o przyszłej świętej, ale czy ktokolwiek mógł przewidzieć, że trzy dni wcześniej runie mur berliński i że w tym samym czasie w Bułgarii zostanie obalony rząd Todora Żiwkowa, najdłużej panującego dyktatora demoludów, pozostającego przy władzy przez ostatnich trzydzieści pięć lat? „Jestem pewien, że do znaczących przemian dojdzie szybko i w naszym kraju”, powiedział z uzasadnionym optymizmem arcybiskup Tomášek, kiedy przybył do Watykanu na ceremonię kanonizacji w Bazylice św. Piotra. Odważny kardynał do Rzymu nie przyjechał sam – pozwolenie na wyjazd z kraju dostało dziesięć tysięcy jego rodaków; uroczystość tę transmitowała na żywo czechosłowacka telewizja. To były dwa małe cuda, choć wobec tego, co miało się jeszcze wydarzyć, bardzo znaczące. Pięć dni później, 17 listopada, kiedy pielgrzymi pod przewodnictwem Tomáška wrócili do kraju, w Pradze rozpoczynał się pokojowy protest, który w ciągu kilku tygodni doprowadził do miażdżącego upadku jednego z najbardziej zatwardziałych i skostniałych reżimów komunistycznych. Josef Zvěřina w formie poetyckiej opisał ten zbieg wydarzeń, który dla niego, jako człowieka wierzącego, miał głębszy sens:

> Błogosławieństwo świętej Agnieszki nie spłynęło tylko na obecnych w Watykanie, ale również na wszystkich, którzy zostali na ojczystej ziemi: w Pradze, gdzie milicjanci usunęli kwiaty z cokołu jej pomnika (...), potem jeszcze dopuścili się brutalnych czynów wobec młodych (...). *Missa solemnis* nie zakończyła się w św. Piotrze. Trwała nadal w poświęceniach i przelewie krwi młodych ludzi, w prośbach wznoszonych do świętej, która trwa w modlitwie jak skała. (...) Tak oto łagodną przemocą i subtelną siłą wieczność wdziera się w koleje życia [109].

Subtelna siła czechosłowackiego Kościoła ujawniła się już wcześniej. W 1985 roku w Welehradzie, po uroczystościach upamiętniających rocznicę śmierci św. Metodego, można było odnieść wrażenie, że żyjący przez dłuższy czas na granicy legalności katolicy zaczęli odczuwać satysfakcję z manifestowania swojej wiary. W styczniu 1988 roku pojawiła się nośna ogólnonarodowa inicjatywa, która odcisnęła silne piętno na życiu Kościoła w kraju. Była to tak zwana petycja 31 punktów, zatytułowana „Katolicy o warunkach rozwiązania sytuacji wierzących obywateli w CSRS", w której postulowano między innymi całkowity rozdział Kościoła od państwa (w reakcji na rządowe weto wobec nominacji nowych biskupów oraz na blokowanie niezależnej organizacji religijnej i kulturalnej obywateli w dziedzinie nauczania i zrzeszania się). Petycję opracował morawski katolik Augustin Navrátil, ojciec dziewięciorga dzieci, który po wywłaszczeniu z ziemi przez państwo pracował na kolei. Wcześniej petycje kierował do lokalnych władz, protestował przeciwko usuwaniu ze wsi przydrożnych krzyży. Potem pisał listy do ministrów, skarżąc się na brak swobód wyznaniowych. Był na przemian aresztowany, przesłuchiwany i zamykany w szpitalach psychiatrycznych, a po zwolnieniu zastraszano go i bito. Navrátil nie dawał za wygraną, przeciwnie, rozszerzał swoją działalność. Zyskał poparcie kardynała Tomáška, który podpisał petycję 31 punktów – oficjalne „imprimatur" zapewniło akcji poparcie Kościoła. W ciągu kilku miesięcy dokument podpisało pół miliona ludzi, w tym wielu niewierzących. Postawili się ustrojowi z otwartą przyłbicą, bo podawali imię, nazwisko i adres zamieszkania. Dwadzieścia lat po praskiej wiośnie pragnienie zmian budziło się na nowo. W 1968 roku impulsem protestów były działania partyjnych „normalizatorów", tymczasem akcja z 1988 roku miała charakter oddolny. Nie zainicjowali jej ani intelektualiści, ani nawet duchowni, lecz zwyczajny wierny, który odważył się głośno wyrazić potrzebę wolności nie tylko dla wspólnoty wyznaniowej, ale i dla całego społeczeństwa obywatelskiego. Kardynał Tomášek taką postawę nazywał „pedagogiką nadziei".

Kościołowi katolickiemu w Czechach sprawa narodowa nie była tak bliska, jak Kościołowi w Polsce. W przeszłości jednym z jej orędowników był Jan Hus, ale okrzyknięto go heretykiem i spalono na stosie na Soborze w Konstancji w 1415 roku (na Rynku Staromiejskim w Pradze mieszkańcy postawili mu pomnik). Sfery klerykalne w kraju cieszyły się jednak dużą wiarygodnością moralną, i to w społeczeństwie, w którym tradycje laickie

były bardzo silne. Na początku 1989 roku ustrój musiał się zmierzyć z opozycją, która nie była już ograniczona do wąskiego grona dysydentów, lecz przyciągała liczne rzesze różnych grup społecznych. 16 stycznia w Pradze tysiące ludzi zebrały się na placu Wacława, by uczcić rocznicę tragicznej śmierci studenta Jana Palacha, który dwadzieścia lat wcześniej dokonał w tym miejscu samospalenia, wyrażając w ten sposób swój sprzeciw wobec radzieckiej interwencji. „Demonstrację bez zezwolenia" rozpędziła milicja, przy wydatnym wsparciu pałek i armatek z zimną wodą. „Chcemy ciepłej!", wołali przekornie manifestanci. Pozbawieni poczucia humoru mundurowi aresztowali setki uczestników protestu, których natychmiast postawiono przed sądem. Wśród nich był Václav Havel, jeden z rzeczników Karty 77, skazany za chuligaństwo na osiem miesięcy rygorystycznego więzienia[110]. Nad Wełtawą niewiele się zmieniało. Klasa polityczna powoli zaczynała się degenerować. Sytuację w Czechosłowacji wiernie ilustruje wcześniejsza słynna powieść *Proces* Franza Kafki, w której pojawiają się postacie bezdusznych milicjantów, otępiałych urzędników, skorumpowanych funkcjonariuszy i nieuczciwych pracowników wymiaru sprawiedliwości.

Na szczytach władzy doszło do kilku roszad. W 1987 roku inicjator „normalizacji" Gustáv Husák został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska sekretarza generalnego KSČ (Komunistická strana Československa), a zastąpił go Miloš Jakeš, starszawy już oficjel z tej samej frakcji; Husák nadal sprawował funkcję prezydenta. W sferach politycznych trwała intensywna debata na temat przeprowadzenia *přestavby*, czeskiego odpowiednika pierestrojki, ale jedynym jej rezultatem było odsunięcie od władzy premiera Lubomíra Štrougala, który był zwolennikiem daleko idących przemian. Znów zaczęto mówić o praskiej wiośnie. Powstało nawet stowarzyszenie byłych członków partii i zwolenników Dubčeka, więc dostał on szansę na wyjście z cienia. W listopadzie 1988 roku ideolog „socjalizmu z ludzką twarzą" dostał pozwolenie na wyjazd do Włoch, gdzie miał odebrać tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Bolonii. W opinii ambasadora ZSRR we Włoszech, Nikołaja Lunkowa, „występowały pewne podobieństwa między kursem, jaki obrała Czechosłowacja w 1968 roku i polityką realizowaną obecnie w ZSRR". Jednak kiedy Dubček poprosił o polityczną rehabilitację, Kreml milczał.

Większy lęk niż przed pierestrojką reżim w Czechosłowacji odczuwał przed rozprzestrzenianiem się tendencji wolnościowych, które w 1989 roku

zaczynały nasilać się w Polsce i na Węgrzech. Gdy Havel był w Pradze sądzony i skazywany, w Teatrze Powszechnym w Warszawie, przy pełnej widowni wystawiano jego sztuki. Z pierwszego rzędu oglądał ją minister Rakowski. Komuniści czechosłowaccy wiadomość o tym najpierw przyjęli z niedowierzaniem, potem wpadli w szał. Największym ciosem było dla nich to, że w sierpniu Węgierska Partia Komunistyczna i polski parlament potępiły interwencję wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, apelując, by nigdy więcej czołgi bratnich armii nie wyjeżdżały w obronie socjalizmu. Mur berliński wtedy jeszcze stał, ale do Pragi przyjeżdżały tysiące emigrantów z NRD, gdzie przyjmowano ich z dużą sympatią i otwartością. Jakeš rządził pod presją państw ościennych i jawnej krytyki ze strony własnych obywateli. Przy każdej ważnej rocznicy coraz większe tłumy wychodziły na ulicę z protestami. 28 października, kiedy przypada Dzień Niepodległości Pierwszej Republiki Czechosłowackiej (proklamowanej w 1918 roku), stolicę kraju zalały dziesiątki tysięcy zwolenników Karty 77. Planował do nich dołączyć Václav Havel, gestem wielkiej łaskawości władz wypuszczony przed terminem, bo jego wyrok ze stycznia tego samego roku został skrócony. Słynnego dysydenta zatrzymali jednak agenci wywiadu i uniemożliwili mu udział w wiecu. Aresztowano go kolejny raz, ale ten miał być już ostatni. W kraju dominowało przekonanie, że po Polsce, Węgrzech i Niemczech Wschodnich polityczne przemiany nieuchronnie nadejdą także tu. Sytuacja była już tak nabrzmiała, że wystarczyła niewielka rysa, by ustrój pękł. Jak na ironię, falę uderzeniową, która zrujnowała komunistyczny reżim, wywołała pokojowa manifestacja antyfaszystowska. Prascy studenci dostali od władz zgodę na publiczne uczczenie (w piątek 17 listopada) pięćdziesiątej rocznicy śmierci zamordowanego przez hitlerowców studenta Jana Opletala. Kiedy składano hołd na jego grobie, znajdującym się na cmentarzu w 2. dzielnicy, wygłaszano hasła potępiające nie tylko dawną dyktaturę nazistowską, ale przede wszystkim obecnie panującą dyktaturę czerwoną. W przemarsz demonstrantów włączali się kolejni ludzie (podobno spontanicznie, ale istnieje też teoria mówiąca, że wyreżyserowali to sami organizatorzy). Schodzili wzgórzem w stronę placu Wacława, w którym cały naród widział symbol doniosłych wydarzeń. Po przekroczeniu Wełtawy, zbaczając z wytyczonej trasy, skierowali się w stronę ulicy Národni, ale drogę odciął im kordon milicjantów uzbrojonych w pałki i tarcze. Studenci rzucali kwiaty i podnosili ręce do góry na znak pokojowych zamiarów, lecz i tak

zostali brutalnie pobici przez jednostkę specjalną MSW, zwaną „czerwonymi beretami”. Niektórym manifestantom udało się schronić w pobliskiej Café Slavia (tradycyjnym miejscu spotkań artystów i literatów). Wielu innych przewracało się z rozbitymi głowami. Przed Teatrem Narodowym doszło do krwawych starć. Hasła skandowane przez protestujących słychać było na przemian z jękami. Dziesiątki rannych trafiły do szpitala. Mówiono o śmierci jednego studenta, ale informacja okazała się nieprawdziwa. Wydarzenia z 17 listopada manifestanci nazywali już masakrą. Społeczeństwo zaczęło się mobilizować, a jako pierwsi młodym manifestantom swą solidarność okazali aktorzy. Wspólnymi siłami wezwali rodaków do ogólnonarodowego protestu. W podziemnych drukarniach przygotowywano ulotki z hasłem: „Musimy w końcu zareagować!” i rozrzucano je po ulicach. Tymczasem wokół Karty 77 różne ugrupowania opozycyjne utworzyły Forum Obywatelskie (Občanské Fórum), które ogłosiło się „rzecznikiem tej części czechosłowackiej opinii publicznej, która ma coraz więcej do zarzucenia władzy i potępia sięganie po przemoc”. Deklaracja zawierała trzy podstawowe żądania: zdymisjonowanie najwyższych urzędników państwowych, przede wszystkim prezydenta Husáka i sekretarza generalnego KSČ Jakeša, powołanie specjalnej komisji śledczej do zbadania aktów przemocy, których milicja dopuściła się 17 listopada, oraz uwolnienie wszystkich więźniów politycznych. W nadchodzących dniach ludność tłumnie zgromadzona w centralnych częściach miasta najczęściej wołała: „Żądamy dymisji!” i „Wolność!”. Plac Wacława – serce miasta – pękał w szwach. Na balkon redakcji dziennika „Svobodné Slovo” (tę wyjątkowo adekwatną nazwę nosił organ tradycyjnie prorządowy, który w czasie zamieszek wykonał zwrot i opowiedział się po stronie opozycjonistów) wyszedł Václav Havel i został okrzyknięty bohaterem. Stał przy nim jego imiennik, rzecznik Karty 77, ksiądz Václav Malý, który pracował w kotłowni, bo władza zakazała mu sprawowania posługi. Na czele ludowego ruchu znaleźli się więc dramaturg z więzienną przeszłością i duchowny zepchnięty przez reżim na margines. Nawet organ partii komunistycznej „Rudé Právo” napisał o manifestacji na pierwszej stronie i do publicznej wiadomości podał dokładną liczbę uczestników – dwieście tysięcy. Liczba ta, owszem, robiła wrażenie, ale po stokroć bardziej zaskakujący był fakt, że jej źródłem było poddańcze pismo ustrojowe. Państwowa telewizja też pokazała migawki z oblężonej przez

protestujących Pragi i Bratysławy. Strach, piętno opresji, milczenie i rezygnacja mieszkańców bezpowrotnie mijały. W mieście pojawiły się przygotowane naprędce plakaty z żądaniami wolnych wyborów. Ludzie z ożywieniem dyskutowali o nowych perspektywach w polityce. W szkołach i w zakładach pracy powstawały kolejne komitety Forum Obywatelskiego, które – tak samo jak polska Solidarność – jednoczyło intelektualistów i robotników.

Przeżywałem emocje, które znałem już z Polski, tym razem jednak byłem zmuszony obserwować wydarzenia z daleka. Słuchałem serwisów BBC i czytałem zagraniczną prasę, bo w tym czasie odbywałem podróż po Moskwie, gdzie śledziłem losy pierestrojki, w przededniu spotkania Gorbaczowa z Janem Pawłem II, zaplanowanego na początek grudnia w Watykanie. Najprościej było wsiąść do samolotu i polecieć do Pragi, w moim przypadku okazało się to jednak niemożliwe. Wydzwaniałem do czeskiej ambasady w Rzymie, ale attaché prasowy coraz mniej przyjemnym tonem przypominał: „Panie Geninazzi, pański wniosek wizowy, jak wszystkie poprzednie, został odrzucony. Kiedy pan w końcu zrozumie, że nie jest w naszym kraju mile widziany i pańska noga więcej tu nie postanie?”. Areszt i wypędzenie z kraju, które przeżyłem w 1985 roku, były trudną do zmazania plamą w życiorysie[111]. Powstrzymując złość i chęć obrzucenia go inwektywami, zdecydowałem, że lepiej go sprowokuję. Powiedziałem: „Założymy się, że za kilka miesięcy dostanę tę wizę?”.

Myliłem się. Mogłem ją dostać o wiele szybciej. Timothy Garton Ash[112], brytyjski pisarz, historyk oraz wybitny znawca problematyki Europy Wschodniej, w 1989 roku powiedział: „W Polsce to trwało 10 lat, na Węgrzech 10 miesięcy, w NRD 10 tygodni, może w Czechosłowacji zajmie 10 dni?”[113]. W piątek 24 listopada, tydzień od rozpoczęcia protestów, tłum zgromadzony jak zwykle na placu Wacława ze zdumieniem ujrzał ducha z przeszłości, Alexandra Dubčeka, który po praskiej wiośnie zniknął z życia publicznego i odszedł w zapomnienie, wyparty przez Husáka. Niemłody już były przywódca zwrócił się do manifestantów z tym samym sloganem, który propagował w 1968 roku – „socjalizm z ludzką twarzą”. Ludzie skandowali jego nazwisko, ale był to tylko szczery odruch uznania dla bohatera mijającej epoki, bo chyba już przestali wierzyć, że socjalizm mógłby mieć jakąś inną twarz. Liderem listopadowych wydarzeń w Pradze był Václav Havel. Człowiek, który uosabiał nowe nadzieje rodaków na lepszą przyszłość, nie był komunistą i miał w zamyśle szeroko

zakrojone reformy. Jedyną siłą, w którą wierzył, była siła bezsilnych, polegająca na życiu w prawdzie i odrzuceniu zakłamania władz. Bohater, gloryfikowany przez spragniony wolności tłum, nie był trybunem ludu, lecz speszonym i uśmiechającym się z zakłopotaniem człowiekiem, artystą przez okoliczności zmuszonym do pełnienia funkcji „zastępcy polityka", jak zwykł określać swoją rolę. „Jestem tutaj, bo wygląda na to, że nie ma nikogo innego. Polityk w naszym kraju to człowiek zdyskredytowany, będący manipulatorem totalitaryzmu". Havel ucieleśniał przebudzone sumienie narodu. Kiedy pojawił się na balkonie obok Dubčeka, zamierzał prawdopodobnie podkreślić znaczenie historycznego rozwoju, wydobywając z zapomnienia człowieka szlachetnego i dumnego, nie dając się przy tym ponownie zwieść iluzji reformizmu. Gest ów miał wyraźnie polemiczny wydźwięk wobec reżimu Husáka, namiestnika ZSRR, który stłumił praską wiosnę, a po interwencji wojsk Układu Warszawskiego, narzucił nową formę tyranii.

Śledzę wystąpienie Dubčeka na placu Wacława w wieczornym wydaniu wiadomości na pierwszym kanale radzieckiej telewizji. Informacja podana jest w drugiej kolejności, zaraz po tej, która donosi o spotkaniu Mazowieckiego z Gorbaczowem. Wyobrażam sobie chaos w głowach milionów Rosjan, którzy patrzą na ekran i widzą najpierw polskiego katolickiego premiera odwiedzającego Kreml, po chwili tego wywrotowca Dubčeka, który zagrzewa naród, jak gdyby czołgi wysłane z Moskwy wiele lat temu nigdy nie dotarły na miejsce. To kolejna historyczna chwila, którą jest mi dane przeżyć w tym niewiarygodnym 1989 roku. Ale prawdziwa bomba wybucha pod koniec serwisu: najwyższe szczeble KSČ – całe Prezydium KC – złożyły dymisję. System sam ukręcił sobie łeb, bo władze zrozumiały, że popadły w całkowity immobilizm, i nawet już nie próbowały, jak towarzysze na Węgrzech, w Polsce i w NRD (różnymi metodami i z różnym skutkiem), niczego zmienić. Nowi przywódcy, na czele z sekretarzem generalnym partii Karelem Urbánkiem, byli anonimowymi członkami aparatu, nominowanymi przez ustępującą ekipę. Czerwoni funkcjonariusze w Czechosłowacji, pozbawieni wyobraźni i niezdolni do jakiegokolwiek ruchu, mieli teraz wyginąć jak dinozaury. Na koniec jeszcze usłyszeli kilka ostrych słów z ust kardynała Tomáška. 21 listopada w orędziu do narodu prymas mówił: „Ona, córka królewska, odeszła w zacisze klasztoru z miłości do Boga i bliźniego, ale nie przestała być razem ze swoim ludem w jego chwale i upokorzeniu. Również mnie nie

może być obcy los mojego narodu i wszystkich obywateli naszego państwa. Nie mogę milczeć w chwili, kiedy zjednoczyliście się w potężnym proteście przeciwko bezprawiu panującemu w naszym kraju przez ostatnie dziesięciolecia. Nie można mieć zaufania do takiego kierownictwa kraju, które nie ma ochoty mówić prawdy, a ziemi z tysiącletnią tradycją odbiera prawa i swobody uważane za normalne w młodszych państwach Trzeciego Świata. (...) Postulat ukarania winnych jest całkowicie sprawiedliwy. Proszę tylko, byście szli drogą bez przemocy. Walczmy o dobro dobrymi środkami”[114]. Ta na wskroś jednoznaczna wypowiedź była naganą dla ustroju i wyraźnym poparciem dla postulatów Forum Obywatelskiego. Po południu 25 listopada, po zakończeniu mszy dziękczynnej za kanonizację św. Agnieszki, pół miliona wiernych, nie zważając na przenikliwy chłód, udało się na błonia Letná, żądając wolnych wyborów i oddania monopolu władzy komunistycznej partii. Była to najgorętsza manifestacja od czasu rozpoczęcia fali protestów. W przeciwieństwie do wydarzeń z 17 listopada, milicja nie próbowała rozpędzić zgromadzenia. Mundurowi obserwowali zajścia z boku, a przysypywany śniegiem tłum zachęcał ich: „Chodźcie z nami!”. To już była kulminacja aksamitnej rewolucji.

Określenia „Sametová revoluce” po raz pierwszy użyła jedna z działaczek Forum Obywatelskiego[115] i przyjęło się ono jako oficjalna nazwa demokratycznego przewrotu w Czechosłowacji w 1989 roku. Rewolucja była pokojowa i wolna od niekontrolowanego rozlewu krwi. Biegła torem wydarzeń z innych krajów Europy Wschodniej, choć na drodze do wolności nie zabrakło momentów dramatycznych i niejednokrotnie było o krok od wielkiej tragedii. Panujące w Pradze ogromne napięcie szybko przerodziło się w radosne świętowanie. Gniew studentów uczestniczących w brutalnie zdławionym proteście z 17 listopada minął w ciągu kilku godzin, ustępując miejsca mobilizacji narodu, która – mimo dużej skali – daleka była od jakiejkolwiek przemocy. Zapanował optymistyczny, chwilami może nawet swawolny nastrój. Ludzie wręczali milicjantom kwiaty i obklejali miasto plakatami szydzącymi z czerwonych władz. Bronią w tej walce były ironia i improwizacja, celem „ostrzału” – sparaliżowany ustrój i twardogłowi urzędnicy. Nastroje, taktyka i program zmieniały się tak samo dynamicznie, jak dekoracje na politycznej scenie. Wobec praskiego listopada teatralna metafora wydaje się bardzo stosowna: zebrania Forum Obywatelskiego odbywały się w praskim teatrze Laterna magika, który służył za główną siedzibę ruchowi demokratycznemu.

I podobnie nieprzypadkowo bohaterem tego niezwykłego ruchu był autor sztuk teatralnych, Václav Havel, stanowiący rzadki przypadek rewolucjonisty nieprzystającego do stereotypu typowego agitatora politycznego. O swojej roli mówił przewrotnie: „Czuję się jak młody aktor, który odkrywa, że zniknęli odtwórcy głównych ról albo nie są w stanie ich zagrać. I co ma w takiej sytuacji zrobić? Wchodzi na scenę i próbuje dać z siebie wszystko". Wszystkie jupitery skierowane były na niego, tymczasem przegrani partyjni towarzysze odeszli za kulisy jak niepotrzebni już statyści. 29 listopada czechosłowacki parlament, Zgromadzenie Federalne, usunął z konstytucji art. 4 stanowiący partię naczelną władzą w państwie. Wniosek przyjęto niemal jednogłośnie (tylko trzy głosy przeciw) i imponująco sprawnie: Węgry potrzebowały trzech lat debaty, a w Polsce doprowadziły do tego dopiero wybory wygrane przez Solidarność. W Czechosłowacji od chwili, kiedy premier Adamec (jedyny polityk uznawany przez Forum, które za wszelką cenę chciało odciąć się od aparatu partyjnego) skierował wniosek do parlamentu, nie minęła nawet doba. Rozwój wydarzeń nabrał tempa. Havel był pod wrażeniem: „To zdumiewające, że wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie". Z zagranicy napłynęła dobra i długo wyczekiwana wiadomość: na początku grudnia, tuż po maltańskim szczycie ZSRR-USA, zebrani w Moskwie przedstawiciele Układu Warszawskiego, który w 1968 roku wysłał bratnie wojska do Czechosłowacji, wyrazili potępienie dla tego zbrojnego ataku, uznając go za ingerencję w wewnętrzne interesy suwerennego państwa.

Po likwidacji nadrzędnej roli partii, uwolnieniu więźniów politycznych i powołaniu komisji śledczej mającej wyjaśnić zajścia z 17 listopada, Forum Obywatelskie zażądało powołania nowego koalicyjnego rządu oraz zdymisjonowania Husáka. Na placu Wacława dwudziesty dzień z kolei zgromadzili się ludzie. W pewnym momencie wyjęli pęki kluczy i zaczęli nimi brzęczeć, wybijając komunizmowi jego ostatnią godzinę[116]. Praska rewolucja miała swój *happy end* jak w baśni, która w czeskiej tradycji kończy się dźwiękiem dzwonków. 10 grudnia, kiedy na świecie obchodzony jest Międzynarodowy Dzień Praw Człowieka, w Czechosłowacji uformował się tak zwany rząd porozumienia narodowego, w którym obok młodego premiera komunisty Mariána Čalfy zasiedli rekrutujący się z opozycji liberałowie i katolicy. Tego samego dnia złożył dymisję prezydent Gustáv Husák, uosobienie „normalizacji". Dokonało się coś, co przed laty odważył się napisać pod jego adresem

młody buntownik Václav Havel: „(...) pod ciężkim wiekiem bezruchu i pseudodziania się płynie ich [dziejów] ukryty strumyk, z wolna i niezauważalnie podmywając to wieko. Może to trwać długo, ale pewnego dnia stać się musi: wieko nie może już dłużej stawiać oporu i zaczyna pękać”[117]. Ustępujący dyktator opuścił Zamek Praski z wilczym biletem, życząc rodakom wesołych świąt. Wobec tej krótkiej rewolucji, która wywróciła jego władzę, nie przemycił żadnej aluzji[118]. W ciągu kilku dni więźniowie polityczni i zepchnięci na społeczny margines dysydenci wskoczyli na kierownicze stanowiska i objęli ministerialne teki. Był między nimi katolik Ján Čarnogurský, adwokat z Bratysławy, skazany za działalność antysocjalistyczną, uwolniony na początku grudnia i tydzień później nominowany na wicepremiera; Jiří Dienstbier, były dziennikarz relegowany z państwowego radia za działalność opozycyjną, później pracownik kotłowni gazowej w Pradze, został szefem dyplomacji. Mam numer jego domowego telefonu, bo był jednym z tych, którzy pomogli mi dotrzeć do Havla i innych opozycjonistów. Czy do przyznania mi wizy jest ktoś lepszy niż nowo mianowany szef MSZ? Kiedy do niego zadzwoniłem, zażartował: „Nie ma sprawy, ale tym razem bądź miły dla władz”. Attaché w czechosłowackiej ambasadzie unikał mojego wzroku. Na jego twarzy malował się smutek osoby, która wie, że niebawem straci pracę. W mgnieniu oka podał mi wizę. „Dziękuję, w Pradze musi być teraz cudownie”, dorzuciłem uszczypliwie.

I tak właśnie było. Czechosłowacka stolica narodziła się na nowo. Twarze mieszkańców promieniały entuzjazmem. Całe miasto wytapetowano plakatami z hasłem „Havel na Zamek!”. Człowiek, który ustrój pogardliwie nazywał „żyjącą nicością”, były skazaniec, jeszcze kilka miesięcy wcześniej siedzący w areszcie, z woli narodu objął najwyższy urząd w państwie. 29 listopada Václava Havla mianowano prezydentem wciąż istniejącej Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej. Zabawne, że pierwszego niekomunistycznego gospodarza zamku na Hradczanach wybrał jednogłośnie parlament, w którym komuniści mieli absolutną większość. Zgodnie z uświęconą już tradycją Havel udał się do wznoszącej się między murami zamku Katedry św. Wita, by wziąć udział w ceremonii dziękczynnej. Złożył hołd spoczywającym w kościele czeskim królom oraz relikwii św. Agnieszki[119]. Zgromadzeni wierni, tak samo jak prezydent Tomáš Masaryk po ustanowieniu w 1918 Republiki Czechosłowackiej, wołali: „Pravda vítězí”. Po okresie kłamstw realnego socjalizmu to motto

znów zyskało na aktualności. Byłemu wrogowi ustroju, który obejmował najważniejszy urząd w państwie, przyjaciele podarowali wielką szczoteczkę do zębów jako pamiątkę po jedynym przedmiocie użytku osobistego, który mógł mieć za kratkami. Nowy prezydent był wizytówką odrodzonej Czechosłowacji. W przemówieniu wygłoszonym na koniec roku mówił o miłości bliźniego, pokorze i przebaczeniu. Jan Paweł II słuchał go przez radio i wyraził swój podziw: „Ten człowiek nie jest politykiem, to ktoś, kto lubi mówić, jak jest naprawdę". Havel zaprosił Ojca Świętego do Pragi. Papież bardzo wyczekiwał tej pielgrzymki, a kiedy do niej doszło, w kwietniu 1990 roku, nie była tylko przypisem do aksamitnej rewolucji, lecz jej ukoronowaniem. Podczas powitalnego przemówienia prezydent swym chrypliwym głosem powiedział: „Nevím, zda vím, co je to zázrak" – Nie wiem, czy wiem, co to jest cud, ale mimo to ośmielam się stwierdzić, że w tym momencie uczestniczę w cudzie". Miliony Czechów przybyłych na spotkanie z „papieżem wolności" nie mogły uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jan Paweł II zwrócił się do nich poetycką przenośnią: „Mamy dziś przed sobą ruiny jednej z wielu wież Babel w ludzkich dziejach". Obok Ojca Świętego łzy wzruszenia ocierał już zaawansowany wiekiem kardynał Tomášek. Później mi się zwierzył: „Po tej pielgrzymce wreszcie mogę powtórzyć za starcem Symeonem: Teraz, o Władco, pozwól odejść słudze Twemu w pokoju, według Twego słowa[120]. Kilka dni wcześniej od stowarzyszenia księży kolaborantów „Pacem in terris" otrzymał list z informacją o samorozwiązaniu i prośbą o przebaczenie. Praska rewolucja nadeszła późno, ale nadrobiła stracony czas. Najbardziej zachodnie państwo Wschodniej Europy odzyskało swoje miejsce w historii.

109 J. Zvěřina, *La gioia di essere Chiesa* (*Radość z bycia Kościołem*), CSEO, Bolonia, 1990, s. 58.

110 Havel był bardziej świadkiem niż uczestnikiem tych zajść. Został aresztowany na ulicy w drodze do domu. Sam to określił „absurdalnym zatrzymaniem i skazaniem za to, że patrzył, jak ktoś gdzieś składa fiołki" (przyp. tłum.).

111 Choć byłem obywatelem obcego państwa, to w archiwach StB (dziś dostępnych online) moje nazwisko figurowało w sekcji kontrwywiadu (Wydział X), która zajmowała się „wrogami wewnętrznymi".

112 T.G. Ash, *Le rovine dell'Impero. Europa Centrale 1980–1990*, Mondadori, Mediolan 1992, s. 320 (książka ukazała się w języku włoskim – przyp. tłum.).

113 To hasło miało żywy rezonans i jesienią 1989 roku bardzo często pojawiało się w miejscach publicznych (przyp. tłum.).

114 Cyt. za: B. Svoboda, *Po stronie narodu. Kardynał František Tomášek w boju z reżimem komunistycznym (1965–1989)*, tłum. J. Nalepa, WAM, Kraków 2013, s. 241–243 (przyp. tłum.).

115 Mowa o Ricie Klímovej, która wówczas pracowała jako tłumaczka zagranicznych dziennikarzy, a później została ambasadorką czechosłowackiego rządu w Stanach Zjednoczonych.

116 Stało się to w chwili, kiedy stojący na balkonie obok Havla Karel Gott i Karel Kryl zaintonowali hymn państwowy. W ślad prażan poszli również mieszkańcy innych miast. Gest stał się jednym z symboli aksamitnej rewolucji (przyp. tłum.).

117 List Vacláva Havela [sic!] do Gustáva Husáka z dn. 8 kwietnia 1975 r., w: „Krytyka”, nr 1, lato 1978, s. 75.

118 W ostatnich latach swojego życia Gustáv Husák (zmarł w listopadzie 1991 roku w Bratysławie) przeszedł na katolicyzm, co podał do wiadomości kardynał Ján Sokol, prymas Słowacji, który udzielił byłemu dyktatorowi sakramentu pokuty, a na łożu śmierci ostatniego namaszczenia.

119 Zdumiewającą ironią losu jest to, że Václav Havel był jednocześnie pierwszym i ostatnim demokratycznym prezydentem postkomunistycznej Czechosłowacji (od grudnia 1989 roku do lipca 1992 roku). Na Hradczanach został przez kolejne dziesięć lat, jako prezydent Republiki Czeskiej, po ostatecznym odłączeniu Słowacji w 1993 roku. Zmarł 18 grudnia 2011 roku w wieku 75 lat. Jeden ze swoich ostatnich tekstów poświęcił św. Agnieszce Czeskiej. Napisał w nim między innymi: „Droga Agnieszko, dziękuję, że w listopadzie 1989 roku wyciągnęłaś ku nam pomocną dłoń. Proszę cię, trzymaj ją zawsze w gotowości, bo może nam się jeszcze przydać”.

120 *Biblia Tysiąclecia*, Łk 2, 29–32. Kardynał Tomášek zmarł 4 sierpnia 1992 roku w wieku 93 lat.

Rozdział V
Rumunia. Spisek pod pozorami rewolucji

Kule wystrzelone prosto w okno nie są wymarzonym prezentem gwiazdkowym. Snajper stał na najwyższym piętrze budynku znajdującego się naprzeciw hotelu InterContinental, więc z łatwością wziął mnie na muszkę. Napędził mi strachu, ale obyło się bez większych strat, jeśli nie liczyć wielkich dziur w szybach, przez które teraz dostaje się mroźne powietrze. Od tej pory jedynym zabezpieczeniem (przed zimnem, nie przed kulami) jest szczelnie zasunięta gruba wełniana zasłona. Na próżno proszę o nowy pokój. Hotel jest przepełniony, bo z całego świata przyjechali dziennikarze, by śledzić losy rumuńskiej rewolucji, która wieńczy serię przełomów 1989 roku. Bukareszt, 25 grudnia. Najbardziej drastyczny reżim bloku komunistycznego dobiega kresu w konwulsjach niepotrzebnej przemocy, przy hukach wystrzałów i przelewie krwi. Spektakularny upadek dyktatury został przypieczętowany wydanym natychmiast wyrokiem śmierci na tyrana i jego żonę. O rozstrzelaniu dyktatorskiej pary dowiaduję się, kiedy przyjeżdżam do Bukaresztu późnym popołudniem w Boże Narodzenie. Informację tę potwierdza nie posiadający się z radości taksówkarz, który usłyszał ją w radio. Nasz entuzjazm przeradza się w irytację, gdy w kłębach dymu próbujemy przedrzeć się przez ustawione na ulicach barykady i płonące pojazdy opancerzone, a w oddali ciągle słychać strzały i odgłosy eksplozji. Kiedy docieram do hotelu z nadzieją, że w końcu jestem bezpieczny, okazuje się, że zagrożenie nadal jest bardzo realne. To *terorist*, jeden z lojalnych wobec dotychczasowej władzy funkcjonariuszy sił porządkowych, którzy ukrywają się w podziemiach pałaców dyktatora i pojawiają znikąd na dachach lub poddaszach. Strzelają nie tylko do uczestników rewolty, ale i do niewinnych ludzi. Gdzie nie spojrzeć, są ich całe bandy. Krąży pogłoska, że przyłączyli się do nich również agenci Securitate, którzy tak bardzo utożsamili się z przywódcą, że po jego śmierci nie mają już nic do stracenia. Ci fanatycy bez szczególnych oczekiwań, ale wciąż dobrze zorganizowani i wyposażeni, stawiają opór regularnej armii, która przeszła na stronę rewolucjonistów. Między innymi

w tym można szukać przyczyn anomalii rumuńskiej rewolucji, która na tle w większości pokojowych i względnie spokojnych przemian ustrojowych w innych krajach Europy Wschodniej była wyjątkowo krwawa. Uderzało w niej nie tylko bestialskie okrucieństwo, lecz właśnie owa ambiwalencja, która towarzyszyła procesowi wyswobadzania bałkańskiego kraju.

Opinia publiczna wciąż nie jest świadoma wielu szczegółów tych wydarzeń, dlatego warto o nich opowiedzieć.

Bukareszt, grudzień 1989 r. Autor w swoim pokoju w hotelu InterContinental, niedługo po ostrzelaniu okien przez snajpera

Dla anachronicznego ustroju opartego na skrajnym despotyzmie każda, nawet pozornie nic nieznacząca zmiana, może okazać się tragiczna w skutkach. Geniusz Karpat miał tego świadomość, ale jednocześnie był przekonany, że żyje z dala od wszelkich zagrożeń. Odrzucił pierestrojkę, co powiedział Gorbaczowowi prosto w oczy podczas jego wizyty w Bukareszcie w maju 1987 roku. Wynikało to nie tyle z przywiązania do

ideologii, ile z instynktu samozachowawczego. Sytuacja w Europie gwałtownie się zmieniła latem 1989 roku, kiedy PZPR zrezygnowała z wyłączności władzy, oddając ją częściowo w ręce demokratów. Wydarzenia w Polsce do głębi wstrząsnęły rumuńskim tyranem. Widział w nich niebezpieczną woltę w kierunku kapitalizmu i czuł, że musi zareagować. Ogłosił gotowość przekazania dwóch miliardów dolarów na wyciągnięcie Polski z gospodarczej zapaści. Ale na tym nie koniec. Nakłaniał Układ Warszawski do ratowania socjalizmu sposobami, jakich użyto w 1968 roku przeciwko Czechosłowacji, bo w jego przekonaniu był on o krok od utonięcia w wodach Wisły. Podczas praskiej wiosny Rumunia odmówiła wysłania swoich oddziałów do bratniego państwa, tym razem jej przywódca interwencję uważał nie tylko za zasadną, ale i nie cierpiącą zwłoki. Wschodnioeuropejskie władze zignorowały jego apel, więc wściekłość i tak już odsuniętego na margines dyktatora narastała. W ślad za Polską poszły Węgry. Pod koniec października Ceauşescu publicznie nazwał je „sługusami kapitalistów”. Jednak najgorsze miało dopiero nadejść: upadek muru berlińskiego i obalenie ustroju w Czechosłowacji. Opuszczony przez Moskwę i potępiony przez Zachód dyktator żyjący w strachu przed wybuchem demokratycznej rewolucji, która już była u drzwi, zaostrzył nacisk i kontrolę milicyjną wewnątrz kraju. Narodowa rewolta nie była tym, przed czym drżał najbardziej. Był święcie przekonany, że społeczeństwo jest na tyle mocno zakneblowane, że nie ma szans na jakikolwiek opór i nie odważy się podnieść na niego ręki. Prawdziwą obsesją Wielkiego Wodza był spisek w najbliższym otoczeniu, taki, jaki w Bułgarii w krótkim czasie doprowadził do obalenia Todora Żiwkowa. Bezboleśnie przeprowadzony zamach stanu i knowania w typowo bałkańskim stylu miały niewiele wspólnego z przejrzystymi i odważnymi ruchami obywatelskimi w Europie Środkowej.

W Bukareszcie też można było zaobserwować niepokojące symptomy. W marcu 1989 roku sześciu byłych dygnitarzy partyjnych w liście otwartym oskarżyło Ceauşescu o bezwzględną politykę. Sygnatariusze listu po drugiej wojnie światowej pełnili ważne funkcje państwowe. Formułując tekst, liczyli na wywołanie szumu głównie za granicą. Dyktator najwyraźniej potraktował ich jako nieszkodliwych weteranów, bo ukarał ich dość łagodnie. Po niedługim czasie głos podnieśli intelektualiści. Poeta dysydent Mircea Dinescu wypowiedział gorzką konstatację, że „Bóg odwrócił się od Rumunów”, a w opublikowanym we Francji artykule

ujawnił, że w jego kraju panuje klimat zastraszenia. Wyrzucony z redakcji literackiego tygodnika „România literară” i ze Związku Pisarzy Rumuńskich, Dinescu zdobył poparcie dziesięcioosobowej grupy przyjaciół. Należała do nich Ana Blandiana, najwybitniejsza rumuńska poetka, która była więźniem politycznym, ale nigdy się nie ugięła pod dyktatorskimi rządami. W wierszu *Dies illa, dies irae* z 1987 roku, zapowiada spektakularny upadek tyrana: „Nadejdzie / nie może być inaczej / w końcu nadejdzie ten dzień / to nie może dłużej trwać / nie wolno wam zwątpić / bo nadejdzie dzień ten i oślepi was jak miecz światła”. Rumuński ruch oporu organizowała tylko garstka inteligentów, zmuszonych do życia w osamotnieniu i poddanych całkowitej marginalizacji. Ogromną determinacją wykazała się Doina Cornea, wykładowczyni języka i literatury francuskiej na Uniwersytecie im. Babeș-Bolyai w Klużu-Napoce. Od 1982 roku wysyłała listy do Radia Wolna Europa, w których skarżyła się na duchowe i materialne zubożenie ludzi w jej kraju. Była prześladowana i wielokrotnie pobita przez milicję, wydalono ją z uczelni i zastosowano wobec niej areszt domowy. Ofiarą dyskryminacji była nie tylko z powodu krytyki władzy, ale również ze względu na greckokatolickie wyznanie[121].

Bycie katolikiem, protestantem, Węgrem czy Niemcem wystarczało, by narazić się na obsesyjne podejrzenia nacjonalistyczno-komunistycznego reżimu, który tępił wszelkie mniejszości religijne i etniczne oraz propagował wojujący ateizm. Kościół prawosławny miał prawo do istnienia tylko za cenę całkowitego podporządkowania władzy. Prawosławny patriarcha Rumunii na uchodźstwie we Francji, Virgil Gheorghiu, zapytany, dlaczego jego rodacy nie postawili się władzy jak inne narody Europy Wschodniej, odpowiedział: „Ruch wolnościowy nie może istnieć w więzieniu”. Ale w wywiadzie, którego udzielił telewizji francuskiej 12 listopada 1989 roku, dodał: „Rumuni zostali doprowadzeni do kresu wytrzymałości i niedługo to zrobią”. Kilka dni później w Bukareszcie rozpoczął się XIV Kongres PCR. W celu uniknięcia ewentualnych zakłóceń, wszystkie wystąpienia zostały zarejestrowane, a w telewizji nadano tylko retransmisję. Owacyjnie przyjmowany przez delegatów Ceauşescu huczał z trybuny o otaczających Rumunię – ostatni bastion marksizmu i leninizmu – wrogach socjalizmu. W odpowiedzi na telegram Gorbaczowa, w którym radziecki przywódca postulował przeprowadzenie w Rumunii szeregu reform, Nieustraszony Wódz przeprowadził kontratak i grzmiał: „Pierestrojka nie ma szans!”. Z jego inicjatywy do aktywu

partyjnego wcielono nowych działaczy, ludzi z niejasną przeszłością polityczną. Liczył, że w ten sposób uda mu się utrzymać kontrolę nad strukturami władzy i zdusić w zarodku wszelkie zapędy reformatorskie. Bał się zagrożenia i jego lęk był uzasadniony. Przed rozpoczęciem kongresu manifest wydał formujący się wówczas Front Ocalenia Narodowego. Odpowiedzialnością za ogarniającą kraj nędzę autorzy dokumentu obarczali oportunizm i niekompetencję klasy politycznej, dodając, że w kraju panuje odrażający i żałosny kult jednostki, który ociera się o bałwochwalstwo i przerasta kult, jakim otaczano Stalina. Dokument nie był podpisany imiennie, było jednak jasne, że sformułowali go partyjni renegaci zmierzający do obalenia Ceauşescu. W konkluzji roztaczano czarny scenariusz: „Mamy ostatnią szansę, by uniknąć niekontrolowanego rozlewu krwi". Ostateczny rozrachunek zbliżał się wielkimi krokami. Potrzeba było jednak czegoś, co gwałtownie przyspieszyłoby bieg wydarzeń, zawleczki, której pociągnięcie doprowadziłoby do wybuchu. Ogień mogła zaprószyć nawet jedna iskra. Od pewnego czasu wrzało w transylwańskiej Timişoarze, gdzie służby usiłowały przywołać do porządku László Tőkésa, młodego pastora narodowości węgierskiej. Jego żarliwe homilie potępiające brak swobód wyznaniowych i dyskryminację węgierskiej mniejszości w Rumunii nie podobały się władzy, i to zarówno świeckiej, jak i kościelnej, ale za to zagrzewały wiernych. Dla nich Tőkés był już symbolem na miarę Jerzego Popiełuszki. W pierwszych dniach listopada do domu pastora włamała się grupa zamaskowanych bandytów. Na oczach żony pobili go do krwi. Od tamtej pory Tőkés nie pokazywał się publicznie, a jego mieszkania pilnowali przyjaciele. Pod presją władz cywilnych biskup nakazał Tőkésowi opuścić parafię. W wykonaniu polecenia „pomagała" rodzinie milicja. W sobotę 16 grudnia agenci bezpieki zamierzali aresztować pastora, ale napotkali na protest mieszkańców miasta, którzy otoczyli dom. Między demonstrantami a milicją doszło do przepychanek, które szybko przekształciły się w brutalne starcia. Protest się zaogniał i w końcu osiągnął rozmiary masowego buntu. Grupy manifestantów przemierzały miasto, skandując hasła przeciwko rządom Ceauşescu. Wybijali szyby, włamywali się do księgarń, gdzie podpalali portrety Tytana Bałkanów i tomy z pismami jego i Towarzyszki Doktor Akademik. Milicja wezwała posiłki z wojska, co jednak nie pomogło w stłumieniu rewolty. Demonstranci zaatakowali siedzibę partii i obiekty rządowe, podkładali ogień i szabrowali. Na ulice Timişoary wyjechały czołgi i walki przyjęły

już bardzo drastyczny charakter. Protesty nie ustawały, bo każdego dnia przyłączali się do nich kolejni mieszkańcy. Z czasem powstały też inne miasta Transylwanii. Na ulice wychodzili nie tylko członkowie węgierskiej mniejszości, ale także rumuńska młodzież, która chciała dać wyraz swojej narastającej frustracji. Zamieszki wybuchły dość nieoczekiwanie, a władze (jak wszystkie dyktatury w sytuacjach kryzysowych) natychmiast odcięły społeczeństwo od źródeł informacji. Zamknięto granice i odizolowano cały region. My, dziennikarze, musieliśmy zadowolić się skąpymi przekazami, które przywozili zagraniczni turyści, postronni świadkowie wydarzeń. Opowiadali o leżących na ulicach zwłokach, o przepełnionych szpitalach, które nie były w stanie przyjąć wszystkich rannych, o mieście obstawionym pojazdami opancerzonymi. Relacjonowali bestialską przemoc i kałuże krwi, mówili o ciężarówkach, z których wyrzucano do miejskich kanałów setki ofiar, zabitych strzałem w tył głowy przez oprawców z Securitate. Bilans masakry pogarszał się z każdym dniem. Niektóre doniesienia mówiły, że liczba ofiar przekroczyła tysiąc, choć według telewizji węgierskiej nawet dwa tysiące, a z danych rzecznika rebeliantów wynikało, że pięć tysięcy. Świat ogarnęła groza. Społeczność międzynarodowa (z wyjątkiem Chin) wyraziła potępienie dla rozmiarów tych represji. Wiele krajów Europy Wschodniej wystosowało oficjalne protesty do rumuńskiego rządu. Tymczasem Bukareszt milczał. Jedynym – podanym nie wprost – odniesieniem był wydrukowany w partyjnym organie nakaz władz nawołujący do przestrzegania prawa i powstrzymywania się przed aktami przemocy, pod groźbą surowych kar. Ceauşescu oświadczył, że zamierza zgodnie z planem odbyć oficjalną wizytę w Iranie i demonstracyjnie odwrócił się plecami do wydarzeń w kraju. To był jego pierwszy błąd taktyczny. 20 grudnia popełnił kolejny, kiedy po przedterminowym powrocie do stolicy wystąpił w telewizji z przemówieniem, apelując o postawy nacjonalistyczne w walce z mniejszością węgierską, którą oskarżał o próbę rozbicia jedności kraju. *Conducător* wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, że bunt społeczeństwa był reakcją na życie w upokarzającej biedzie i nie miał tylko podłoża etnicznego. Nie przyjmował do wiadomości, że zarzewiem konfliktu mógł być protestancki duchowny. Totalna abnegacja religijna rumuńskiego wodza nie pozwalała mu przypisać Kościołowi żadnego znaczenia, tym bardziej, że chodziło o Kościół „obcy”. Trzeci błąd Ojca Narodu był gwoździem do trumny. Na 21 grudnia Ceauşescu zapowiedział kolejny triumfalny wiec, nie wiedząc, że będzie

jego ostatnim. Przywódca pojawił się na balkonie siedziby KC, by przemówić do zgromadzonych stu tysięcy obywateli, czyli robotników i studentów wezwanych przez partię według obowiązującego od lat rytuału. Jednak gdy wypowiedział pierwsze słowa, na placu rozległy się gwizdy. Ktoś zaczął skandować hasła, które nigdy dotąd nie padły: „Obalić dyktatora!”, „Jesteś osłem!”, „Śmierć tyranowi!”. Ceauşescu osłupiał. W desperackim odruchu obiecał wszystkim podwyżki, ale efekt był odwrotny do zamierzonego. Uroczystość, która miała być wielką patriotyczną manifestacją na jego cześć, przerodziła się w otwarty bunt. Gwizdy przybierały na sile. Dyktator i jego żona uciekli do pałacu z obstawą ochroniarzy. Padły pierwsze strzały i wybuchła panika. Wydarzenie transmitowała telewizja państwowa. Na kilka minut zatrzymano kamerę na przerażonej i niedowierzającej twarzy prezydenta. W końcu relację przerwano, ale rewolucja pozostała pierwszą w historii, którą media pokazały na żywo.

W kolejnych godzinach Bukareszt opanowywały grupy manifestantów i dochodziło do kolejnych starć z milicją. Wiadomości, które do nas docierały, były chaotyczne, czasem nawet dość podejrzane. W większości podawała je radziecka agencja informacyjna TASS. Ona też jako pierwsza doniosła o siejących terror na ulicach rumuńskiej stolicy mundurowych, którzy strzelali na oślep z automatów. Przełom przyniósł następny dzień. Po całonocnych zaciekłych walkach Ceauşescu zrozumiał, że musi odzyskać kontrolę nad sytuacją. Przez radio ogłoszono wprowadzenie stanu wyjątkowego oraz podano do publicznej wiadomości, że oskarżony o zdradę stanu minister obrony narodowej Vasile Milea popełnił samobójstwo. Można było pomyśleć, że siły zbrojne odseparowywały się od reżimu. I rzeczywiście, rankiem 22 grudnia, kiedy tłum oblegał gmach KC, wysłane do stłumienia buntu oddziały pancerne stanęły po stronie demonstrantów. Otoczeni przez protestujących i opuszczeni przez własną armię Nicolae i Elena Ceauşescu uciekli na pokładzie helikoptera. Rewolucja zwyciężyła, dyktator został obalony, a wszyscy członkowie jego rodziny aresztowani. W telewizji wiadomość tę ogłosili poeta Mircea Dinescu i Corneliu Mănescu, jeden z sygnatariuszy „Listu sześciu”. Ustanowiony został Front Ocalenia Narodowego, tymczasową siedzibę zakładając w gmachu telewizji. W mieście ciągle trwały zamieszki, bo desperacki opór próbowały jeszcze stawiać niedobitki zwolenników obalonego prezydenta. Od mojej redakcji znów usłyszałem kategoryczne

„Natychmiast jedź do Bukaresztu!”. Zadzwonili do mnie wieczorem tego pamiętnego 22 grudnia, kiedy w Berlinie z ogromną ekscytacją śledziłem uroczyste otwarcie Bramy Brandenburskiej, która na powrót stawała się symbolem jedności i wolności w całej Europie. Łudziłem się, że po raz ostatni w 1989 roku podejmuję ten zawodowy wysiłek i że będzie on ukoronowaniem tego niezwykłego czasu. W drodze do hotelu już się cieszyłem na odkładany od dawna (z powodu mojej pracy) wyjazd na narty z żoną i dziećmi. A tu kolejna rewolucja i kolejna podróż służbowa.

Bukareszt okazuje się trudno osiągalny. W pośpiechu jadę na lotnisko Schönefeld w Berlinie Wschodnim, które jest punktem tranzytowym lotów do wszystkich stolic Europy Wschodniej. Bezskutecznie wyczekuję tupolewa rumuńskich linii Tarom. Dopiero późnym wieczorem ogłaszają, że lot do Bukaresztu został odwołany. Na lotnisku w Otopeni trwa strzelanina i ruch powietrzny jest wstrzymany. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy sytuacja wróci do normy. Dostanie się do rumuńskiej stolicy jest utrudnione, jednak nie niemożliwe. Następnego dnia docieram do Budapesztu i wsiadam do pociągu, który dojeżdża do węgiersko-rumuńskiej granicy. Aby wjechać na terytorium kraju, jeszcze niedawno trzymanego w całkowitej izolacji, na przejściu granicznym wystarczy okazać paszport i przedstawić się jako *ziarist*, dziennikarz. Biorę taksówkę i jadę nią już bezpośrednio do Timişoary – to jest pierwszy etap mojej wędrówki przez krwawą rewolucję rumuńską. Przejeżdżające ulicami auta kontrolują tonący w za dużych mundurach młodzi poborowi i nieuzbrojeni ochotnicy – zwyczajni cywile z białą opaską na ramieniu. Ktoś powiewa flagą narodową z widocznym otworem na środku, bo pierwsze, co robiono po latach, w których komunizm odrywał naród od korzeni, to wycinanie z flag komunistycznego godła. Na centralnym placu Timişoary szczęśliwi ludzie obejmują się i wiwatują na cześć liderów rewolucji, którzy przemawiają do nich z balkonu opery. Wszyscy śpiewają przedwojenny hymn narodowy *Deșteaptăte, Române!*, którego słowa brzmią jak napisane specjalnie na tę okazję: „Przebudź się, Rumunie, ze śmiertelnego snu, w którym cię pogrążyli barbarzyńscy tyrani”. Świętowanie rozpoczęło się w piątek, zaraz po rozpowszechnieniu wiadomości o ucieczce Ceauşescu, ale zakłóciły je strzały „terrorystów”, wywołując panikę i powodując ofiary śmiertelne. Żeby namierzyć ulokowanych w wielu budynkach snajperów, uruchomiono wojsko, które teraz patroluje newralgiczne punkty w mieście. Wokół widać ślady chaotycznych starć. Domy mają powybijane szyby

i wyważone drzwi. Na ulicach leżą poprzewracane samochody. Stoją też traktory wyglądające jak ustawione na szybko prowizoryczne barykady. Walki w ostatnich godzinach uspokoiły się, ale sytuacja wciąż jest niepewna. Timişoara zostaje nazwana „miastem męczenników”. Publicznie wystawiane są ciała skatowanych i zamordowanych ludzi. Są wśród nich pozbawione ręki zwłoki małego dziecka, ciała zdeformowane kwasem siarkowym, którego używano dla utrudnienia identyfikacji ofiar. Na ławce leży młody człowiek z brodą, kostki ma owinięte drutem. Wygląda jak Chrystus złożony w grobie. Ślady po masakrze z premedytacją zostawiono dla reporterów z całego świata. Budzą one litość i przerażenie. Po pewnym czasie wyszło na jaw, że mieliśmy do czynienia z cyniczną mistyfikacją, a uwierzyli w nią wszyscy, łącznie ze mną. W rzeczywistości rzekome ofiary rzezi to ludzie, którzy umarli śmiercią naturalną i zostali po prostu przyniesieni z cmentarzy. Liczbę „męczenników” sfałszowano, a ich wygląd ukazano przesadnie, by zmanipulować emocjonalnie świadków i szybciej doprowadzić do likwidacji reżimu. Początkowo międzynarodowe media mówiły o ponad pięciu tysiącach ofiar śmiertelnych masakry w około trzystutysięcznej Timişoarze. Ostatecznie okazało się, że zginęły 94 osoby[122]. Nie można więc zaprzeczyć, że walki pochłonęły wiele ofiar, ale mówienie o ludobójstwie wydaje się tu mocno na wyrost, tymczasem było to jedno z głównych oskarżeń, które doprowadziły do skazania Ceauşescu. Całkowitą liczbę ofiar toczących się przez dwa tygodnie walk obliczono na 1143[123], z czego 564 w samym Bukareszcie, ale zdumienie budzi fakt, że ich ogromna większość (w samej stolicy ponad 500 osób) zginęła po 22 grudnia, kiedy dyktator był już obalony. Mamy tu do czynienia z paradoksalną formą rewolucji, która płaci najwyższą cenę w postaci przelewu krwi nie tylko podczas walk o położenie kresu reżimowi, ale również wtedy, kiedy władza znajduje się już w rękach organizatorów zrywu. 21 grudnia Ceauşescu był jeszcze na tyle pewien swojej pozycji, że zorganizował rutynową paradę. Oglądamy materiał w zwolnionym tempie. Kiedy na placu przed gmachem Komitetu Centralnego rozlegają się pierwsze gwizdy, na twarzy *Conducătora* widzimy szok i niedowierzanie: przecież to niemożliwie, to nie może się dziać naprawdę! A jeśli się dzieje, to dowodzi tylko tego, że służby porządkowe nie dopełniły swojego podstawowego obowiązku, którym jest baczna obserwacja każdego obywatela. Trudno mu jednak uwierzyć, że sami agenci mogli być aż tak bezczelni. Na pewno musieli otrzymać

rozkazy od swoich zwierzchników, a oni z kolei nie mogliby ich wydać bez przyzwolenia naczelnego dowództwa sił zbrojnych i części członków aparatu partyjnego. Po chwili dezorientacji Ceauşescu zaczyna rozumieć, co się naprawdę stało. Gwizdy protestujących to nie początek rewolty, lecz finał zamachu stanu. Zdruzgotany ucieka do pałacu.

Timişoara, 1989 r. Przypadkowe zwłoki ekshumowane z cmentarza i wystawione w kostnicy w celu wyolbrzymienia okrucieństwa Ceauşescu

W desperackim akcie samoobrony Ceauşescu ukarał podwładnego, którego uważał za głównego animatora spisku – ministra obrony narodowej Vasile Mileę – w ostrych słowach zarzucając mu zdradę. Generała znaleziono martwego rankiem 22 grudnia. Otoczenie było przekonane, że

zginął z rozkazu dyktatora i nikt nie uwierzył w teorię o samobójstwie, którą propagował reżim (później udowodniono, że Milea faktycznie strzelił sobie w głowę). W rzeczywistości mózgiem intrygi był generał Victor Stănculescu, główny odpowiedzialny za masakrę w Timişoarze (notabene tą właśnie akcją zaskarbił sobie zaufanie Ceauşescu). Został następcą „zdrajcy", chociaż w rzeczywistości sam nim był i to on zmusił prezydencką parę do ucieczki helikopterem, pilotowanym przez wspólnika zamachowców. Pilot przekonał uciekinierów, że są inwigilowani przez wywiad lotniczy i lada moment mogą być zestrzeleni. Wylądował w polu na północ od Bukaresztu, po czym wysadził Nicolae i Elenę przy drodze, skąd para przedostała się przypadkowym samochodem do miejscowości Târgovişte. Groteskowa próba ucieczki zakończyła się w tym mieście kilka godzin później. Zbiegów aresztował patrol milicyjny i oddał ich do dyspozycji wojska. Zostali przetransportowali do lokalnego garnizonu, gdzie 25 grudnia postawiono ich przed sądem wojskowym i skazano na śmierć. Wydarzenia można było śledzić w telewizji. Siedzący w szkolnej ławce, ubrani w płaszcze *Conduçator* i jego małżonka wysłuchali aktu oskarżenia: ludobójstwo, doprowadzenie gospodarki do ruiny, zbrodnie przeciwko narodowi, uzurpacja władzy konstytucjonalnej i przywłaszczanie państwowych dóbr. Były już dyktator oświadczył, że takiego sądu nie uznaje i odmówił pomocy adwokatów. Wstał i cisnął o ławkę swą karakułową czapką. Lojalna do końca Elena zaciekle broniła wszystkich czynów, oświadczając, że jej mąż zrobił to wszystko wyłącznie dla dobra narodu. Wyrokiem trybunału wojskowego oboje zostali skazani na śmierć ze skutkiem natychmiastowym. Ceauşescu objął żonę chyba w geście pocieszenia, co w gruncie rzeczy w wypadku dwojga ludzi skazanych na rozstrzelanie było nawet wzruszające, choć trudno zlekceważyć zbrodnie, jakich się dopuścili, rządząc krajem. W drodze na egzekucję Elena miała jeszcze energię, by obsztorcować młodego żołnierza, który wiązał jej ręce. „Nie rób tego, to boli. Mogłabym być twoją matką". Wojskowy odpowiedział szorstko: „Te ręce mordowały nasze matki". Każdy z obecnych żołnierzy chciał znaleźć się w plutonie egzekucyjnym, ale ostatecznie zostali wylosowani. Sto strzałów z kałasznikowów położyło kres rządom dwojga fanatyków, którzy przez dwadzieścia pięć lat terroryzowali dwadzieścia dwa miliony Rumunów. Ostatnie zdjęcia przedstawiają dwa ubrane w płaszcze i podziurawione jak sito ciała, leżące pod wiejskim murkiem.

Ceauşescu w Târgovişte jak Mussolini w Dongo[124] zmusza do postawienia trudnych pytań. Komu i dlaczego mogło zależeć na wymierzeniu sprawiedliwości i egzekucji w trybie przyspieszonym? Organizatorzy tajnych sprzysiężeń zwykle usiłują zrzucać z siebie odpowiedzialność. Proces w Târgovişte był farsą, co nie zmniejszało rozmiarów tej tragedii, więcej, czyniło ją o wiele bardziej wstrząsającą. Kilka miesięcy później Gică Popa, przewodniczący trybunału, który skazał prezydencką parę, strzelił sobie w skroń, stając się ostatnią ofiarą mrocznej rumuńskiej rewolucji. Wkrótce po ogłoszeniu śmierci dyktatora i jego towarzyszki życia, władzę przejął Front Ocalenia Narodowego i ogłosił nazwiska nowych przywódców kraju. Prezydentem został Ion Iliescu, nieomal rówieśnik Gorbaczowa, według niektórych doniesień również kolega ze studiów w Moskwie, pozostający z ojcem pierestrojki w bardzo dobrych relacjach (w połowie lat osiemdziesiątych Iliescu, jeszcze jako członek PCR, przez sympatyzowanie z programem reformatorskim radzieckiego przyjaciela poważnie naraził się Ceauşescu). Większość z trzydziestu dziewięciu członków Rady Frontu rekrutowała się z szeregów PCR. Nowy minister obrony generał Nicolae Militaru (trudno o bardziej adekwatne nazwisko), nieopatrznie zdradził, że do powstania FON-u doszło w 1989 roku, zanim jeszcze rozesłano wezwania na listopadowy kongres partii. Silviu Brucan, były ambasador Rumunii w ONZ i wpływowy aktywista Frontu wyjawił, że w 1987 roku odbył tajne spotkanie z Gorbaczowem, podczas którego kremlowski przywódca opowiedział się za odsunięciem Ceauşescu od władzy. Pośrednio potwierdził to szef radzieckiej dyplomacji Eduard Szewardnadze, który w artykule opublikowanym w styczniu 1990 roku w dzienniku „Komsomolskaja prawda”, napisał: „Nie mieliśmy najmniejszych wątpliwości, że rewolucja w Rumunii zbliża się wielkimi krokami”. Ostatecznie zamachem stanu otwarcie nazwał ją podwójny gracz Victor Stănculescu, którego jeszcze 22 grudnia Ceauşescu powołał na ministra obrony, a który cztery dni później już był w szeregu czołowych przywódców Frontu. W cyklu wywiadów[125] Stănculescu wyjawił, że zamach przygotowały oddziały KGB we współpracy z CIA. Plan zrealizowano przy udziale wysokich oficerów rumuńskiej armii, w porozumieniu z Iliescu. Jesienią 1989 roku Rumunia nagle stała się ulubionym celem wakacyjnym radzieckich turystów, którzy w rzeczywistości byli agentami KGB z podwójną misją, polegającą z jednej strony na wznieceniu ludowego powstania, wykorzystującego nienawiść

narodu do swojego władcy, z drugiej na ustanowieniu komunistycznego rządu lojalnego wobec Moskwy i przychylnego Gorbaczowowi[126]. Sprawa, która po latach wciąż nie jest jednoznacznie wyjaśniona, dotyczy tożsamości „terrorystów", którzy przestali strzelać natychmiast po ostatecznym upadku dyktatury. W świetle wypowiedzi Stănculescu o tym zjawisku zadecydowały dwa czynniki: zewnętrzny o radzieckim rodowodzie oraz wewnętrzny, którego inspiratorem był ktoś z lokalnego wywiadu. Do cywilów rzekomo częściej strzelali agenci KGB niż funkcjonariusze Securitate. Były generał wyznał, że wielu z nich aresztowali, ale niedługo potem wypuścili.

Rewolucję w Rumunii bezsprzecznie rozpętał naród, ale zaplanowali ją i doprowadzili do skutku „marnotrawni synowie" Ceauşescu, zmęczeni rządami opętanego Tytana Bałkanów i entuzjastycznie nastawieni do nowego przywódcy Kremla. Rewolta miałaby dużo mniejsze szanse na powodzenie bez przeszkolonego wojska i politycznego oparcia. Prawdą jest też jednak, że z zewnątrz antykomunistyczny zamach mógł wyglądać jak pokłosie masakry w Timişoarze, a nie jak przewrót pałacowy. Marcel Petrişor, były nauczyciel i więzień polityczny, który został jednym z najważniejszych działaczy przebudowującego się Związku Pisarzy Rumuńskich, powiedział mi kiedyś: „Nie było dla nas do końca jasne, kto jest bohaterem, a kto mordercą". Z kolei Doina Cornea stwierdziła: „Zrobili to za plecami Ceauşescu, a teraz my musimy udawać sztamę z komunistami". Niepokorna działaczka weszła w skład Frontu Ocalenia Narodowego, później jednak wystąpiła z niego wskutek konfliktu z postkomunistą Ionem Iliescu, który przez kilka dobrych lat był znaczącą figurą nowej-starej Rumunii.

Wielu Rumunów, pod rządami tyrana uległych i nie wychylających się, zmieniło front. Należeli do nich choćby dziennikarze organu partyjnego „Scinteia". 22 grudnia na łamach gazety mówiono o „uroczystej manifestacji na cześć *Conducătora* zakłóconej przez chuliganów", a po ucieczce Ceauşescu, na pierwszej stronie specjalnej popołudniowej edycji, triumfalnie ogłoszono: „Tyran upadł, jesteśmy wolni!". Patriarcha Teoktyst, najwyższy dostojnik rumuńskiego Kościoła prawosławnego, który kilka dni po wydarzeniach z 16 grudnia wysłał przywódcy telegram z gratulacjami za „uratowanie narodu przed faszystowskim zrywem w Timişoarze", wieczorem 22 grudnia wystąpił w telewizji obok działaczy Frontu, oświadczając, że „Kościół stoi murem za narodem". Zmuszony przez

Synod Biskupów do dymisji, która miała miejsce w styczniu, trzy miesiące później został wybrany ponownie, w dodatku jednogłośnie. W odróżnieniu od innych krajów Europy Wschodniej, w Rumunii nigdy nie istniało społeczeństwo wolnej myśli, jeśli nie brać pod uwagę nielicznych intelektualistów.

Obrazem, jaki zapamiętałem, opuszczając 31 grudnia spokojny już Bukareszt, była gromadka dzieciaków rzucających się śnieżkami na wyludnionej ulicy, prowadzącej do pałacu straconego dyktatora, monstrualnego Domu Ludu, wołających: „Ole ole, Ceauşescu nu mai e!”[127]. Ta myśl przynosiła ulgę, jednak przyszłość Rumunii niosła ze sobą jeszcze wiele znaków zapytania.

121 Wyznawcy Kościoła greckokatolickiego, zwanego również unickim (od czasów schizmy wschodniej stopniowo przyłączał się do Kościoła katolickiego), stanowią zauważalną liczbę spośród około miliona katolików w Rumunii. Byli oni ofiarami najcięższych prześladowań ze strony reżimu komunistycznego. Podobnie jak na Ukrainie w czasach ZSRR, w Rumunii w 1948 roku Kościół unicki był ciemiężony, jego majątek skonfiskowano na rzecz Kościoła prawosławnego, a biskupi i duża część kleru skończyli w więzieniu, gdzie wielu z nich zginęło.

122 Dane te wyjawił przewodniczący sądu wojskowego w Timişoarze podczas procesu dwudziestu jeden wysokich oficerów Securitate odbywającego się w marcu 1990 roku.

123 Są to oficjalne dane podane do wiadomości przez rumuńskie Ministerstwo Zdrowia w grudniu 1990 roku.

124 Dongo – miejscowość w Lombardii, w której w 1945 roku Mussolini został schwytany przez partyzantów (przyp. tłum.).

125 V.A. Stănculescu, *În sfârşit adevărul…* (*Nareszcie prawda…*), RAO, Bukareszt 2009. Książka zawiera pięć wywiadów, których były generał udzielił od 2004 roku. Stănculescu odbywa wyrok, ponieważ w wielu procesach sądowych został uznany za jednego z wielu odpowiedzialnych za masakrę w Timişoarze.

126 Taką tezę przedstawił rumuński historyk Grigore Cartianu w książce *Sfârşitul Ceauşeştilor. Să mori împuşcat ca un animal sălbatic* (*Upadek Ceauşescu. Zginąć zamordowanym jak zwierzę*), Adevărul Holding, Bukareszt 2010.

127 Nie ma już Ceauşescu (rum.).

Rozdział VI
Gorbaczow. Nieudana próba ocalenia komunizmu

W zalegającym po ostatnich opadach błocie pośniegowym, zwiastującym rychły koniec długiej zimy, brną owinięte w pstre szale *babuszki*. Ciężko dysząc, podnoszą z ziemi ulotki i przyciskają je do piersi jak relikwie. Przy wyjściu z metra trudno przedrzeć się przez tłum ludzi czytających plakaty wyborcze. Na uczelniach niewielkie sale z trudem mieszczą zagorzale dyskutujących studentów. Moskwa, marzec 1989 roku. Nad sparaliżowaną od ponad siedemdziesięciu lat przez sztywny system stolicę Związku Radzieckiego nadciągają ożywcze zmiany. Obserwuję te niecodzienne wydarzenia i mam sprzeczne uczucia. Z jednej strony są to zdumienie i niedowierzanie, z drugiej wyczekiwanie i trochę też strach. Na forsowaną przez Gorbaczowa pierestrojkę zaczynają się nakładać działania oddolne. Jeśli nawet obie te tendencje pod pewnymi względami są zbieżne, to zbieżności te zacierają się w wielości poglądów milionów ludzi żyjących w tym największym kraju świata, stojącym teraz w obliczu nieuchronnego załamania. Wybory do I Zjazdu Deputowanych Ludowych z 26 marca obudziły w ludziach szczerą i wzruszającą tęsknotę za demokracją. Nikt się nie spodziewał, że w bezmiarze tego kraju istnieje jakiś zakamarek, w którym coś może drgnąć. Jedno trzeba podkreślić: nie były to pierwsze demokratyczne wybory w historii ZSRR, chociaż można było spotkać takie przedwcześnie optymistyczne głosy. Zjazd Deputowanych Ludowych to substytut parlamentu, którego podstawowym zadaniem było wybieranie Rady Najwyższej, organu powołanego do zatwierdzania uchwał ścisłego kierownictwa KPZR. Prawdziwą innowacją była zmiana ordynacji wyborczej, wprowadzona z inicjatywy Michaiła Gorbaczowa, umożliwiająca ubieganie się o mandat deputowanego osobom spoza zwyczajowej sztywnej puli partyjnej. Zasiedziała nomenklatura robiła wszystko, by to ustępstwo pozbawić znaczenia. Komisje selekcyjne eliminowały nazwiska niewygodnych oponentów. W ostatniej fazie przygotowań, kiedy listy już były zamknięte, w Moskwie niespodziewanie

zareagowali obywatele, zdecydowani zawalczyć o swoich kandydatów, w większości niezależnych działaczy odrzuconych przez aparat partyjny. Najbardziej spektakularnym przypadkiem był Andriej Sacharow, słynny fizyk i dysydent, który po prześladowaniach i szykanach ze strony reżimu, decyzją Gorbaczowa w 1986 roku został zwolniony z zesłania[128]. Niektórzy członkowie Prezydium Radzieckiej Akademii Nauk zgłaszali zastrzeżenia wobec jego kandydatury do Zjazdu Deputowanych i usunięto go z listy. Wywołało to gwałtowną reakcję ulicy, co na władzach Akademii wymusiło kapitulację.

Innym symbolem tej rozgrywki był „kamikadze pierestrojki" Borys Jelcyn (z powodu charakterystycznego sposobu zaczesywania siwych włosów przylgnął do niego przydomek „Biały Kruk"[129]), operatywny megaloman uwielbiany przez naród i znienawidzony przez partię[130]. Kilka dni przed wyborami władze zakazały mu zorganizowania spotkania przedwyborczego w moskiewskim parku Gorkiego, powołując się na niemożność zapewnienia porządku. W proteście zwolennicy Jelcyna urządzili manifestację na oczach skonsternowanych milicjantów, którzy nie odważyli się rozpędzać zgromadzenia przy użyciu siły. W stolicy komunizmu działy się rzeczy wcześniej niespotykane. Siłą wdarłem się do auli Moskiewskiego Instytutu Lotnictwa na peryferiach miasta, gdzie Jelcyna oczekiwały tysiące osób. Kiedy zapytałem go, co zamierza zrobić, jeśli zostanie wybrany, odpowiedział z dużą dozą pesymizmu: „Nie wiem, czy Zjazd Deputowanych Ludowych jest w stanie cokolwiek zmienić". Zebrani wołali jednak: „Tak, zmieni! Dzięki tobie, Borysie Nikołajewiczu, uda się nam coś zmienić!". Na tym etapie nie można było jeszcze mówić o politycznej opozycji w prawdziwym znaczeniu tego słowa, ale z pewnością dojrzewał już głęboki opór moralny wobec systemu. Jelcyn był jego jedynym obecnym w zasięgu ręki ucieleśnieniem, liderem, z którym wielu Rosjan się identyfikowało. Milicja nie wpuszczała do sali osób, które nie okazały zaproszenia. Przed wejściem błagał mnie o nie młody mężczyzna. Nie zapomnę jego wyciągniętej ręki i wyczekującego wzroku. Do tej pory mieszkańcy tego kraju zatrzymujący na ulicy przyjezdnego z Zachodu prosili tylko o parę dżinsów (dziewczęta, piękne i bez zahamowań – jakie można spotkać tylko w Rosji – prosiły o nylonowe rajstopy).

Związek Radziecki czekały nieuchronne zmiany. Właściwie już były one widoczne: w oczach *babuszek*, które zbierały ulotki, w spojrzeniu

młodego chłopaka, który tak bardzo chciał się dostać na spotkanie z Jelcynem. W spontanicznych reakcjach ludzi na nowe wybory trudno było nie dostrzec promienia przełamującego mrok długowiecznej dyktatury. Miałem poczucie, że komunizm popada w agonię, nie tylko w Polsce czy w Czechosłowacji, czyli na obszarach tradycyjnie imperium podporządkowanych, ale też w Moskwie, w samym jego centrum, które było najpoważniejszym gwarantem stabilności socjalizmu. „Jeszcze na początku 1989 roku prawie wszystkim się wydawało, że komunizm będzie wieczny, jeśli tylko uda się poprawić jego wizerunek”[131]. Proces ten rozpoczął się, kiedy doszedł do władzy Michaił Siergiejewicz Gorbaczow. Po długim okresie stagnacji związanej z polityką Breżniewa krajem rządzili kolejno dwaj sowieccy gerontokraci – Jurij Andropow i Konstantin Czernienko, figury woskowe, będące odbiciem krytycznej sytuacji kraju. Nominacja Gorbaczowa na sekretarza generalnego KPZR (11 marca 1985 roku) oznaczała wkroczenie na arenę młodego i dynamicznego przywódcy – Gorbaczow miał wówczas tylko 54 lata. Naturalny i skłonny do żartów, nie tylko wnosił świeżość i przełamywał archaiczne kremlowskie dogmaty, miał też ambicje wprowadzenia polityki reform. Jego plan opierał się na dwóch pojęciach, które szybko weszły do obiegowego języka: pierestrojki, czyli odbudowy dotkniętego kryzysem systemu, oraz głasnosti, postulującej przejrzystość życia publicznego, a ona mocno kontrastowała z radziecką obsesją tajności. Churchill wiedział, co mówi, nazywając Związek Radziecki „zagadką owiniętą w tajemnicę, wewnątrz enigmy”. Należy jasno powiedzieć, że Gorbaczow deklarował wolę przeprowadzenia reform, ale jednocześnie utożsamiał się z ideologią marksistowsko- -leninowską. To był jeden z powodów, dla których próba stworzenia socjalizmu demokratycznego bez zerwania z dawną doktryną od początku była skazana na klęskę. Pierestrojka okazała się początkiem końca ustroju, bowiem idea reformizmu zdemaskowała jego wewnętrzną sprzeczność, opresyjność i brak sterowności. Do powszechnie znanych defektów komunizmu, „radziecka matka” – przekonana, że trzyma w garści pół świata – dorzuciła arogancję i niedbalstwo; podłość uważała za powód do dumy, a z absurdu czyniła regułę rządzącą życiem.

Jednym z pierwszych słów, jakie poznałem podczas moich podróży po ZSRR, był *tarakan*, czyli karaluch. Należał do stałych lokatorów wszystkich radzieckich *gastinic*, hoteli, w których korytarze miały wielkość placów manewrowych, a pokoje nie przekraczały rozmiarów więziennych

celi. Hotelowe restauracje były wielkie i prawie zawsze puste. Goszczących tu nieszczęśników kelnerzy (mistrzowie grubiaństwa) zmuszali do spożywania wspólnych posiłków w towarzystwie nieznajomych, przy jedynym znajdującym się tam niewielkim stole. Był on rekwizytem symbolizującym wymuszoną socjalizację, jeden z tych przejawów komunizmu, które budzą najgorsze skojarzenia. Inny to biurokracja, która w Związku Radzieckim zjadała swój własny ogon, prowadząc do tragikomicznych sytuacji, obnażających skrajną bezmyślność. Będąc kiedyś w Moskwie, długo nie mogłem znaleźć wolnego pokoju w jednym z hoteli dla cudzoziemców. Dzięki pomocy mojego tłumacza trafiłem do małego hoteliku na prowincji, w którym na co dzień gościli Rosjanie. Kiedy nadszedł moment uregulowania rachunku, pojawił się problem nie do pokonania. Jako obcokrajowiec musiałem zapłacić dolarami, jednak w tym zajeździe akceptowano tylko ruble. Powiedziałem, że pójdę wymienić pieniądze. Usłyszałem, że nie mogę, bo na miejscu wymiana walut jest niedozwolona. Należy udać się do biura turystyki międzynarodowej Intourist i uzyskać zgodę. Zamierzałem to zrobić, ale mnie powstrzymano, bo nie mogłem opuścić hotelu, nie zapłaciwszy. Tkwiłem tam kilka godzin, a w tym czasie mój tłumacz pojechał do moskiewskiego biura, wręczył urzędnikom zwyczajową łapówkę i wrócił z pozwoleniem na wymianę pieniędzy. Już w połowie XIX wieku markiz Astolphe-Louis-Léonor de Custine w *Listach z Rosji* zauważył, że w tym kraju rządzą krótkowzroczność, niedbalstwo i korupcja, a nad nimi góruje despotyzm, który najgroźniejszy staje się wtedy, kiedy zamierza czynić dobrze[132]. Problemy nawarstwiły się w czasie rewolucji bolszewickiej i oczywiście nie był w stanie ich pokonać despotyzm w wydaniu Gorbaczowa, który nie tylko zderzył się z oporem nomenklatury, ale też z nieufnością zwykłych zjadaczy chleba. Idee przewodnie pierestrojki zwiększyły chaos i dezorientację, tworząc równię pochyłą, prowadzącą gospodarkę do ruiny. Niedobór żywności osiągał coraz bardziej dramatyczne rozmiary. Stojąca w kolejkach ludność z rozrzewnieniem wspominała czasy Breżniewa, kiedy wódka była tania i zawsze pod dostatkiem, podczas gdy za rządów Gorbaczowa brakowało wszystkiego, nawet chleba; za każdym razem, kiedy sekretarz generalny wizytował jakiś zakład pracy albo miasteczko, atakowano go otwartymi pretensjami.

Znienawidzony we własnym kraju Gorbaczow zdobył wysokie notowania za granicą. Zamierzał zacieśnić związki Rosji z Zachodem, jak

wcześniej inny władca imperium, car Piotr I. Nie rzucał w stronę zagranicznych partnerów pogróżek w stylu swoich gruboskórnych poprzedników, lecz przemawiał sugestywnie i z ujmującym uśmiechem. Mając świadomość, że jego kraj stoi na krawędzi gospodarczego i społecznego załamania, kremlowski gospodarz złagodził funkcjonujący aparat ideologiczny obliczony na wyścig z kapitalizmem i wyraził gotowość do zawieszenia broni, mając nadzieję, że dzięki temu złapie oddech. Jego najwięksi adwersarze widzieli w tym cyniczną kalkulację, ale trzeba przyznać, że postawa radzieckiego przywódcy na arenie międzynarodowej przyczyniła się do odprężenia. 15 lutego 1989 roku generał Armii Czerwonej Borys Gromow[133] z bukietem róż na końcu kolumny wozów opancerzonych przekroczył tak zwany Most Przyjaźni na Amu-darii, granicznej rzece między Związkiem Radzieckim a Afganistanem. Po dziesięciu latach okupacji Moskwa wycofywała swoje oddziały z Kabulu. Wracały do domu owacyjnie witane. Był to niezwykle rzadki przypadek, kiedy Armia Czerwona opuszczała okupowany przez siebie kraj. Ten historyczny moment wyznaczył koniec ekspansji wojskowej ZSRR i realizowania zamiarów narzucenia marksizmu i leninizmu z użyciem czołgów. Kluczową kwestią były stosunki z „zewnętrznym imperium”, czyli z sześcioma państwami Europy Środkowej, które po 1945 roku znalazły się w orbicie moskiewskich wpływów. Doktryna ograniczonej suwerenności, którą Breżniew uzasadniał interwencję w Czechosłowacji w 1968 roku, została przez Gorbaczowa odrzucona, choć nie odważył się zdyskredytować jej publicznie. Dopiero na początku grudnia, po aksamitnej rewolucji w Pradze, państwa satelickie potępiły zbrojną inwazję na kraj, określając ją jako ingerencję w wewnętrzne sprawy niezawisłego państwa[134]. Doktrynę Breżniewa zastąpiła doktryna Sinatry – w ten dowcipny sposób przełom w polityce zagranicznej Kremla określił rzecznik MSZ Giennadij Gierasimow. Parafrazując tekst piosenki Franka Sinatry *My Way*, powiedział: „Więc niech każdy kraj decyduje sam, jaką drogę obierze”. Ta metafora zrobiła dużą karierę. Dominująca na Zachodzie retoryka, przedstawiająca Gorbaczowa jako orędownika gruntownych przemian, była półprawdą, która zasłaniała istotę zjawiska. Ojciec pierestrojki dopuścił demokratyczne przemiany w krajach bloku sowieckiego, ale nie był tym, który przygotował im grunt. On im tylko sprzyjał, choć trafniej byłoby powiedzieć, że nie utrudniał. Na Wschodzie Europy tendencje wolnościowe nie rodziły się

w gabinetach Kremla, lecz w polskich kościołach. Nie można więc mówić o odgórnej rewolucji Gorbaczowa, bo w istocie rzeczy mieliśmy do czynienia z oddolną rewolucją Solidarności. To ona była siłą napędową przełomu i to jej przykładem poszły pozostałe demoludy.

Kraje wschodnioeuropejskie, formalnie wciąż zależne od Związku Radzieckiego, wyprzedziły posunięcia swojego potężnego zwierzchnika. W Warszawie, Budapeszcie, Berlinie i Pradze komuniści oddali władzę demokratom, tymczasem w Moskwie ciągle panowało partyjne jedynowładztwo. Naczelną rolę KPZR stanowił art. 6 sowieckiej konstytucji. Batalię o jego usunięcie rozpoczął już Sacharow, kiedy został wybrany do Zjazdu Deputowanych Ludowych.

Wybory z 26 marca były głosem protestu i okazały się źródłem sukcesu Jelcyna – polityka, który odważył się sprzeciwić Gorbaczowowi – oraz wielu innych opozycyjnych kandydatów. Nie takiego finału spodziewał się radziecki przywódca. Jego autorska pierestrojka na każdym kroku prowadziła do zaskakujących okoliczności i otwierała nowe terytoria, a ponieważ proces ten budził w ludziach oczekiwania i trudno było przewidzieć jego konsekwencje, to władza w pewnym momencie przestała nad nim panować. Osiągnięcie wydajności i zreorganizowanie produkcji okazało się postulatem jałowym, ale stało się okazją do rozszerzenia obszaru wolnej debaty i krytyki ustroju. Na przełomie czerwca i lipca został zrehabilitowany pisarz Aleksander Sołżenicyn, przez lata przebywający na przymusowej emigracji najsłynniejszy radziecki dysydent, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, autor trylogii *Archipelag Gułag*, w której opisał koszmar sowieckich obozów koncentracyjnych. Zakazane dotąd dzieła Sołżenicyna zaczęły w kraju ukazywać się drukiem, a po przemianach znalazły się nawet na listach lektur szkolnych. Widać więc, że podczas gdy pierestrojka miała okazać się fiaskiem, głasnosti nie można było powstrzymać. Konflikt między tymi koncepcjami sprawił, że Związek Radziecki rozpadł się w pył. Jak zauważył Alexis de Tocqueville, „najniebezpieczniejszą chwilą dla złego rządu bywa zwykle ta, w której zaczyna on wprowadzać reformy. Jedynie wielki osobisty geniusz może ocalić władcę, który postanawia ulżyć losowi swoich poddanych po długim okresie ucisku. Zło, które ludzie znosili cierpliwie jako nieuniknione, wydaje się nieznośne, z chwilą gdy w umysłach zaświta myśl, że można się spod niego wyłamać”[135]. Losów Gorbaczowa trafniej podsumować nie można. Radziecki polityk przeszedł do historii jako obrońca komunizmu,

który poniósł klęskę. Sowieckie imperium pogrążało się w coraz większym chaosie i nie decydowały o tym tylko czynniki zewnętrzne napływające z tych krajów obozu, które już trzymały się demokratycznej drogi. Większy zamęt panował na terytorium wewnętrznym, zamieszkiwanym przez około sto grup etnicznych mówiących kilkudziesięcioma językami, będącym więzieniem przymuszonych do współistnienia nacji. Od 1988 roku dawne, nigdy nie rozwiązane konflikty nieoczekiwanie wypłynęły na wierzch, z taką samą siłą w regionie Bałtyku, jak i w Azji Środkowej, w Gruzji i w Armenii. Największe wysiłki narodowowyzwoleńcze podjęły republiki bałtyckie. Litwa, Łotwa i Estonia, które w 1918 roku odzyskały niepodległość po długim okresie podporządkowania caratowi, w 1939 roku stały się ofiarami układu Ribbentrop–Mołotow. Oficjalnie był to pakt o nieagresji między III Rzeszą i Związkiem Radzieckim, ale w tajnym protokole dawał Moskwie prawo do rozporządzania terytoriami tych trzech republik. Ich aneksję ZSRR przeprowadził w 1940 roku, a tę geografię polityczną usankcjonowały wydarzenia z 1944 roku. Litewscy partyzanci, nazywający siebie „braćmi leśnymi”, nim zostali definitywnie rozbici, przeciwko sowieckiemu okupantowi walczyli osiem lat. Liczba ofiar – zabitych, deportowanych lub uchodźców – Litewską Socjalistyczną Republikę Radziecką pozbawiła sześciuset tysięcy mieszkańców, czyli jednej czwartej całej populacji z czasów przedwojennych. Odwiedzanie tych stron oznaczało odkrywanie piękna zapomnianych lądów, rozległych borów sosnowych i urokliwych brzezin, dzikich plaż, dawnych miast krzyżackich, w których oddycha się atmosferą średniowiecznej Europy. Czesław Miłosz – Polak z Wilna – napisał, że jego kraj rodzinny „położony był poza zasięgiem map i należał do baśni”[136]. Kiedy wiosną 1988 roku po raz pierwszy docieram do północno-zachodnich rubieży ZSRR, uderza mnie ich ogromna różnorodność, jakże inna od reszty kraju. W Wilnie przyjezdny ma przyjemność przebywania w mieście czystym i uporządkowanym. Surowa architektura środkowoeuropejska, barokowe kościoły, przytulne restauracyjki z miłą obsługą oraz brak kolejek przed sklepami nie dają odczuć, że jest się w granicach sowieckiego imperium. Są to właściwie jego peryferie, oddalone od dojmującego ogromu Moskwy i zatopione w nostalgicznie zachodnim stylu życia. Jest w Wilnie miejsce, które od razu wydało mi się rzeczywistą granicą między Wschodem a Zachodem, symboliczną linią przecinającą jednocześnie eurazjatyckie terytorium i uwalniającą europejską tożsamość. To Ostra Brama. W jej

zabytkowych murach znajduje się kaplica z wizerunkiem Matki Bożej Miłosierdzia. Przechowywanych jest tu wiele przedmiotów wotywnych, ale najcenniejszym jest piuska ofiarowana przez Jana Pawła II na znak ogromnego przywiązania do ziemi, gdzie – jak kiedyś wyznał – mieszka połowa jego serca. Ojciec Święty chciał przyjechać na Litwę w 1984 roku, na obchody pięćsetlecia śmierci św. Kazimierza, patrona Litwinów, ale Moskwa do tego nie dopuściła. Papież wyraził swój sprzeciw publicznie, informując o kremlowskim *niet* z balkonu w Castel Gandolfo 26 sierpnia. Sowieckie władze wpadły w furię, a litewski naród odczuwał uzasadnioną dumę. Represje wyznaniowe w republikach bałtyckich miały szczególnie dotkliwy charakter. Komuniści zamknęli większość z wileńskich kościołów (pozostałe stale wypełniał tłum wiernych). Najbardziej bolesnym ciosem był sposób, w jaki potraktowano kościół św. Kazimierza, w którym władze urządziły muzeum ateizmu. Mimo zamordowania wielu księży, uwięzienia biskupów i miażdżącej antyreligijnej propagandy, Litwa, której 80% mieszkańców to katolicy, potrafiła zachować silną świadomość wyznaniową. Kościół okazał się bastionem narodowej tożsamości. Kraj przypominał trochę Polskę przyłączoną do ZSRR. „Chcę swobodnie manifestować moją wiarę i żyć w niepodległym kraju, choć to właściwie to samo”, powiedziała mi Nijolė Sadūnaitė, która wybrała życie zakonne, mimo że w jej ojczyźnie klasztory już nie istniały. Była kilkakrotnie aresztowana i spędziła pięć lat w syberyjskim gułagu. Jako zakonnica żyje na pół legalnie, ale na Litwie znają ją wszyscy. Zrobiło się o niej głośno, kiedy prezydent Reagan w jednym z przemówień nazwał ją „prawdziwą przywódczynią ludową”. Z siostrą Nijolė udało mi się spotkać w jej w domu w kamienicy na przedmieściach Wilna, o dziesiątej wieczorem. Wysoka i o delikatnej budowie, miała bladą i szczupłą twarz. Ubrana była w szarą sukienkę z czerwonymi guzikami. Posadziła mnie na kanapie pod dużym obrazem z wizerunkiem Matki Boskiej. Na stoliku obok stało małe radyjko nastawione na maksymalną głośność – ten nawyk mieli we krwi wszyscy opozycjoniści, bo ich mieszkania zawsze były naszpikowane pluskwami. Bezpieczne dotarcie na miejsce nie należało do łatwych. Z trudem uwolniłem się od kłopotliwego towarzystwa Jurija, tłumacza z „Nowosti”. Zaprowadziłem go do klubu nocnego, upiłem i wyszedłem. Większym problemem okazało się znalezienie nowego, zaufanego tłumacza. Udało mi się nawiązać znajomość z Valentinasem Aroziunasem, starszym panem, który uściskał mnie ze wzruszeniem, bo pierwszy raz

w życiu widział prawdziwego Włocha. W języku Dantego mówił płynnie. Nauczył się go podczas wieloletniej odsiadki w więzieniu.

Kiedy wróciłem do Wilna rok później, zastałem kraj szeroko otwarty na wolność. Podobnie jak w dwóch pozostałych republikach bałtyckich, na Litwie zawiązał się narodowy front jedności: Sąjūdis – Litewski Ruch na Rzecz Przebudowy – miał poparcie nawet ze strony lokalnej partii komunistycznej. Podczas marcowych wyborów odniósł spektakularny sukces: 36 na 42 deputowanych, którzy reprezentowali Litwę w Zjeździe Deputowanych Ludowych, opowiedziało się za pełną suwerennością kraju. W Estonii było podobnie, natomiast na Łotwie, gdzie sporą część populacji stanowią Rosjanie, niepodległościowcy zwyciężyli minimalną przewagą. W ponownie udostępnionej wiernym wileńskiej katedrze kardynał Julijonas Steponavičius, symbol oporu katolików (przywrócony do funkcji po dwudziestu siedmiu latach spędzonych na zesłaniu na głęboką prowincję), odprawił uroczystą mszę dla tłumnie zgromadzonych w świątyni i na placu przed nią. Nad kościołem powiewały flagi narodowe Republiki Litewskiej w kolorach żółtym, zielonym i czerwonym, już bez sierpa i młota. W kościele pod wezwaniem św. Kazimierza zlikwidowano muzeum ateizmu, a świątynię oddano dla religijnego kultu. Na początku lat dziewięćdziesiątych wszystkie sześć diecezji na Litwie doczekało się nominacji biskupów. Ponownie otwarto wiele kościołów. Na wileńskim wzgórzu postawiono trzy wielkie białe krzyże[137], symbolizujące męczeństwo trzech republik. Na budynkach pojawiły się hasła „Rusai lauk!” (Ruscy won!). 23 sierpnia 1989 roku, w pięćdziesiątą rocznicę brzemiennego w skutki układu Hitlera i Stalina, prawie dwa miliony mieszkańców z czarnymi opaskami na znak żałoby utworzyło „ludzki łańcuch” o długości około sześciuset kilometrów, który – od Tallina przez Rygę aż do Wilna – łączył trzy republiki bałtyckie. „Czekamy tu na progu Europy!”, wołano do tych wszystkich, którym nie był obojętny los niezawisłych państw. Droga do niepodległości rozpoczęła się na dobre i przed stacją końcową nie planowano żadnych stacji pośrednich[138]. Wiele państw (między innymi Stany Zjednoczone) sowieckiej okupacji w republikach bałtyckich nigdy nie uznało. Watykan, który nigdy nie zrezygnował z posiadania delegata ze zlikwidowanej Ambasady Pierwszej Republiki Litewskiej, wyraził zadowolenie z powodu rezygnacji z polityki antyreligijnej w tym tak bardzo katolickim kraju. Stolica Apostolska widziała w tym szansę dla całego Związku Radzieckiego.

Wilno, Ostra Brama. Temu sanktuarium maryjnemu Jan Paweł II ofiarował swoją piuskę

Przełom nastąpił w czasie uroczystości tysiąclecia chrześcijaństwa, obchodzonych w Moskwie w 1988 roku. Dla Gorbaczowa święto było okazją do zadeklarowania powiązań pierestrojki ze złagodzoną polityką wyznaniową. W ZSRR bycie wierzącym nie było już tematem tabu, co więcej, nawet stawało się modne. Powstawały duchowe organizacje chrześcijańskie, chrzczono coraz więcej dzieci i dorosłych, którzy odnajdowali w sobie wiarę przodków. Obserwujący uroczystości milenijne Jan Paweł II napisał osobisty list do Gorbaczowa, powierzając sekretarzowi stanu, kardynałowi Casarolemu, zadanie przekazania go do rąk własnych kremlowskiego przywódcy. Jeden z najważniejszych watykańskich hierarchów stanął też na czele delegacji Kościoła katolickiego, która miała wziąć udział w ceremonii religijnej i oficjalnych uroczystościach w Moskwie. Nie było żadnej gwarancji, że zostanie przyjęty przez Gorbaczowa. Do ostatniej chwili trzymano go w niepewności, a przynajmniej takie wrażenie stwarzano przed nami, dziennikarzami, najwyraźniej dla zwiększenia napięcia. Gorbaczow spotkał się

z kardynałem Casarolim 13 czerwca. Pierwszy raz od rewolucji październikowej wysłannik „rimskiego papy” wkroczył na salony Kremla. Po siedemdziesięciu latach prześladowań katolików w ZSRR lody zostały przełamane. Na zakończenie spotkania Gorbaczow stwierdził, że „wiele jeszcze musi się wydarzyć”, parafrazując proroctwo Bułhakowa: „Niewątpliwie coś się wydarzy, ponieważ nic nie może trwać wiecznie”[139]. Niemożliwe wydarzyło się 1 grudnia 1989 roku w Rzymie, chłodnego i słonecznego poranka, kiedy siódmy sekretarz generalny KPZR przekroczył próg Watykanu i spędził półtorej godziny na rozmowie z następcą św. Piotra. Gorbaczowa do tego etapu doprowadziła długa droga, wymagająca wyrzucenia za burtę sporego balastu. W oficjalnym przemówieniu w obecności papieża radziecki prezydent słowa „komunizm” nawet nie wymienił, jak gdyby wstydził się wyznawanych przez siebie ideałów. Musiał jednak wysłuchać, jak papież wzywa go na drogę Kościoła i apeluje o poszanowanie jego niezbywalnych praw, poczynając od swobód wyznaniowych, „fundamentu wszelkich innych swobód”. Podczas rozmowy[140] Jan Paweł II nie owijał w bawełnę i zwrócił uwagę Gorbaczowa na to, że w ZSRR katolicy zostali właściwie wyjęci spod prawa. Zabiegał o szersze swobody również dla wyznawców prawosławia, którzy w Rosji stanowią większość, oraz dla wiernych innych kościołów i religii. Jednoznacznie wypowiedział się na temat mniejszości unickiej, czyli ukraińskich grekokatolików (zdelegalizowanych przez Stalina w 1946 roku[141]), prosząc, by nie byli dłużej zmuszani do przechodzenia na prawosławie lub do potajemnego wyznawania swojej wiary. Gorbaczow wyraził zgodę, obiecując nową ustawę o wolności sumienia, która miała położyć kres ateizmowi w państwie. Nawet jeśli, „wiele kwestii praktycznych należy rozstrzygnąć w uzgodnieniu z władzami Kościoła prawosławnego”, do tej pory zdecydowanie przeciwnego uznaniu unitów. Coś jednak drgnęło: „Nie możemy udawać, że grekokatolicy na Ukrainie nie istnieją. Muszą mieć oni szansę modlić się tak, jak chcą. Do nas należy sprawdzenie, czy jest możliwe sformułowanie tego prawa”, usłyszałem od nowo wybranego przewodniczącego Wydziału Zewnętrznych Stosunków Cerkiewnych Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, Cyryla I. To znak epokowego przełomu, który nowy szef dyplomacji Kościoła prawosławnego ogłosił symptomatycznie na łamach włoskiego dziennika katolickiego „Avvenire”[142] kilka dni przed wizytą Gorbaczowa w Watykanie.

Historyczne spotkanie ojca pierestrojki i protektora Solidarności odbyło się trzy tygodnie po upadku muru berlińskiego. W symboliczny sposób stało się kulminacją roku, który zmienił bieg historii Europy. Radziecki prezydent powiedział: „Wszystko, co wydarzyło się w Europie Wschodniej, bez tego papieża nie byłoby możliwe”[143]. Jan Paweł II wyraził opinię, że „Gorbaczow to człowiek z zasadami i o charyzmatycznej osobowości. Jest niewierzący, ale w rozmowie ze mną podkreślał olbrzymie znaczenie modlitwy i duchowego wymiaru człowieka. Cieszył się, że może rozmawiać o tym z innym Słowianinem. Uśmiechnąłem się i odparłem, że ja jestem Słowianinem Zachodnim, ale on nie przywiązywał do tego wagi. Jestem głęboko przekonany, że nasze spotkanie zrządziła Opatrzność”. Swoją opinię na temat doniosłości roku 1989 Jan Paweł II wypowiedział dobitnie 13 stycznia 1990 roku w przemówieniu wygłoszonym w obecności członków korpusu dyplomatycznego akredytowanego w Watykanie.

> Tęsknota za wolnością zburzyła mury i wytyczyła nowe szlaki. Wszystkie wydarzenia miały charakter prawdziwego wstrząsu. Jak na pewno zauważyliście, ogniskiem zmian często były kościoły (...). Warszawa, Moskwa, Budapeszt, Berlin, Praga, Sofia, Bukareszt były kolejnymi etapami długiej pielgrzymki do wolności. Musimy oddać hołd ludziom, którzy za cenę daleko idących poświęceń odważnie to pielgrzymowanie odbywali, a obok nich politykom, którzy im sprzyjali. Najbardziej niezwykłe jest to, że głos zabierały całe narody, a swój lęk przezwyciężali mężczyźni, kobiety i młodzież. Manifestowali ukryte w ich sercach niewyczerpalne zasoby godności, odwagi i wolności. W krajach, w których przez długie lata jedna partia narzucała jedną prawdę i tworzyła własną historię, ci nasi bracia dowiedli, że nie można odebrać podstawowych praw, bo to one nadają sensu ludzkiemu życiu.

Rok 1989 doprowadził do wielu rozrachunków, które przez półwiecze tkwiły w zawieszeniu. Papież nam przypomniał, że komunizm umarł nie za sprawą geopolitycznych rozgrywek, lecz dzięki odwadze i niezłomności ludzi, którzy zło zwyciężali dobrem.

128 Andriej Sacharow, fizyk, twórca bomby wodorowej, laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1975), krytykował eksperymenty jądrowe i ustrój totalitarny w ZSRR. W 1980 roku za oprotestowanie radzieckiej interwencji w Afganistanie i nawoływanie do bojkotu moskiewskich igrzysk olimpijskich został zesłany do miasta Gorki (obecnie Niżny Nowogród). W 1986 roku wrócił do Moskwy, zrehabilitowany przez Gorbaczowa. Zmarł w grudniu 1989 roku.

129 Określenie używane w publicystyce włoskiej. W Rosji Jelcyna nazywano „Died”, „Dieduszka”, „Jołkin” (przyp. tłum.).

130 Jelcyn wybił się jako przełamujący zastój sekretarz moskiewskiego komitetu KPZR. Był rzecznikiem odnowy. Poparcie opinii publicznej pozwoliło mu na uzyskanie mandatu na I Zjazd Deputowanych Ludowych. Szczyt jego popularności przypadł na sierpień 1991 roku, kiedy polityk

stanął na czele sił, które przeciwstawiły się puczowi nomenklatury partyjnej skierowanemu przeciwko Michaiłowi Gorbaczowowi i pierestrojce (pucz nazwano później puczem sierpniowym lub puczem Janajewa – głównego organizatora). Jelcyn następnie wszedł w ostry spór z Gorbaczowem, który konfrontację ostatecznie przegrał: 25 grudnia 1991 roku ogłosił rozwiązanie Związku Radzieckiego i złożył urząd prezydenta. Borys Jelcyn tego samego dnia formalnie objął urząd prezydenta Rosji (w czerwcu 1991 roku wygrał wybory prezydenta Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, która wchodziła w skład ZSRR). Rządził krajem do 1999 roku. Zmarł w kwietniu 2007 roku.

131 R. Foa, *Ho visto morire il comunismo* (*Widziałem, jak umierał komunizm*), Marsilio, Wenecja 2010. Foa, członek Komunistycznej Partii Włoch i redaktor naczelny jej organu, dziennika „Unità", stał się później świadomym antykomunistą i związał się z nurtem katolickim. Zmarł w czerwcu 2009 roku.

132 A. de Custine, *Listy z Rosji. Rosja w 1839 roku*, z fr. przeł. Marian Górski, Spotkania, Paryż 1991.

133 Borys Wsiewołodowicz Gromow, radziecki generał był dowódcą kontyngentu w Afganistanie, a następnie nadzorował ewakuację Armii Czerwonej z Afganistanu. Był ostatnim żołnierzem, który opuścił terytorium okupowanego kraju (przyp. tłum.).

134 Mowa o oświadczeniu wydanym podczas moskiewskiego zebrania przywódców państw Układu Warszawskiego. Co ciekawe, ukazało się ono dzień po maltańskim spotkaniu na szczycie Gorbaczowa z Reaganem, które uznano za symboliczny koniec zimnej wojny (przyp. tłum.).

135 A. de Tocqueville, *Dawny ustrój i rewolucja*, wstęp F. Furet, tłum. H. Szumańska-Grossowa, Znak, Fundacja im. Stefana Batorego, Kraków 1994, s. 188.

136 Cz. Miłosz, *Rodzinna Europa*, Czytelnik, Warszawa 1990, s. 11.

137 Dziś nosi ono nazwę Góra Trzech Krzyży (przyp. tłum.).

138 Potrzeba było dwóch lat pełnych wyrzeczeń i brutalnych sowieckich akcji zbrojnych, nim państwa bałtyckie, w 1991 roku, ostatecznie spełniły swoje marzenia o niepodległości. Kilka miesięcy później, w Boże Narodzenie 1991 roku, rozpadł się Związek Radziecki, jako nieunikniona konsekwencja działań reformatorskich Gorbaczowa.

139 M. Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, tłum. Witold Dąbrowski, Irena Lewandowska, Muza, Warszawa 2007, s. 298 (przyp. red.).

140 Stenogram ze spotkania został opublikowany w 2010 roku przez National Security Archive w Waszyngtonie.

141 Na początku 1946 roku pod nadzorem NKWD odbył się „sobór" (nazywany pseudosynodem lwowskim), w którym wzięło udział 214 z 1270 duchownych greckokatolickich, z wykluczeniem unickich biskupów, w większości internowanych za działalność antyradziecką oraz współpracę z Niemcami i ukraińskimi nacjonalistami. Podczas pseudosynodu podjęto decyzję o anulowaniu unii brzeskiej, a Cerkiew greckokatolicką zjednoczono z Rosyjską Cerkwią Prawosławną (przyp. tłum.).

142 „Avvenire", 25 listopada 1989.

143 „La Stampa", 3 marca 1992. Po wypowiedzi Gorbaczowa opublikowano deklarację Jana Pawła II będącą wyrazem jego poważania dla byłego radzieckiego przywódcy.